

Przekręty kampanii ■ Putin wiecznie żywy ■ Znikające księgarnie
Życie w spektrum ■ O co chodzi w „Ojcie nasz” ■ Radek Rak gra w RPG

Kraków 13 – 19 marca 2024 nr 11 (3897)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

TygodnikPowszechny.pl

EPISKOPAT DO WYMIANY

Skompromitowani
odchodzą,
co zrobią ich następcy



NAGRODA LITERACKA PREZYDENTA MIASTA BIAŁEGOSTOKU IM. WIESŁAWA KAZANECKIEGO

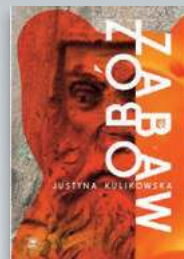
Książki nominowane
do nagrody za 2023 rok



• w kategorii najlepsza książka roku



„Jezus umarł w Polsce”
Mikołaj Grynberg
Wydawnictwo Agora
Warszawa 2023



„Obóz zabaw”
Justyna Kulikowska
WBPICAK
Poznań 2023



„Sejpak”
Elżbieta Michalska,
Katarzyna Ewa Zdanowicz
Fundacja Sąsiedzi
Białystok 2023



„Festiwal”
Jacek Świdziński
Kultura Gniewu
Warszawa 2023

Nagroda Literacka Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego przyznawana jest corocznie, od 1991 r., za dokonania w dziedzinie literatury żyjącym twórcom, w dwóch kategoriach:

- **za najlepszą książkę roku**, spośród wszystkich gatunków literackich, twórcom, którzy są związani ze środowiskiem literackim Białegostoku i regionu lub też się tu urodzili czy zamieszkują albo których twórczość wykazuje związki z miastem i regionem, oraz twórcom, których książki wydano w Białymstoku. Z udziału wyłączone są antologie, opracowania, publikacje naukowe oraz albumowe;
- **za najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku**, rozumiany jako pierwszy wydany tom danego autora.

• w kategorii najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku



„fuzja bordo”
Karolina Kapusta
Biuro Literackie
Kołobrzeg 2023



„Potrzebne źródła”
Mateusz Szymczyk
Dom Literatury w Łodzi,
Stowarzyszenie Pisarzy
Polskich Oddział w Łodzi
Łódź 2023



„Zeszyt ćwiczeń”
Joanna Łepicka
Biuro Literackie
Kołobrzeg 2023

Laureatów Nagrody poznamy w marcu 2024 r.

KS. ADAM

Boniecki: Słuchajcie Tatusia

CHOĆ O MODLITWIE PAŃSKIEJ WIELE PISANO, TO w artykule Marcina Majewskiego pt. „O co chodzi w »Ojcie nasz«” znajdujemy przynajmniej dwa ważne elementy, które uchodzą uwadze wielu. Po pierwsze, że tekst modlitwy wywodzi się ściśle z Pierwszego Testamentu. Jej fragmenty były obecne w modlitwach Żydów. Ale nasz autor pokazuje także oryginalność tej modlitwy. Zawiera się ona w jednym słowie: „Ojcie”. Jest w tym sformułowaniu – bliższym słowa „tatusiu” – wielka nowość. Głoszony przez proroków Pierwszego Testamentu Bóg był nade wszystko groźnym sędzią, sprawiedliwym, choć „wodzącym na pokuszenie” Panem, a o bliskości i czułości Boga wcześniej prawie się nie mówiło. I to wezwanie – „Ojcie nasz” – zmienia właściwie wszystko w dalszym jej tekście, choć w zasadzie odpowiada on nawykowi myślowemu Pierwszego Testamentu. Różnica, jaką czyni tu „Tatus”, jest jednak zasadnicza. Modlący zwraca się nie do groźnego i niedostępnego Boga, lecz czułym słowem wyraża wiarę w Jego ojcowską miłość.

Kiedyś ksiądz Jan Zieja napisał medytację dedykowaną pracownikom społecznym (dobrą zresztą dla każdego chrześcijanina). Nie ma w niej żadnych odnośników do Biblii poza tekstem Modlitwy Pańskiej. Trudno powiedzieć, czy i na ile Zieja był świadom kontekstu, o którym pisze nasz autor. A jednocześnie jego medytacja jest, jeśli nie całkowicie kompletna, to przynajmniej wychwytuje wszystkie ważne treści, które Jezus chciał przekazać uczniom, podając im – na ich prośbę – tekst (wzorzec?) modlitwy.

„Boże, Stwórcu światów nieprzeliczonych, Ojcie nasz i wszelkiego stworzenia Panie, któryś jest w niebie i na ziemi i na każdym miejscu i we mnie teraz... który wypełniasz wszystko, a ciebie nic ogarnąć nie może! święć się imię Twoje, bo Tyś tylko jeden prawdziwie jest, a wszystko przemija; tylko Tyś jest życiem i mocą, tylko Tyś jest dobry, tylko Tyś jest święty, a wszelkie istnienie i życie, moc i dobro, świętość i piękno jest tylko śladem Twojej obecności i Twojego działania. Przyjdź królestwo Twoje, Królestwo prawdy, sprawiedliwości i miłości w każdym czło-



wieku, w każdej rodzinie, w każdej gromadzie, w narodzie naszym i w ludzkości całej, teraz i w wieczności... bo w naszych królestwach, naszą tylko wolą rządzonych, jest nam za ciasno, duszno i krwawo...” (taki jest początek tekstu ks. Zieja).

Wskazanie judaistycznych źródeł modlitwy jest ważne, uświadamia bowiem powiązanie tamtego objawienia z tym, co przyniósł Chrystus. Powiązanie z Pierwszym Testamentem jest znamienne, bo Chrystus nie podważa objawienia, lecz je dopełnia. Nie przyszedł znieść, ale dopełnić.

Czy tekst Modlitwy Pańskiej jest eschatologiczny? Oczywiście jest, jak całe przepowiadanie Jezusa. Przyszedł powiedzieć zaabsorbowanym sprawami doczesnymi ludziom, że ich celem czy adresem ostatecznym jest niebo, istnienie przy Bogu w Jego światłości. Ten jakże niepopularny dziś aspekt życia i śmierci jest w chrześcijaństwie jednocześnie obecny i zagubiony. Kochamy być na ziemi, doskonalimy warunki tego bytowania, przedłużamy średnią życia i żyjemy tak, jakbyśmy mieli na ziemi być wiecznie, i dopiero kiedy nieodwołalna śmierć zapuka do nas, wtedy, czasem, bo nie zawsze, przypominamy sobie Ewangelię. Zdumienie budzą święci, którzy do wieczności przechodzili z niezwykłym spokojem, wręcz z radością, ale często składamy to na karb ich stanu psychicznego. Może szkoda, bo zamiast łatwych tłumaczeń, warto by spojrzeć na własne życie i odchodzenie w świetle ich doświadczeń. A tu mamy przecież dobrą wiadomość o miłości Ojca, który jest w niebie. Wiadomość o Jego miłości do człowieka, którą przyniósł Jezus Chrystus, syn Boży, zrewolucjonizowała świat. Taka wykładnia Pisma, wciąż pogłębianą i lepiej rozumianą, zmienia człowieka, zmienia świat.

Artykuł „O co chodzi w »Ojcie nasz«” zmusza do przemyślenia słów, które znamy na pamięć i często klepiemy jak magiczną formułę. Informacja o genezie zawartych w niej zwrotów, prośb i całości skomponowanej z żydowskich modlitw jest cenna. Najcenniejsze jednak jest owo *novum*, wezwanie rozpoczynające modlitwę: „Ojcie nasz, któryś jest w niebie”. Amen.

© P

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **WARSZAWA**, sobota 16 marca, godz. 16.00
spotkanie z Małgorzatą Chodorowską,
cykl „Eko kawiarenka”, Domek PM (ul. Jazdów 3/12)
- **KATOWICE**, środa 20 marca, godz. 18.00
spotkanie z prof. dr hab. Zofią Zarębianką,
„Duch poezji Czesława Miłosza”, Sala Parnassos Biblioteki
Śląskiej (Plac Rady Europy 1) / hybrydowe /

- **ZIELONA GÓRA**, czwartek 21 marca, godz. 18.00
spotkanie z prof. Andrzejem Rychardem,
„Polskie społeczeństwo i polityka; co się zmienia,
a co nie?”, Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13)

- **SŁUPSK**, czwartek 21 marca, godz. 17.00
spotkanie z dr. Wojciechem Bejdą, „Nowy Testament,
historia, wiara, mit”, Klubksięgarnia Cepelin Books
(Stary Rynek)

- **BIELSKO-BIAŁA**, czwartek 21 marca, godz. 17.00
wykład prof. Ewy Chojackiej, „»Guernica« Pabla Picassa
– widziana dzisiaj”, Willa Sixta (ul. Mickiewicza 24)

więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

REZERWUJ
CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



KLUBTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

20 Książka znika**MONIKA OCHĘDOWSKA**

Co trzy dni zamykana jest w Polsce księgarnia. Państwo zamiast rozwiązać problem, rzuciło odpowiedzialność na obywateli.

**TEMAT
Z OKŁADKI****36 Episkopat do wymiany
ROZMOWA Z IGNACYM DUDKIEWICZEM,
AUTOREM KSIĄŻKI „PASTWISKO”:**

Najważniejsze wyzwanie czekające dziś biskupów wyraża się w słówku „mniej”. Mniej władzy, mniej księży, mniej pieniędzy, mniej wpływów politycznych, mniej autorytetu.

**32 Więcej niż matka**

**ROZMOWA
Z MAŁGORZATĄ
RYBICKĄ,
PRZEWODNICZĄCĄ
POROZUMIENIA
AUTYZM-POLSKA:**
Dobre słowa mają moc. Pozwalają przetrwać. Takie zwykłe, oznaczające wsparcie, ale i te o specjalnym znaczeniu.

**60 Taniec życia****MARIUSZ GOGÓL**

Aby powstało zdrowe ludzkie ciało, muszą umrzeć całe zbiorowiska komórek, liczone w milionach. Bez ich ofiarności nie byłoby nowego organizmu.

**72 Zbawca męskości****IGOR KIERKOSZ**

Na instagramowym profilu Timothée Chalameta niedbale cyknięte selfie dostają dwukrotnie więcej lajków niż najgorętsze newsy o nowym filmie. Kogo i za co pokochały miliony?

**86 Strachy i smoki****RADEK RAK GRA W RPG:**

Wolę być graczem niż pisarzem. Uwielbiam psuć fabuły. Także te, które sam wymyśliłem.



■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Brak klimatu dla zmian
KRZYSZTOF STORY

8-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 Małgorzata Kordowicz,
O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR
SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Książka znika
MONIKA OCHĘDOWSKA

24 Kampania za nasze
STEFAN SĘKOWSKI
*o przygotowaniach do wyborów
samorządowych*

27 Telewizja niepewności
PIOTR ŚMIŁOWICZ:
*W TVP końca prowizorki
nie widać*

28 Dwa miliony fikcji
MAREK RABÍJ *o zmianach
w składce zdrowotnej*

■ ■ ROZMOWA

32 Więcej niż matka
ROZMOWA
Z MAŁGORZATĄ RYBICKĄ

■ ■ WIARA

36 Episkopat do wymiany
ROZMOWA Z IGNACYM
DUDKIEWICZEM

40 Katecheza z betonu
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Zmiany nie nadchodzą

42 O co chodzi w „Ojcie nasz”
MARCIN MAJEWSKI

■ ■ ŚWIAT

46 Mołdawska emancypacja
KAMIL CAŁUS:
*Rosyjskie wpływy i lokalne
nastroje*

TEMAT TYGODNIKA

12 W królestwie mroku

ANNA ŁABUSZEWSKA

Po ustawionych „wyborach” dyktator
przyspieszy budowanie totalitarnej wersji
systemu na fundamencie wojennym.
Chyba że... Chyba że kilka promieni nadziei
okaże się więcej niż tylko promieniami.



DMITRY SEREBRYAKOV / AP / EAST NEWS

■ DODATEK SPECJALNY ■

65 INTELIGENTNA MEDYCYNĄ

■ FELIETONY ■

30 TOMASZ STAWISZYŃSKI

45 WOJCIECH BONOWICZ

84 OLGA DRENDĄ 85 PAWEŁ BRAVO

90 STANISŁAW MANCEWICZ

90 BARTOSZ MINKIEWICZ

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE:
SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Redaktorka prowadząca:
EWELINA BURDA

49 Tajwańska krzemowa tarcza

MARIA WIŚNIEWSKA:
Miejsce, gdzie powstają chipy

52 Jak się przygotować na powrót Trumpa

ROZMOWA Z PETEREM
D. FEAVEREM,
POLITOLOGIEM,
BYŁYM URZĘDNIKIEM
ADMINISTRACJI GEORGE'A
W. BUSA

■ ■ HISTORIA

56 Bracia Sahary i ostatnia krucjata

ALEKSANDER R. MICHALAK:
*Jak 140 lat temu walczone
z handlarzami niewolników
w Afryce*

■ ■ NAUKA

60 Taniec życia
MARIUSZ GOGÓŁ

■ ■ KULTURA

72 Zbawca męskości
IGOR KIERKOSZ

76 Końcówka
DARIUSZ KOŚCIŃSKI:
Jan Englert na teatralnej scenie

80 Sprawa ludzka
PIOTR KOSIEWSKI
*o wspólnej wystawie twórczości
Władysława Hasióra
i Daniela Rycharskiego*

82 Podwójna obecność
ANITA PIOTROWSKA
*o filmie „Cztery córki”
Kaouther Ben Hani*

83 Smutna Wirginia
LEKTOR *o książce „Trylobity.
Opowiadania zebrane”
Breece’a D’J Pancake’a*

■ ■ ZMYŚLY

86 Strachy i smoki
RADEK RAK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➡ Kryzys w Haiti

Gangi przejęły władzę nad stolicą. Premier nie może wrócić do kraju. O chaosie w Port-au-Prince pisze **WOJCIECH JAGIELSKI**
TygodnikPowszechny.pl/StronaSwiata

➡ Dzieci patrzą inaczej

Bywają dojrzalsze niż ich rodzice i wiedzą o nich więcej, niż się wydaje – **ANITA PIOTROWSKA** ogląda filmy z małoletnimi bohaterami
TygodnikPowszechny.pl/weekend

Wybierz swoją prenumeratę na stronie 55

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



BRAK KLIMATU DLA ZMIAN

Rolnicy są na dobrej drodze, by w walce z Zielonym Ładem odnieść zwycięstwo. Pyrrusowe.

KRZYSZTOF STORY

POWYŻEJ:
Protest rolników.
Warszawa, 6 marca 2024 r.

POD SEJMEM SPŁONĘŁA CZARNA TRUMNA. 6 marca przynieśli ją tam uczestnicy 30-tysięcznej demonstracji. Napis na wieku brzmiał: „Rolnik. Żył 20 lat. Zabił go Zielony Ład”. Podczas tego samego protestu płonęły opony i race. Latały jajka i kostki brukowe, płynęły strumienie z policyjnych armatek wodnych. Rannych zostało 13 policjantów, zatrzymano 26 osób.

Przez dym, huk i krzyki przebiło się jedno: to sprzeciw wobec Zielonego Ładu, a nie import z Ukrainy, jest w tym proteście najważniejszy. Nie tylko dla rolników, ale dla każdego polityka w Europie. I jeszcze jedno: to unijnej reformie, a nie protestującym, bliżej do trumny.

Jeden z uczestników manifestacji skarżył się, że władza go ignoruje. Prawda jest inna – dawno nie było w Europie protestu, któ-

rym rządzący tak bardzo się przejęli. 9 marca Donald Tusk po raz drugi spotkał się z rolnikami. Przy stole był nie tylko premier, ale też całe kierownictwo Ministerstwa Rolnictwa oraz dwóch innych ministrów: Jan Grabiec i Krzysztof Hetman. Przez ostatnie tygodnie minister Czesław Siekierski spotkał się z ministrami odpowiadającymi za rolnictwo Niemiec i Litwy, negocjował z Ukraińcami, uczestniczył w unijnych naradach, a wreszcie podjął wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej Valdisa Dombrovskisa.

W całej Europie trwa gorączkowe szukanie czegoś, co ugasi rolniczy pożar. Francja torpeduje unijną umowę z blokiem Mercosur na import z Ameryki Południowej, a Emmanuel Macron zaproponował zapisanie w ustawie minimalnych cen produktów rolnych, choć jego własny rząd określał to jako „antyrynkowe

rozwiązanie w stylu sowieckim”. Politycy prześcigają się też w rozmontowywaniu samego Zielonego Ładu. Ten wyścig 6 marca próbował wygrać komisarz Janusz Wojciechowski, który w wywiadzie dla RMF FM niespodziewanie ogłosił, że unijna reforma rolnictwa idzie do kosza. Kilka godzin później Komisja Europejska wszystko zdemontowała i poinformowała, że Wojciechowski wypowiadał się jako „osoba prywatna”. Ale potwierdziła, że ustępstwa będą.

Nikt nie chce popępnąć politycznego harakiri przed zbliżającymi się wyborami do Parlamentu Europejskiego. W efekcie z rolniczej części Zielonego Ładu niewiele zostało. Dyrektywa o odbudowie ekosystemów – wycięto z niej komponent rolniczy, ograniczenia ilości pestycydów i nawozów – jest już w koszu, obowiązek ugorowania ziemi – odłożony o lata, małe gospodarstwa – zwolnione z kar i kontroli.

PROTESTY ROLNIKÓW w całej Europie mają olbrzymie społeczne poparcie (choć mogą je łatwo stracić po takich wydarzeniach jak w Warszawie). Zielony Ład stał się symbolem unijnej biurokracji i „klimatyzmu”. Więcej mówi to o nas wszystkich niż o samych rolnikach. Owszem, wierzymy naukowcom i lubimy z zafrasowanymi minami opowiadać o katastrofie klimatycznej, ale najlepiej jakby walczył z nią ktoś inny. I na pewno nie za nasze pieniądze.

Drzemie w tym polityczny kapitał, dlatego PiS już szuka tu nowej energii. 27 lutego Mariusz Błaszczak, Waldemar Buda i Paweł Jabłoński weszli do Ministerstwa Rolnictwa z pokazową „kontrolą poselską”. Politycy PiS na wyścigi chodzą na demonstracje i fotografują się z rolnikami. Organizatorem demonstracji 6 marca nieprzypadkowo była Solidarność, która stała się przybudówką partii.

Gdy Donald Tusk rozmawiał z rolnikami, Jarosław Kaczyński przemawiał na spotkaniu w Śniadowie. „Zielony Ład to jest po prostu pewien rodzaj religii, która dzisiaj jest wyznawa-

na” – mówił. Prezes zapowiedział majowy marsz dla polskiego rolnictwa, a kłamstwem klimatycznym z jego przemówienia można by poświadczyć osobny artykuł.

WĄTPLIWE, że rolnicy uwierzą w tę opowieść. Pamiętają w końcu, za których rządów przegłosowano Zielony Ład. Paradoksalnie największym zwycięzcą tej gry może więc okazać się Donald Tusk. To on w sobotę obiecał rolnikom pomoc w „wypchnięciu” na eksport ponad 4 mln ton zboża, które mamy w nadwyżce. I to on dostanie odznakę skutecznego negocjatora, jeśli (zgodnie z oczekiwaniami) 15 marca KE zaproponuje kolejne ustępstwa w Zielonym Ładzie. Jeśli dodatkowo uda się Polsce wynegocjować unijne ograniczenia importu z Ukrainy, politycy PiS wyjdą przy nowym rządzie na poczytych nieudaczników, którzy nic w Brukseli nie potrafili załatwić. A rolnicy dostaną komunikat „sprawdzam”, bo dalsze protesty będą oznaczały, że chodzi im tylko o polityczne zamieszanie.

Niestety, jeśli polscy rolnicy wygrają, będzie to pyrrusowe zwycięstwo. Europejska polityka rolna pochłania dziś 1/3 budżetu UE, ale 80 proc. z tej kwoty trafia do 20 proc. największych gospodarstw. Mali w tym układzie ledwo wiążą koniec z końcem. Dodatkowo według szacunków Polskiego Instytutu Ekonomicznego Polska co roku traci z powodu suszy plony warte 6,5 mld zł. Zielony Ład, a zwłaszcza zawarty w nim system ekoschematów (dodatkowe pieniądze za działania przyjazne środowisku) jest gigantyczną szansą na zmianę tej sytuacji; szansą, która prędko się nie powtórzy.

PO WYBORACH populistyczne partie na pewno zyskają kolejne mandaty w PE, a obecnie rządzące nie zaryzykują już takiej awantury. Nawet własne ugrupowanie Ursuli von der Leyen, architektki Zielonego Ładu, pogroziło jej palcem – co piąty delegat zagłosował przeciwko jej drugiej kadencji jako przewodniczącej KE. Po wyborach klimatu dla zmian po prostu nie będzie. ©P



Ile na armię?

MAREK RABI

PONAD PÓŁ BILIONA ZŁOTYCH – TYLE WEDŁUG WICEministra obrony narodowej Pawła Bejdy wynosi luka pomiędzy planowanymi i wstępnie zabudżetowanymi wydatkami na Wojsko Polskie, a rzeczywistym kosztem realizacji wszystkich potrzeb uwzględnionych w Programie Rozwoju Sił Zbrojnych.

Audyt, który tuż po objęciu resortu zarządził w MON Władysław Kosiniak-Kamysz, wykazał, że jego poprzednik notorycznie zaniżał lub źle planował koszty zakupów i inwestycji. Wiele zamówień dla armii, w tym wieloletnie umowy ramowe, miało być składanych dla efektu propagandowego, bez konsultacji ze Sztabem Generalnym. Jako przykład wiceminister Bejda podał kontrakt z grudnia 2023 r. na zakup samobieżnych haubic K9, który jego zdaniem podpisano bez wskazania źródeł finansowania. W rezultacie tylko na należny fiskusowi podatek VAT od zamawianego sprzętu resortowi brakuje obecnie ok. 130 mld zł.

W tym roku na obronę wydamy 159 mld zł, czyli 4,2 proc. PKB.

Wypowiedzi wiceszefa MON można zatem odczytać jako zapowiedź konieczności zwiększenia wydatków.

Ponad 500 mld zł, których brakuje na wojsko, to oczywiście deficyt, który Polska musi uzupełnić w ciągu kilku lat w kolejnych budżetach na obronę. Jednocześnie MON nie zamierza ograniczać wydatków na uzbrojenie. Zapowiada uporządkowanie organizacji zamówień dla armii, ale nie chce rezygnować z trybu pilnej potrzeby operacyjnej, która pozwala mu omijać procedury przetargowe. Tymczasem zakupy w formule pilnej potrzeby operacyjnej właściwie wykluczają negocjacje ceny.

Nowa ekipa w MON zawarła już umowy na zakup sprzętu wojskowego o łącznej wartości ponad 30 mld zł. Do końca tego roku chce podpisać 150 kolejnych umów. Priorytetem będzie wyposażenie indywidualne żołnierzy, a w planach są też śmigłowce Apache, kolejne armatohaubice i czołgi, a także modernizacja służących w Polsce już trzecią dekadę samolotów F-16. W miarę możliwości co najmniej połowę zamówień MON chce lokować w polskim przemyśle.

Jeśli dodać do rachunku wciąż nieodwołany (choć punktowo już korygowany) postulat zwiększenia liczebności wojska do 300 tysięcy, staje się oczywiste, że wydatki na obronę muszą w kolejnych latach rosnąć w tempie szybszym od wzrostu PKB Polski. Niewykluczone, że już w perspektywie dwóch-trzech lat będziemy zmuszeni do przekroczenia progu finansowania armii w wysokości 5 proc. PKB, kosztem zmniejszenia wydatków budżetowych na inne cele. ©P



Niezawiśli i nieomylni

MAREK KĘSKRAWIEC

MINISTER ADAM BODNAR postanowił wyrwać Krajową Radę Sądownictwa z rąk polityków i zwrócić ją sędziom. Ma być tak jak kiedyś, gdy 15 spośród 25 członków KRS wybierało samodzielnie środowisko sędziowskie – czego nie mógł znieść Jarosław Kaczyński. Pod jego naciskiem Sejm zmienił ustawę i przejął kontrolę nad tym, jacy to będą sędziowie. Niezwykle ważna instytucja, która przedstawia prezydentowi kandydatów na sędziów, trafiła pod skrzydła nie tyle posłów, co jednej partii.

To kuriozum kłócące się z trójpodziałem władzy, ale czy dobrym pomysłem jest niemal całkowita abdykacja polityki z sądownictwa? Patrząc na sejmowe awantury można wątpić, czy rządzą nami ludzie dojrzały, to zaś jest argumentem przeciwko np. wariantowi niemieckiemu, w którym politycy mają kontrolę nad wyborem sędziów na ważne stanowiska i są w stanie od lat się w tej kwestii dogadywać. W naszej rzeczywistości, w której nawet w obrębie tej samej koalicji posłanka potrafi zwrócić się do marszałka Sejmu słowem „wyp...laj”, być może nie ma innego wyboru niż „sędziokracja”.

Tego określenia namiętnie używają dziś przedstawiciele dawnej władzy, którzy reformy sądów sprowadzili do wypromowania swoich

koleżanek i kolegów na wysokie stanowiska, a Trybunał Konstytucyjny zamienili w instytucję skłóconą wewnątrz. Świetnie opłacaną, ale stosującą od ponad roku strajk włoski, nieuznającą własnej szefowej i zbierającą się tylko po to, by bronić Mariusza Kamińskiego lub wpływów PiS w TVP.

Powyższe może być ważną przesłanką dla zasady, by naszych posłów trzymać z dala od sądów (i prokuratur). Piszę to z przykrością, bo jednak są to ludzie pochodzący z powszechnych wyborów – w przeciwieństwie do sędziów. Ktoś oczywiście może powiedzieć, że prawnicy to wykształceni ludzie i dobrze wiedzą, co robić. Kłopot w tym, że przez lata pracy spotykałem nie tylko sędziów wspaniałych, ale też osoby z wielkim ego, które nie dostrzegały różnicy między niezawisłością a nieomylnością; widziałem sędziów skorumpowanych, których z uporem chroniono przed odpowiedzialnością, oraz takich, którzy z pogardą traktowali świadków. Nie jestem pewien, czy można temu gronu zaufać i zrezygnować ze społecznej kontroli, zwłaszcza że na tle krajów UE fatalnie oceniamy nasz wymiar sprawiedliwości. Obym się mylił, bo jeśli choroby toczące nasze sądy będą się rozwijać, stanie się to wodą na młyn wyłącznie dla populistów. ©

Adam Bodnar podczas konferencji prasowej dotyczącej proponowanych rozwiązań prawnych. Warszawa, 5 marca 2024 r.



WOJCIECH OKRUSNIK / EAST NEWS



Pat aborcyjny

MAŁGORZATA SOLECKA

SEJM ZAJMIE SIĘ PROJEKTAMI DOTYCZĄCYMI ABORCJI 11 kwietnia – ogłosił marszałek Sejmu Szymon Hołownia, oskarżany (głównie przez posłanki Lewicy) o zastąpienie sejmowej zamrażarki „uśmiechniętą chłodnią”. To przytyk do niezwyklej popularności polityka, który stanowisko marszałka Sejmu łączy z ambicjami prezydenckimi.

Na dziś wiadomo tyle, że na wizerunku Hołowni pojawiły się pierwsze rysy, a jego własny elektorat może być wręcz rozczarowany postawą lidera. Jak pokazały publikowane w ubiegłym tygodniu sondaże, duża część wyborców Polski 2050 jest skłonna poprzeć zmiany liberalizujące przepisy antyaborcyjne, łącznie z legalizacją aborcji do 12. tygodnia ciąży. Hamulcowym jest konserwatywna frakcja PSL – i Hołownia nie jest w stanie lub wręcz nie chce się jej przeciwstawić. Na ile to efekt przekonania, a na ile politycznych kalkulacji związanych z chęcią zagospodarowania części wyborców PiS? Na razie Trzecia Droga, po wzrostach związanych z popularnością marszałka Hołowni, notuje spadki. Poparcie dla PiS też spada, w siłę rośnie natomiast Konfederacja. Na ile te przepływy wyborców związane są z przepychankami wokół aborcji (bo nie sposób nazwać tego debatą), czas pokaże.

Na razie wiadomo, że prawdopodobnie kluby koalicji rządzącej zdolają się porozumieć w sprawie absolutnego minimum, czyli wystania wszystkich projektów do dalszych prac w komisji nadzwyczajnej.

Lewica obiecuje kobietom „bezpieczną, legalną” aborcję jeszcze w tej kadencji Sejmu, ale to ciągle raczej odległa przyszłość. „Tu i teraz” do gry wkracza Ministerstwo Zdrowia, które na dniach przekaze do konsultacji projekt przepisów nakładających na szpitale obowiązek wykonania terminacji ciąży, o ile przypadek spełnia przesłanki legalności. Mówiąc inaczej – jeśli zagrożone będzie zdrowie lub życie kobiety (lub też ciąża będzie wynikiem przestępstwa), szpital nie będzie mógł się zasłonić klauzulą sumienia ani odesłać kobiety z innych powodów (np. braku lekarza mogącego wykonać zabieg). Kara ma być dotkliwa: utrata kontraktu na oddział ginekologiczno-położniczy. Lepiej późno niż wcale, bo szpitale „od zawsze” miały obowiązek realizowania tego świadczenia: jest ono wpisane do koszyka świadczeń gwarantowanych. ©

NA PUNKTY

SZYBKO

Adam Gomoła został wykluczony z Polski 2050. „Nowa Trybuna Opolska” ujawniła stenogramy nagrań, na których ów najmłodszy polski poseł nakłania jednego z polityków partii do wpłaty pieniędzy na konto prywatnej firmy szefowej swojego sztabu wyborczego i tym samym ominięcia limitu wydatków w kampanii samorządowej. „Jedynka” na liście do sejmiku miała kosztować 20 tys. zł.

POWOLI

Marszałek Szymon Hołownia tymczasem przesunął o miesiąc sejmową debatę nad projektami ustaw dotyczących prawa aborcyjnego, a jego kolega z Trzeciej Drogi, wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz wytłumaczył, że dopóki prezydentem jest Andrzej Duda, i tak żadnej liberalizacji nie będzie.

DROGO

B. prezes Orlenu Daniel Obajtek przyznał nie bez dumy, że jest człowiekiem zamożnym. Jest też człowiekiem cennym: rada nadzorcza koncernu płaciła za jego ochronę ponad milion zł, a za te pieniądze (jak poinformował nowy rząd) wynajęty detektyw śledził posłów PO. ©P



Przywileje dla odwołanych

PIOTR SIKORA

KILKA TYGODNI PO ABP. ANDRZEJU Dziędzie kolejny polski biskup – Andrzej Dziuba z Łowicza (na zdjęciu) – został zmuszony przez Watykan do rezygnacji, ponieważ stwierdzono w jego przypadku „trudności w zarządzaniu diecezją, a w szczególności zaniedbania w prowadzeniu spraw o wykorzystanie seksualne popełnione przez niektórych duchownych wobec osób niepełnoletnich”.

Nuncjatura uczy się na błędach. W przypadku abp. Dzięgi dopiero powszechne publiczne oburzenie świeckich, księży, a nawet kilku biskupów, zmusiło ją do wyjaśnienia powodów rezygnacji metropolity szczecińsko-kamieńskiego. Tym razem nuncjatura sama od razu ujawniła – słowami zacytowanymi wyżej – przyczynę rezygnacji biskupa łowickiego. To niewątpliwie krok w dobrym kierunku.

Problemem, który pozostaje do rozwiązania, jest wyjaśnienie statusu biskupów dymisjonowanych z takich przyczyn. Czy przechodzą oni po prostu na emeryturę, zachowując wszystkie przywileje biskupa seniora? Jeśli tak, to zgodnie z przepisami

Konferencji Episkopatu będą mogli być nadal aktywni duszpastersko, a diecezja będzie ponosić koszty ich mieszkania, wyżywienia, opieki medycznej, wynagrodzenia jednej osoby „pracującej w domu biskupa” i – dodatkowo – kilkutyśiecznej pensji.

Komunikaty nuncjatury sugerują, że przyjęto właśnie powyższe rozwiązanie. A rodzi ono bardzo poważne wątpliwości moralne. Trzeba bowiem pamiętać, że nie chodzi tu o odwołania z powodu nieradzenia sobie w jakichś administracyjnych zawiłościach zarządu diecezją. Chodzi o konsekwencje świadomych działań, których skutkiem było

umożliwienie kilku księżom podległym danemu biskupowi dalsze krzywdzenie bezbronnych ludzi – krzywdzenie powodujące rany psychiczne, które mogą zrujnować całe życie.

Nie chodzi tu o zemstę, lecz o podstawowe zasady sprawiedliwości. Na przykład o to, by dana diecezja zamiast zapewniać zdymisjonowanemu biskupowi luksusowe życie, wspomagała skrzywdzonych w wyniku jego „zaniedbań” – przeznaczając na to choćby biskupią pensję. ©P



MATEUSZ MAREK / PAP



Antropocenu nie będzie

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

ANTROPOCEN, „ERA CZŁOWIEKA”, nie będzie oficjalną epoką geologiczną. Formalna komisja odrzuciła propozycję wpisania go do naukowego kanonu. Zadecydowały jednak detale. Nikt nie negował destrukcyjnego wpływu człowieka na naszą planetę.

Termin „antropocen”, stworzony 24 lata temu przez chemika noblistę Paula Crutzena, ma oznaczać czas, w którym działania ludzkości stały się dominu-

jącą siłą kształtującą Ziemię – ważniejszą od tektoniki czy wulkanizmu. Powołana 15 lat temu Grupa Robocza ds. Antropocenu (AWG) badała wywołane przez człowieka zmiany, by zdecydować, czy kwalifikują się do uznania ich za nową epokę. Jej zalecenia musiały zostać przyjęte przez trzy komisje powołane przez Międzynarodową Unię Geologiczną. Już pierwsza z nich, Podkomisja ds. Stratygrafii Czwartorzędu, odrzuciła

wniosek o wpisanie antropocenu do kanonu. Sprawa rozbiła się o definicję.

Członkowie AWG stwierdzili, że za początek antropocenu uznane powinny zostać lata 50. XX wieku i powojenne „wielkie przyspieszenie” – gwałtowny wzrost populacji, uprzemysłowienia i tempa niszczenia środowiska. Dopiero wtedy człowiek miał zasadniczo zmienić funkcjonowanie natury. Przeciwnicy twierdzili, że takie po-

dejście zbyt wąsko pojęcie i utrudnia całościowe badanie naszego wpływu na Ziemię.

Prof. Jan Zalasiewicz, wieloletni przewodniczący AWG, podkreślał w naszym podkasku, że choć 70-letni horyzont może okazać się krótki, to skala zmian wywołanych przez nas uzasadnia wyznaczenie nowej epoki. Mówił: „Znajdujemy się dziś w sytuacji, w jakiej znalazłby się ktoś, kto pojawiłby się na Ziemi w 70 lat po uderzeniu meteora, który skończył świat dinozaurów. Wiemy, że świat przeszłości został nieodwracalnie zmieniony, ale świat przyszłości jeszcze się nie ukształtował”. ©

MARIA BREMER,
PSYCHOTERAPEUTKA:

*Osobom pokrzywdzonym
wciąż brakuje
podmiotowego traktowania*



ARCHIWUM PRYWATNE

ANNA GOC: Inicjatywa „Zranieni w Kościele” powstała pięć lat temu, by wspierać osoby, które doświadczyły krzywdy seksualnej w Kościele. Co wtorek działa dyżur telefoniczny, czekają psychoterapeuci. Czy zmienił się profil osób, które dzwonią?

MARIA BREMER: Dotąd mieliśmy 268 dyżurów, odebraliśmy 601 telefonów. Nie zmieniło się to, że dzwonią głównie kobiety. Zdarza się, że są to osoby starsze, które po raz pierwszy opowiadają o swojej krzywdzie z dzieciństwa. Wiedzą, że sprawca już nie żyje, nie szukają wsparcia w formalnym zgłoszeniu sprawy, chcą jedynie opowiedzieć o tym, czego doświadczyły. Podkreślają, że to przynosi im ulgę.

Coraz częściej dzwonią także osoby, które doznały krzywdy, gdy były dorosłe: w grupie religijnej, zgromadzeniu zakonnym albo w przewodnictwie duchowym.

W ramach Inicjatywy „Zranieni w Kościele” istnieje możliwość skorzystania ze wsparcia asystentki, m.in. przy składaniu zawiadomienia w kurii. Jak zmienia się liczba tego typu zgłoszeń?

Wciąż pojawiają się prośby o wsparcie asystentki podczas zgłaszania sprawy, bo to moment trudny dla wielu skrzywdzonych. Jest ich jednak mniej, bo zwykle wzmożenie tego typu telefonów obserwowaliśmy po ujawnieniu kolejnych spraw wykorzystania seksualnego przez duchownych, których teraz w mediach jest mniej.

Od jakiegoś czasu dzwonią za to osoby, które swoją sprawę zgłosiły już kurii i od wielu miesięcy, a często i lat, nie otrzymały z kurii żadnych informacji o szczegółach postępowania. Osoby pokrzywdzone w Kościele mają status świadka we własnych sprawach,

a nie strony, dlatego nie mają wglądu w postępowanie. Jako Inicjatywa niewiele możemy zrobić, ale i tak interweniuje, bo widzimy, że nasze pytania nadają sprawie inny bieg – zwykle ją przyspieszają. Osoby skrzywdzone nierzadko nie mają też siły dopytywać o przebieg postępowania, pełnimy więc rolę ich rzecznika.

Od ponad czterech lat działa też grupa wsparcia, jak można do niej dołączyć?

Grupa jest otwarta dla wszystkich, choć teraz są w niej same kobiety. Spotkania odbywają się raz w miesiącu, w soboty, i trwają trzy godziny. Przed dołączeniem do grupy zapraszamy na konsultację z osobami prowadzącymi. Grupa jest finansowana przez Fundację Świętego Józefa.

Mówimy głównie o wsparciu osób pokrzywdzonych przez duchownych, które zorganizowali świeccy katolicy. Jakie zmiany wydają się Pani najpilniejsze wewnątrz Kościoła?

Osobom pokrzywdzonym brakuje podmiotowego traktowania i poczucia sprawczości. Sytuację, w jakiej się znajdują, dobrze oddaje cytat z jednej z kobiet: „To, co się wydarzyło, nie jest naszą winą ani naszym wstydem, jednocześnie chcemy mieć wpływ na to, komu, gdzie i w jaki sposób o tym mówimy”. Do tej pory jest tak, że jeśli w kurii pojawia się zgłoszenie, Kościół instytucjonalny całą uwagę przekieruje na sprawcę, a nie na osobę pokrzywdzoną. ©P

MARIA BREMER – pedagożka, psychoterapeutka. Ukończyła Profilaktykę przemocy seksualnej wobec dzieci i młodzieży w Akademii Ignatianum. Zaangażowana w Inicjatywę „Zranieni w Kościele”.

Kielich Chrystusa, naziści i brytyjski wywiad

HISTORIA ■ Przynajmniej dwieście miejscowości na świecie utrzymuje, że znajduje się u nich prawdziwy Święty Graal – kielich, z którego Chrystus miał pić wino podczas Ostatniej Wieczerzy. Jedną z najczęściej wskazywanych jako „ta prawdziwa” jest relikwia z katedry w Walencji. Kielich miał zostać przywieziony do Hiszpanii w III stuleciu, trafić do skarbcza królów Aragonii, a w końcu w 1437 r. do katedry w Walencji, która stała się ośrodkiem jego kultu.

Sklada się on z kamiennej misy o wymiarach 5,5 na 9,5 cm oraz z bogato zdobionych złotem i klejnotami (28 pereł, 2 rubiny i 2 szmaragdy) uchwytów i podstawy, dorobionych w średniowieczu. Badania archeologiczne przeprowadzone w latach 60. XX w. wykazały, że część kamienna powstała w I-II wieku przed Chrystusem i może pochodzić z Palestyny.

Na walenckiego Graala ostrzyli sobie zęby już żołnierze napoleońscy, dlatego w 1812 r. – podczas oblężenia miasta przez Francuzów – duchowni wywieźli go wraz z innymi skarbami na Majorkę. Jeszcze ciekawsze są losy relikwii podczas hiszpańskiej wojny domowej (1936-39). W pogrążonym w chaosie mieście, które przez długi czas było siedzibą rządu republikańskiego, płonęły kościoły, niszczone przez lewicowych bojówkarzy. Rankiem 21 lipca 1936 r. księża zamknęli drzwi katedry, a świecka kobieta Sabina Suey owinęła Graala w materiał oraz gazety, wyniosła bocznym wyjściem i ukryła w swoim domu. Wkrótce potem katedrę podpalono.

Po mieście rozniosła się plotka, że Suey wie coś o zniknięciu Graala ze skarbcza katedry. Jej dom przeszukiwała wielokrotnie republikańska milicja, nachodzili ją międzynarodowi handlarze dziełami sztuki, miała też otrzymać od niemieckich nazistów ofertę olbrzymiej zapłaty za wydanie skarbu.

W ostatnich dniach hiszpańska historyczka Ana Mafé García poinformowała o odnalezieniu nowych źródeł (dokumentów i pamiętników), mających wskazywać, że Sabinę nachodzili też przedstawiciele brytyjskiego wywiadu MI6. Sprawę opisuje obszernie brytyjska prasa. W zamian za obietnicę wywiezienia kobiety i jej rodziny do Londynu żądali wydania Graala. Jednak Sabina – tak jak wszystkim innym – tłumaczyła, że nic nie wie o relikwii.

Kielich udało jej się wywieźć z miasta do rodzinnego domku na wsi. Tam go przechowywano – w ramie okiennej – przez dwa lata, aż do zakończenia hiszpańskiej wojny domowej. ©© MACIEJ MÜLLER



CRO MAGNON / ALAMY / BE&W

Rząd rezygnuje z finansowania nowych inwestycji

KULTURA ■ Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wstrzymało finansowanie przebudowy dawnego hotelu Cracovia na Muzeum Architektury i Designu w Krakowie. Podobnych decyzji jest więcej. Zrezygnowano m.in. z budowy Centrum Magazynowo-Konserwatorskiego Muzeum Narodowego w Warszawie i Teatru Polskiej Opery Królewskiej oraz z adaptacji dawnego szpitala wojskowego w Chełmie na siedzibę Muzeum Pamięci Ofiar Rzezi Wołyńskiej (łącznie dotyczy to 8 inwestycji). Decyzje wyjaśniono ograniczonymi możliwościami finansowania, wynikającymi z wieloletnich zobowiązań podjętych przez poprzednie kierownictwo ministerstwa.

Są poważne powody, by w tej chwili zrezygnować z rozbudowy stołecznego Muzeum Narodowego – dziś kluczowy jest remont należących do niego przestrzeni, które przez lata zajmowało Muzeum Wojska Polskiego. Wątpliwy był też pomysł budowy gmachu opery na terenach bezpośrednio przylegających do Łazienek Królewskich, co mogło zagrażać zabytkowemu zespołowi. Istotne jest też pytanie o sensowność kolejnego operowego gmachu w stolicy. Bardziej problematyczna jest jednak decyzja dotycząca Muzeum Architektury i Designu.



Budynek dawnego hotelu Cracovia z widokiem na Muzeum Narodowe. Kraków, styczeń 2024 r.

Budynek dawnej Cracovii został specjalnie nabyty przez państwo dla Muzeum Narodowego. Decyzja ta uratowała jeden z najcenniejszych przykładów późnomodernistycznej architektury i stanowiła symboliczne potwierdzenie, że wybitne budynki z czasów PRL-u, po 1989 r. często bezpodstawnie niszczone, są nieusuwalną częścią polskiego dziedzictwa. Zakup pozwalał również na powrót do pochodzących z 1910 r. planów stworzenia wielkomiejskiej przestrzeni placu-forum kultury z budynkami muzealnymi, połączonego jednocześnie z sąsiednimi Błoniami i z widokiem na kopiec Kościuszki.

Trzeba brać pod uwagę także to, że Muzeum Narodowe zaczęło systematycznie gromadzić eksponaty do przyszłej placów-

ki, która miała prezentować architekturę i design z XX i XXI w. Wreszcie, co ma również znaczenie, w 2023 r. zorganizowano konkurs architektoniczny na przebudowę Cracovii. Bryła hotelu miała pozostać niemalże niezmienną, natomiast większe zmiany zaszyby we wnętrzu: koszty przebudowy szacowano na ponad 400 mln zł.

Decyzja ministerstwa przerywa trwałe prace. Tym ważniejsza jest deklaracja Bartłomieja Sienkiewicza, że będzie rozmawiał z władzami Krakowa o wykorzystaniu dawnego hotelu i niewykluczone, że muzeum tam ostatecznie powstanie. Z pewnością potrzebne są w tej sprawie rozważne decyzje, by nie zostały zmarnowane wysiłki i środki, które już poniesiono.

© PIOTR KOSIEWSKI

Jesteśmy tym, z czego jemy

ZDROWIE ■ Wielu z nas przy najmniej kilka razy dziennie je lub pije żywność, która w trakcie produkcji, transportu lub przechowywania miała kontakt z plastikiem. Obecność w takich produktach cząstek plastiku, zwanych mikro- i nanoplastikami (MNP), została już wielokrotnie dowiedziona, podobnie jak jego gromadzenie się w narządach. A droga pokarmowa nie jest jedyną, jaką mikroplastik penetruje nasze organizmy – możemy go chłonać także przez skórę

i w powietrzu, które wdychamy. Powszechna obecność plastiku w ludzkim ciele nie może pozostawać bez wpływu na jego funkcjonowanie, choć dotąd brakowało na jego szkodliwość jednoznacznych dowodów.

Z pomocą przyszli Raffaele Marfella i współpracownicy, którzy w ubiegłym tygodniu w czasopiśmie „NEJM” opublikowali pracę wiążącą mikro- i nanoplastik z wyższym ryzykiem sercowo-naczyniowym. W pierwszym etapie wśród ponad 300 pacjentów wykonano zabieg usunięcia blaszki miażdżycowej z tętnic szyjnych w związku z ich krytycznym zwężeniem (celem endarterektomii jest m.in.

zapobieżenie udarowi niedokrwinnemu mózgu) i określono jej skład chemiczny. Następnie uczestników podzielono na dwie grupy pod względem obecności w blaszce miażdżycowej cząstek MNP i poddano kilkuletniej obserwacji. Pacjenci z obecnymi cząsteczkami MNP w blaszce miażdżycowej mieli ponad 4,5 razy wyższe ryzyko zawału, udaru lub wczesnego zgonu z dowolnej przyczyny niż chorzy ze „zwykłymi” blaszkami. Co więcej, w tej pierwszej grupie wyższa była również aktywność czynników prozapalnych – to może częściowo wyjaśniać mechanizm stojący za tą statystyką, bowiem stan zapalny sprzyja

pękaniu blaszki miażdżycowej, co bezpośrednio prowadzi do pojawienia się skrzepliny i udaru lub zawału.

Badacze podkreślają jednak, że eksperyment obarczony jest licznymi ograniczeniami, a wpływ na wyższe ryzyko sercowo-naczyniowe mogą mieć też inne elementy zanieczyszczenia środowiska czy status socjo-ekonomiczny. Ważnym pytaniem jest też, jaki mechanizm uchronił drugą grupę przed gromadzeniem cząstek plastiku w blaszce miażdżycowej, skoro jest on tak powszechny. Mammy jednak dowody na to, że jesteśmy nie tylko tym, co jemy – także tym, z czego jemy.

© BARTOSZ KABAŁA

W KRÓLESTWIE MROKU

Po ustawionych „wyborach” Putin przyspieszy budowanie totalitarnej wersji systemu na fundamencie wojennym. Chyba że... Chyba że kilka promieni nadziei okaże się więcej niż tylko promieniami.

ANNA ŁABUSZEWSKA

DYKTATURY TRZYMAJĄ SIĘ MOCNO AŻ do ostatniej godziny swego istnienia, gdy okazuje się, że były słabe, niezdolne do dalszego trwania. Dyktatorzy zaś wierzą, że są kochani przez lud i cieszą się bezgranicznym poparciem aż do dnia, gdy gwałtownie upadają lub giną z rąk poddanych.

Władimir Putin dokonał gwałtu na konstytucji Federacji Rosyjskiej i wywołał wojnę, aby zapewnić sobie nieograniczone rządy do 2036 r. Jak długo potrwa ta upragniona wieczność dyktatora, który w niedzielę 17 marca pozwoli się łaskawie wybrać na kolejną kadencję w „specjalnej operacji wyborczej”?

Problem sukcesji

Mniej więcej trzy lata temu w zaciszu kremłowskich gabinetów rozpisano scenariusze rozwiązania „Problemu 2024”. Czyli odpowiedzi na pytanie, co robić po zakończeniu obecnej kadencji Putina. Dopuszczano opcję „Namaszczony następca”, czyli przekazanie władzy w ręce nowego wybrańca, zaakceptowanego przez układ. Drugi scenariusz zakładał manipulację umożliwiającą pozostanie Putina i zapewnienie mu dożywcotnych rządów.

Problem sukcesji to nieustający ból głowy politycznych elit Rosji i postsowieckich państw satelickich. Wszystkie one posługują się instrumentarium imitującym demokratyczne procedury, przy faktycznym budowaniu dyktatur.

Przekazanie władzy z rąk do rąk to pole minowe, nie wszystkim udaje się przez nie przejść. Moskwa przyjaznym okiem patrzyła na model turkmeński: prezydent Gurbanguly Berdimuhamedow w 2022 r. przekazał bez przeszkód berło synowi Serdarowi, sam zachowując wpływy. Wcześniej podobny wariant ćwiczone z powodzeniem w Azerbejdżanie.

Natomiast w Kazachstanie coś poszło nie tak: po ustąpieniu wieloletniego prezydenta Nursułtana Nazarbajewa (wskazał on następcę, ale miał pozostać ważnym graczem) doszło do przetasowań w elicie, czemu towarzyszyły groźne dla władz zamieszki. W efekcie misterna układanka posypała się w kilka dni, a Nazarbajew utracił pozycję.

Kremłowscy decydenci uznali, że nie można ryzykować. Operację „Namaszczony następca” pospiesznie zwinęto.



Rytuał bez treści

Cóż więc uczyniono? Po spreparowaniu na nowo konstytucji i „wyzerowaniu kadencji” (niemającym nic wspólnego z demokracją) Putin przystąpił do przygotowywania spektaklu „wyborczego”. W postsowieckich reżimach, także w Rosji, odbywają się procedury nazwane „wyborami”, choć w istocie są biurokratycznymi rytuałami bez treści właściwej wyborom.

Tak będzie w przypadku „wyborów Putina”, które odbędą się 15-17 marca. Z tego



Transmisja orędzia Putina do narodu na moskiewskiej ulicy, 29 lutego 2024 r.

przedstawienia wyeliminowano rywali jedyne go słusznego kandydata, konkurencję zastąpiono grą pozorów, a wynik ogłoszono na wiele miesięcy przed głosowaniem: 80 proc. głosów ma paść na Putina (na marginesie: niezależni socjologscy szacują realne poparcie dla niego na poziomie 30-35 proc., zastrzegając, że w sytuacji zmrózenia strachem nie ma mowy o badaniu rzeczywistego stosunku społeczeństwa do władcy).

Podobnie jest w zgaduj-zgaduli, jak duża część Rosjan popiera wojnę. Putin

namawia poddanych do całkowitego i bezwzględne go poparcia „obrony ojczyzny” (to sreberko, w które propaganda zawią zbrodniczą ekspansję) i przekonuje, że całe społeczeństwo stoi za nim murem. Jednak kilka ostatnich wydarzeń podważyło tę tezę (wrócimy do tego za chwilę).

Coś wyjątkowego

Jednym z czynników, które w marcu 2024 r. miały dać Putinowi pewną wygraną, miała być „mała zwycięska wojna”.

Do tej pory było tak, że kontrolowane lokalne konflikty windowały rankingi Putina. Wojna czeczeńska, odebranie Gruzji dwóch prowincji (Abchazji i Osetii Południowej), aneksja Krymu: ich wspólnym mianownikiem była chęć utrzymania przez Rosję imperialnych wpływów na obszarze postsowieckim.

Aby napompować katamaran, na którym Putin mógłby wpłynąć na przestwór oceanu wiecznych rządów, trzeba było czegoś wyjątkowego. Także dlatego rosyjska armia ruszyła w lutym 2022 r. ➔

Julia Nawalna: na początku drogi

ZNALAZŁA SIĘ na celowniku Kremla, po tym jak ogłosiła, że będzie kontynuować działalność zmarłego męża.

KREML na pewno z uwagą wysłuchał jej odważnych wystąpień na konferencji na temat światowego bezpieczeństwa w Monachium i potem w Parlamencie

JEAN-FRANÇOIS BADIO / AP / EAST NEWS



Europejskim (na zdjęciu). „Putina nie złamię kolejną rezolucją ani kolejnym pakietem sankcji. On jest bossem zorganizowanej grupy przestępczej, z nim trzeba walczyć jak z mafią” – mówiła. Julia Nawalna wezwała zachodnich przywódców do nieuznania wyników „wyborów” i do traktowania Putina jak uzurpatora. Takie wypowiedzi świadczą o odwadze i bezkompromisowości.

REŻIM dołoży starań, aby pamięć o Aleksieju Nawalnym została jak najszybciej zmyta falami entuzjazmu dla kandydata na wiecznego prezydenta. A przeciwko Julii Nawalnej machina propagandowa przygotowuje na bieżąco hektolitry nieczystości, rozlewane obficie w mediach społecznościowych. Prokremlowscy komentatorzy nazywają ją „wesołą wdówką”, imputują interesowność, chodzenie na pasku Zachodu itd., itp.

CZY PRZEBYWAJĄC za granicami Rosji, Julia Nawalna ma szansę stać się przywódczynią „szczęśliwej Rosji przyszłości”? Jest dziś na początku politycznej drogi – do tej pory była najbliższą współpracownicą Aleksieja, świadomą celów, jakie sobie stawiał. Wspierała go we wszystkim, ale nie odgrywała samodzielnej roli.

TERAZ STANĘŁA naprzeciw Putina sama. Jak wówczas, gdy po otruciu Aleksieja nowiczkim w sierpniu 2020 r. walczyła o wyrwanie z gardła kremlowskiego smoka zezwoleń na wywiezienie męża do niemieckiej kliniki. Kremlowski smok wtedy ustąpił. Na chwilę. © At



GETTY IMAGES

Mimo zastraszania w pogrzebie Nawalnego wzięło udział kilkanaście tysięcy ludzi. 1 marca 2024 r.

→ na Ukrainę – pod hasłami ochrony rosyjskiej ludności Donbasu oraz demilitaryzacji i denazyfikacji „kijowskiego reżimu”.

Tuby propagandowe Kremla zapowiadały wzięcie Kijowa w trzy dni. Tego celu nie osiągnięto ani na początku inwazji, ani później. Stolica Ukrainy jest regularnie ostrzeliwana, giną cywile, co stanowi pogwałcenie międzynarodowych konwencji o ochronie ludności cywilnej podczas konfliktów zbrojnych. Rosja nic sobie z tego nie robi, jej generacja kłamie w żywe oczy, powtarzając, że jedynym celem rakiet i dronów są obiekty wojskowe.

„Nikogo nie napadaliśmy”

Przez ostatnie dwa lata Putin wielokrotnie wił się, by uzasadnić wojnę, nazywaną ciągle „specjalną operacją wojskową”. Cele zmieniały się jak w kalejdoskopie. Czasem propaganda nadążała z objaśnianiem jego słów, gdy ogłaszał kolejne korekty. Bywało, że Kremlowi i jego obsłudze medialnej myliły się deklarowane i utajnione zadania: od „obrony Donbasu” i „my na nikogo nie napadaliśmy”, przez zniszczenie „państwa ukronazistów”, aż po „niech NATO się szykuje, bo mamy broń ją drować”. Wszystko dla pokoju, ma się rozumieć.

Sprawy ciągle się komplikują, a konflikt, planowany jako krótka i niewyma-

gająca wielkich nakładów wojna kolonialna (przywrócenie Ukrainy pod kontrolę matuszki Rosji), przeciąga się. Wobec zachodniego wsparcia dla Kijowa i woli Ukraińców dalszej obrony niepodległości potrzebne są nowe kalkulacje.

Tymczasem niezależny politolog Abbas Gallamow zauważa: „Kolonialna wojna nie ma prawa trwać długo. Albo metropolia wygrywa ją szybko, albo nakłady – polityczne, wojskowe, ludzkie, ekonomiczne, kulturowe, infrastrukturalne – okazują się na tyle duże, że zaczynają przeważać nad plusami, wynikającymi z przywrócenia kontroli nad zbuntowaną kolonią”. I dodaje: „W historii przeciągające się kolonialne wojny zwykle kończyły się rewolucją i zmianą reżimów”.

Czy tak będzie dziś w Rosji? I czy Putin w ogóle dopuszcza myśl, że jego rządy mogą się skończyć?

Eskalacja jako narzędzie

Na razie dyktator pogrąża się w fałszywych wersjach historii. W wywiadzie udzielonym amerykańskiemu lobbyście Tuckerowi Carlsonowi dowodził, że w 1939 r. pokojowo nastawiony Hitler został zmuszony do agresji: to Polacy swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem wymusili na nim rozpoczęcie wojny światowej.

Takie manipulacje to firmowy zabieg Putina, wyniesiony ze szkoły KGB. Można się tylko zastanawiać nad jednym: czy po-

padł w paranoję i naprawdę tak myśli, czy też buduje nieprawdziwe narracje na użytek doraźny? Jeśli faktycznie uważa, że taki był związek przyczynowo-skutkowy największego konfliktu w dziejach świata, to w taki sam sposób może wywieść genezę nowej wielkiej wojny, o której pomrukuje w wystąpieniach.

„Putinowi wydaje się, że rok 2024 otwiera pewne okno możliwości i Rosja ma szansę przełamania sytuacji na wojnie z Ukrainą na swoją korzyść – pisze politolożka Tatiana Stanowaja z berlińskiego Centrum Carnegie. – Dużych dostaw broni nie będzie, Amerykanie są zajęci wyborami, strategia wobec Ukrainy zejdzie na dalszy plan, UE nie da rady sama, a i Ukraina będzie przeżywać problemy”. Jej zdaniem Putin sądzi, że w tej sytuacji „najważniejsze to przekonać Zachód, iż należy pozbyć się Zełenskigo i przymusić nową (słabszą) ukraińską władzę do rozmów z Rosją. I kapitulacji”.

Jednak zanim to nastąpi, trzeba sobie jakoś radzić. W orędziu z 29 lutego Putin odniósł się do narastających w Europie obaw przed napaścią Rosji: nazwał je idiotyzmem. Po czym, jak zauważa Stanowaja, „natychmiast przekierował ostrze odpowiedzialności na Zachód: to państwa zachodnie planują uderzenie na rosyjskie terytorium. Zapewnił, że skutki wysłania [zachodnich] kontyngentów na Ukrainę będą miały tragiczne skutki, z unicestwieniem cywilizacji w rezultacie wojny nuklearnej włącznie”. „Trudno się uwolnić od wrażenia, że Putin świadomie rozkręca spiralę eskalacji” – komentowała Stanowaja.

Zabójczy reżim

W czasie, gdy dyktator wygłaszał orędzie, trwały zabiegi władz, aby rodzinie Aleksieja Nawalnego uniemożliwić zorganizowanie uroczystości pogrzebowych. Najważniejszy opozycjonista, więziony od stycznia 2021 r., zmarł nagle 16 lutego. Nadal nie wiadomo, w jakich okolicznościach. Jedno jest pewne: odpowiedzialność za tę śmierć ponosi reżim Putina, który morduje oponentów mogących zagrozić jego władzy.

W grudniu 2023 r. Nawalny został przeniesiony z łagru w centralnej Rosji do jednej z najcięższych kolonii karnych, noszącej nazwę Wilk Polarny i położonej na dalekiej północy, z dala od ludzkich siedzib i życia politycznego.

Za najmniejsze wykroczenie osadzano go tam w karczerze. Wpłynęło to na pogorszenie się stanu zdrowia „więźnia numer jeden”.

Wcześniej Nawalny odsłaniał kulisy władzy, pokazywał skorumpowanie elit wokół Putina, wyciągał na światło dzienne skrywane majątki, wykpiwał kiepski gust dyktatora, który pławi się w ukradzionych luksusach. Miał charyzmę, potrafił przemawiać do ludzi, zyskać ich zaufanie. Jak pisał jeden z komentatorów, „Nawalny był kosmitą w krajobrazie rosyjskiej polityki, pełen optymizmu, bezpośredni, zawsze uśmiechnięty”.

Ponury reżim, oparty na sile, nie mógł znieść takiej konkurencji. Już w 2020 r. zapadła decyzja o otruciu Nawalnego nowiczekiem, bojowym środkiem chemicznym. Przeżył, a potem podczas rehabilitacji w Niemczech rozwikłał zagadkę zamachu i zdołał nawet skompromitować wykonawców rozkazu. Kreml do wydania go się nie przyznał.

Publikowane przez Nawalnego materiały o bogactwach Putina i jego otoczenia były nieustannym bólem głowy dyktatora. Uznawał on działalność Nawalnego

za osobistą obrazę. A samego Nawalnego za wroga. Także po śmierci.

Promienie nadziei

Pogrzeb, na który władze – po długich korowodach, szantażowaniu matki, unikach i kłamstwach – wreszcie zezwoliły, odbył się na obrzeżach Moskwy. Nabożeństwo żałobne odprawiono w małej cerkwi w blokowisku Marjino, a na miejsce pochówku wyznaczono pobliski Cmentarz Borisowski. Mimo akcji zastraszania w uroczystościach wzięło udział co najmniej 16 tys. ludzi.

W następnych dniach grób Nawalnego został zasypyany kwiatami, składanymi przez kolejne tysiące, które chciały go pożegnać, oddać mu hołd. Poza Moskwą ludzie składali kwiaty pod pomnikami ofiar totalitaryzmu, co władze uznały za prowokację, niszczyły te spontaniczne memoriały ku czci Nawalnego i ścigały uczestników akcji.

Czy kilkanaście, może kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy przyszli na cmentarz, to dużo czy mało? Dużo – w atmosferze strachu, który Putin serwuje społeczeństwu. Mało – jeśli porównać

Rytuał „wyborczy” i jego aktorzy

ZWIĄZANA Z KREMLEM

sondażownia WCIOM opublikowała 3 marca najnowszy ranking kandydatów: listę otwiera, jakżeby inaczej, Władimir Putin z podobno 75-procentowym poparciem. Na drugim miejscu znalazł się Władisław Dawankow z partii Nowi Ludzie z 6-procentowym poparciem. Dwie pozostałe pozycje zajęli bezbarwni koncesjonowani kandydaci: jeden z ramienia Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej (Nikołaj Charitonow – 4 proc. poparcia) i drugi z Liberalno-Demokratycznej Partii Rosji (Leonid Słucki – 3 proc.).

SŁUCKI od wielu lat jest deputowanym Liberalno-De-

mokratycznej Partii Rosji, a po śmierci w 2022 r. Władimira Żyrinowskiego, założyciela i przywódcy LDPR, został jej przewodniczącym. Przezornie trzyma się uchwytów, nie wychyla, wykonuje polecenia Krem-la. W 2018 r. zrobiło się o nim głośno, gdy kilka dziennikarek delegowanych przez redakcje do relacjonowania wydarzeń w Dumie Państwowej poskarżyło się na niestosowne zachowanie Słuckiego. Według ich słów deputowany dotykał je w miejscach intymnych i obejmował, nie zważając na protesty; jednej proponował, aby została jego kochanką. Koledzy z Dumy stanęli murem za Słuckim, sprawie ukrecono łeb.

CHARITONOW

już raz reprezentował Komunistyczną Partię Federacji Rosyjskiej w rytualnych zmaganiach. W 2004 r. w „wyborach” prezydenckich zdobył 13 proc. i zajął drugie miejsce (za Putinem). Jest aparaczykiem bez wyrazu, byłym dyrektorem sowchozu. Zawsze mierny, ale wierny. W 2000 r. otrzymał od ówczesnego dyrektora Federalnej Służby Bezpieczeństwa Nikołaja Patruszewa awans do stopnia pułkownika.

NAZWISKA DAWANKOWA, Słuckiego i Charitonowa znajdują się na zachodnich listach sankcyjnych za popieranie rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

© Ał

→ choćby z pogrzebem sowieckiego dysydenta Andrieja Sacharowa z 1989 r., na który przyszło kilkaset tysięcy (był to sygnał diametralnych zmian w nastrojach).

Pogrzeb Nawalnego to nie *game changer*. Ale jest to „promień światła w królestwie mroku”: jedno z tych wydarzeń, które podważają tezę Kremla o bezwarunkowym poparciu całego społeczeństwa dla wojny i dla Putina. Jego uczestnicy zobaczyli, że nie są sami w swoim oporze wobec reżimu, że w zniewolonym kraju żyją jeszcze wolni ludzie.

Takich promieni dyktator nie toleruje. Większość obserwatorów uważa, że po „wyborach” Putin jeszcze mocniej przykręci śrubę, by wyeliminować niezadowolonych, ukarać krnąbrnych i nielojalnych, wzmocnić segment siłowy. Być może przeprowadzi nową mobilizację, aby spróbować przełamać sytuację na froncie. I zapewnić sobie coś, o czym marzy, a czego nie potrafi dotąd osiągnąć: namiastkę zwycięstwa w tej wojnie.

Poparcie autentyczne

Ale wróćmy jeszcze do Nawalnego: udział w jego pogrzebie był też manifestacją pokojową. Politolog Michaił Winogradow uważa, że była to trzecia w ciągu ostatniego roku masowa reanimacja nastrojów antywojennych – po buncie Prigożyna i kampanii Nadieżdina (o nim za chwilę). Winogradow sądzi, że apatyczna większość społeczeństwa nie ma zdania, czy wojnę popierać, czy też nie – podąża za trendem, który wydaje się dominujący. Dlatego władzom tak



DMITRI LOVETSKY / AP / EAST NEWS

Gdy Nadieżdin zadeklarował, że zacznie rozmowy pokojowe z Ukrainą, wielu Rosjan stanęło w kolejkach, by podpisać się na jego listach poparcia. Na zdjęciu: Petersburg, 23 stycznia 2024 r.

zależy, by nie dopuścić do wzmocnienia trendu antywojennego.

Zapewne z tego właśnie powodu nie został dopuszczony do „wyborów” Borys Nadieżdin, który nieśmiało deklarował chęć zakończenia wojny.

Nadieżdin jest obecny w polityce od lat 90. XX w. Nie był w pierwszym jej szeregu, uczestniczył w kilku projektach demokratycznych i liberalnych (zarówno niezależnych, jak i współdziałających z władzami). Jego udział w „wyborach” był najpewniej uzgodniony z Kremlm. Ale Nadieżdin został wyeliminowany, gdy tylko okazało się, że szybko zyskuje autentyczne poparcie. I gdy do światowych mediów zaczęły trafiać relacje spod jego sztabów wyborczych, przed którymi ustawiały się kolejki ludzi pragnących złożyć podpis na listach poparcia.

Skąd to poparcie? Swoimi ostrożnymi deklaracjami – że będzie dążyć do wypuszczenia z łagrów opozycjonistów i zacznie rozmowy pokojowe z Ukrainą – Nadieżdin pobudził do aktywności tę część społeczeństwa, która jest przeciwna awanturnictwu Putina. Sondaże zamawiane przez sztab Nadieżdina wskazywały nawet na 10-procentowe poparcie, a dalsza kampania i obecność w mediach mogłyby je zwiększyć. Kreml uznał więc, że zawsze należy zapobiec konsolidacji ludzi gotowych do protestu – pod zmyślnym pretekstem Nadieżdina wykluczono z wyścigu.

Na nowej kanapie

Po wyeliminowaniu Nadieżdina na czoło rankingu dopuszczonych odgórnie kontrkandydatów Putina wysforował się niejaki Władisław Dawankow, postać szerzej nieznana. Kremlowskie sondażownie dały mu nawet 5 proc. poparcia.

Rywale Putina nie mogą wyrosnąć ponad poziom jego obuwia. Dawankow na pewno zdaje sobie z tego sprawę. Jednak ostatnie sondaże wskazują na wzrost poparcia dla niego. Mogą na to wpływać dwa czynniki: przepływ części elektoratu, który chciał głosować na Nadieżdina, a także „czynniki Nawalnego”. Przed śmiercią opozycjonista apelował, by nie bojkotować „wyborów”, lecz przyjść do lokali w niedzielę 17 marca w południe i oddać głos na kogośkolwiek, byle nie na Putina. Być może pewna grupa zwolenn-

Naszemu redakcyjnemu koledze

Arturowi Sporniakowi

wyrazy serdecznego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

PRZEKAZUJĄ PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

ników Nawalnego zgłasza więc na Dawankowa.

Należy on do kierownictwa partii Nowi Ludzie, ulepionej na odgórne zamówienie przed „wyborami” do Dumy w 2021 r. Kremłowi chodziło wówczas o to, aby wprowadzić na scenę jakieś nowe ugrupowanie i przyciągnąć do urn tych obywateli, którzy nie mogą już patrzeć na postaci z tzw. koncesjonowanej opozycji.

Nowi Ludzie nie zdobyli wielkiej popularności – wtopili się w układ, wstawili po prostu swoją kanapę w pomieszczeniach służbowych i tyle. Są lojalni, poparli agresję na Ukrainę, choć nie są prymusami w „patriotycznych” inicjatywach. Dawankow wypowiada się o wojnie pokrętnie, nie chcąc narażać się na zarzut, iż podważa politykę Kremla.

Co potem?

W manipulowanych „wyborach” wygra kandydat, który już nie powinien startować. Rządzi od tak dawna, że nie pamięta początku swojej prezydentury. Wtedy – a był rok 2000, gdy pierwszy raz obejmował urząd głowy państwa – twierdził, że na pewno nie będzie się trzymał prezydenckiego fotela, że odejdzie, gdy skończy się przewidywana przez konstytucję druga kadencja, że pełnienie tak ważnego urzędu dłużej byłoby nieefektywne itd., itp.

Wynik „wyborów” zostanie narysowany zgodnie z ustaleniami urzędników Administracji Prezydenta, którzy odpowiadają za reżyserię tego widowiska.

Czy taka uzurpacja władzy z pogwałceniem konstytucji zostanie przełknięta przez społeczność międzynarodową? Czy nieważna legitymacja władzy Putina przyczyni się do pogłębienia jego izolacji w świecie (może przynajmniej na Zachodzie)?

A społeczeństwo? Społeczeństwo wróci do swojej rutyny. Część zostanie wkręcona bezpośrednio w maszynę wojenną. Część jeszcze bardziej niż dotąd będzie starała się odsunąć na bok, uciec od polityki, od odpowiedzialności, od złych nowin. Tych ostatnich będzie zapewne coraz więcej, bo po „wyborach” Putin przyspieszy budowanie totalitarnej wersji putinizmu, opartego na fundamencie wojennym. Chyba że nadleci stado czarnych łabędzi, które przysiadając na dachu Kremla, rozwalą tę przegniłą konstrukcję...

© ANNA ŁABUSZEWSKA



**Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

Mamy się czym pochwalić:
od piętnastu lat współorganizujemy
Conrad Festival i od dziesięciu – **Copernicus Festival**. Wyprodukowaliśmy dwa filmy dokumentalne: „xABO: Ksiądz Boniecki” i „Ukos światła”. Prowadzimy akcję „Lekcje czytania” i pomagamy rozwijać „Podkast Tygodnika Powszechnego”.

Nasz nowoczesny projekt technologiczny **rE-medium** wspiera suwerenność wydawniczą „Tygodnika Powszechnego”, a niedługo będzie wspomagać inne niezależne polskie media.

**Wspólnie z Tobą chcemy
krok po kroku zmieniać
świat na lepsze. Naprawdę**

**PRZEKAŻ 1,5% PODATKU
FUNDACJI
TYGODNIKA POWSZECHNEGO
» KRS 0000 125 605**

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Okup za duszę*



PODATEK ZRYCZAŁTOWANY W WYSOKOŚCI ok. 25 zł winien – wedle prawa biblijnego – uiścić rokrocznie każdy dorosły Izraelita płci męskiej. Ulga dla młodych (czytaj: zwolnienie z podatku) obowiązuje tylko do 20. roku życia, kiedy to – uzyskawszy odpowiednią kategorię – idzie się w kamasze. Napisane jest: „Gdy zbierzesz poczet synów Izraela wedle spisowych ich, niechaj da wtedy każdy okup duszy swojej Wiekuistemu przy spisie ich, aby nie było w pośród nich klęski, przy spisie ich. Oto co dać ma każdy przechodzący ku spisowym, – pół szekla według szekla świętego; po dwadzieścia ger szekel; pół tego szekla, jako dań Wiekuistemu” (Wj 30, 12-13; Cyilkow). W tym wypadku naczelnik właściwego urzędu skarbowego nie przysłał listem poleconym decyzji o wysokości stawki ryczałtu, skąd więc owe 25 zł?

Z zapisów wiadomo, że używana w Świątyni moneta półszeklowa odpowiadała wagowo 160 ziarnom jęczmienia – czyli około ośmiu gramom srebra. Obecna cena w skupie tego metalu wysokiej próby to nieco powyżej trzech złotych za gram. Nie wiemy, ile warty był kruszec w owych czasach, kurs szekla świątynnego w stosunku do obiegowej waluty fluktuował, więc ten szacunek to grube przybliżenie.

Jakie ma dziś znaczenie, ile wynosiło pogłówne w starożytności? Otóż jest zwyczaj, by w święto Purim – które właśnie nadchodzi – dać na dobroczynność pół szekla. Jeśli chcemy się z tego wywiązać, warto wiedzieć, że należy to zrobić jedną monetą. W przeszłości zwykle wykorzystywano do tego będące w owym czasie w obiegu jednostki płatnicze, nawet jeśli ich wartość przewyższała szekiel świątynny. Nie działało to jednak w drugą stronę: w pierwszej części Talmudu możemy przeczytać, że ludzie chcieli dawać po pół dinara – taka waluta obowiązywała wówczas w Ziemi Izraela – i mędrcy się na to nie zgodzili ze względu na niższą wartość dinara niż szekla świątynnego.

Dolar amerykański to też mniej niż szekiel świątynny, dlatego niektóre synagogi w Stanach Zjednoczonych starają się przed Purim dać chętnym możliwość nabycia srebrnych monet półdolarowych. Niektórzy ofiarowują nie jedną, lecz trzy „półszekłówki”, ponieważ słowo „dań” (hebr. *truma*) występuje w biblijnym fragmencie Wj 30, 11-16 trzykrotnie. Ten kawałek odczytuje się w synagogach dodatkowo w okolicach początku miesiąca, w połowie którego wypada Purim.

Dlaczego pół, a nie cały szekiel? Byśmy pamiętali, że każdy z nas jest jeno połówką i pełnię osiągamy tylko, łącząc się z inną osobą. Poza tym przed obliczem Najwyższego wszyscy jesteśmy równi, niezależnie od grubości portfela. Z tego względu „[b]logaty niechaj nie dołoży, a ubogi – nie ujmie od półszekla, składając tę dań Wiekuistemu” (wers 15.). ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Niekończąca się żałoba*



W OSTATNICH MIESIĄCACH życia JEZUSA apostołowie czuli się coraz bardziej zagubieni. Nie mogli pojąć, dlaczego Jezus marnuje wszystko, czego dorobił się w ciągu paru lat działalności. Nie tylko nie wykorzystuje na swoją korzyść popularności, jaką się cieszy, ale mocno kontrowersyjnymi działaniami zaostrza konflikt. Mieli rację, przewidując katastrofę. Konając na krzyżu, Jezus przekreślił ich marzenia o życiu pod Jego rządami w wolnym kraju opływającym mlekiem i miodem. Ostatecznie w wiosenne popołudnie między 30. i 33. rokiem nowej ery apostołskie gremium poszło w rozsypkę.

Jednak wspomnienia o Jezusie – o tym, co dzięki Niemu przeżyli, jak On zmienił ich podejście do rzeczywistości – nie pozwalają o Nim zapomnieć. Potrzebowali czasu, żeby Jego klęskę na Golgocie zobaczyć jako zwycięstwo. W Ewangelii Mateusza Jezus mówi: „Teraz jestem głęboko wstrząśnięty. I cóż mam powiedzieć? Ojczy, ocal Mnie od tej godziny? Przecież przyszedłem z tego powodu – dla tej godziny”, co autor Listu do Hebrajczyków tak objaśnia: Jezus „podczas swego ziemskiego życia, z wielkim wołaniem i łzami zanosił błagania i prośby do Tego, który mógł Go ocalić od śmierci. I został wysłuchany dzięki swej uległości”.

Cóż zatem ja, dzisiejszy człowiek, mam do powiedzenia dzisiejszemu człowiekowi, którego nijak nie mogę „ocalić od śmierci”? Że Jezus zmartwychwstał, to i my zmartwychwstaniami? Owszem, być może Jezus wyszedł z grobu po trzech dniach – nieraz słyszałem – ale moja córka, mój jedyny syn, właśnie do grobu wchodzi i nie widzę szans na jego wyjście z tegoż grobu.

Co powiedzieć mężowi i dwójce dzieci zmarłej trzydziestolatki? Że ich modlitwy spełzyły na niczym, bo nie były zgodne z Bożą wolą, a On najlepiej wie, czego nam potrzeba? A poza tym mamusia jest w niebie u bozi i jest jej tam bardzo dobrze? Może i tak, ale co nam po tym, skoro nam bez niej jest źle, bardzo źle?

Pytania można by mnożyć w nieskończoność. A ból dotkniętych śmiercią jest tym bardziej piekący, im głośniejsze i natchnioniej krzyczą cudownie uzdrowieni i uratowani od niechętnej śmierci dzięki wyszukany modłom charyzmatycznych cudotwórców oraz pielgrzymkom do cudownych obrazów. Wygląda jednak na to, że najwłaściwsza odpowiedź na te pytania kryje się w banalnym porzekadle: „Takie jest życie”. Życie nas, ludzi, i życie Boga, który dlatego jest prawdziwy, gdyż żyje tak, jak i my żyjemy. Zgoda na takie życie, w którym śmierć nierozzerwalnie wiąże się z życiem, jest równoznaczna z zaufaniem Bogu, który w Jezusie przeżył ludzkie szczęścia i nieszczęścia. Dopóki więc śmierć nie stanie się siostrą życia, nie wygrzebiemy się z niemającego końca przeżywania żałoby. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Szata i pierścień

*U kresu naszego
poznania
poznajemy Boga
jako nieznanego.*

TOMASZ Z AKWINU



*Wzrok Tam nie sięga,
ani mowa, ani umysł.
Nie da się poznać.
Oddzielonego od tego,
co znane,
i ponad tym,
co nieznanne.*

UPANISZADA KENA



„PRZYNIĘŚCIE SZYBKO najlepszą szatę i ubierzcie go; dajcie mu też pierścień na rękę i sandały na nogi” – mówi do sług Ojciec z Jezusowej przypowieści „o synu marnotrawnym” (Łk 15, 11-32). Chciałbym zwrócić uwagę na dwa pierwsze elementy tego polecenia.

Pierwszy: „Przynieście szybko najlepszą szatę!”. No cóż, nasze tłumaczenie w tym wypadku nie jest dosłowne. Grecki tekst Ewangelii mówi bowiem nie o „najlepszej” sukni, lecz o „pierwszej” szacie (*stolèn tèn prōtēn* – i św. Hieronim tak właśnie tłumaczy w Wulgacie: *proferte stolam primam*).

To bardzo piękne. Naszą „pierwszą szatą” jest biała szata chrzcielna, podkreślająca nie tylko świętość i oczyszczenie z grzechów, ale także potrójną godność: proroka, króla i kapłana. Kiedy – jako marnotrawni – wracamy do Ojca, On – w swoim miłosierdziu – nie tylko przebacza, ale natychmiast odnawia w nas pierwotną godność Bożego dziecka (córkę lub syna). Odsłania nam przed oczyma nasze fundamentalne uposażenie, na którym możemy budować (ostatecznie wszystko to, kim możemy być i co możemy zdziałać w Kościele, zbudowane jest na chrzcie).

I drugie polecenie wydane sługom w stosunku do syna, który właśnie wrócił: „Dajcie mu pierścień na rękę!”. Tu zatrzymujemy się ze zdumieniem.

Przecież pierścień jest nie tylko znakiem przynależności do rodu, ale także znakiem dziedzica. Budzi się w nas pytanie – jeśli wręcz nie protest: na jakiej zasadzie ów młody człowiek miałby znów zostać dziedzicem? I co miałby odziedziczyć? Wszak odebrał już od Ojca „część własności, która przypadała na niego”, a zaraz potem „zabrawszy wszystko, odjechał w dalekie strony i tam roztrwonił swoją własność, żyjąc rozrzutnie”...

Dostał już swoje. Już nic mu się nie należy! Czy Ojciec ma dokonać nowego podziału majątku – z oczywistą krzywdą dla starszego brata? A skąd pewność, że i teraz ten młodszy nie okaże się marnotrawcą? Skąd aż taka wiara w jego zmianę myślenia i postępowania? A może wystarczy, że zaspokoi głód, który przygnał go z powrotem do domu, a wszystkie dawne demony powrócą? Czy nie lepiej poddać go jakiejś próbie – odpowiednio długiej i wymagającej, która pokaże trwałość jego nawrócenia? A poza tym: niech odpracuje najpierw to, co „roztrwonił z nierządnicami”! Wtedy może będzie mógł mieć udział w pomnażanym wspólnie majątku.

To wszystko są nasze pytania, wątpliwości i postulaty. Daremnie jest ich szukać po stronie Ojca. Właśnie dlatego miłosierdzie Boże (najpełniej wyrażone w Krzyżu Jezusa Chrystusa) jest „skandalem” (zob. 1 Kor 1, 23). ©

CZYTANIA LITURGICZNE (17-24 III)

5. niedziela Wielkiego Postu:	Środa: Dn 3, 14-20. 91-92. 95;
Jr 31, 31-34; Ps 51; Hbr 5, 7-9; J 12, 20-33;	Ps: Dn 3, 52-56; J 8, 31-42;
Poniedziałek: Dn 13, 1-9. 15-17. 19-30. 33-62;	Czwartek: Rdz 17, 3-9; Ps 105; J 8, 51-59;
Ps 23; J 8, 1-11;	Piątek: Jr 20, 10-13; Ps 18; J 10, 31-42;
Wtorek, uroczystość św. Józefa,	Sobota: Ez 37, 21-28;
Oblubieńca NMP: 2 Sm 7, 4-5a. 12-14. 16;	Ps: Jr 31, 10-12b. 13; J 11, 45-57;
Ps 89; Rz 4, 13. 16-18. 22; Mt 1, 16. 18-21. 24a	Niedziela Palmowa: Iz 50, 4-7; Ps 22;
lub Łk 2, 41-51a;	Flp 2, 6-9; Mk 14, 1 – 15, 47.

Wybrał PIOTR SIKORA



KRAJ

Księgarnia „Muza II” przy ulicy Królewskiej w Krakowie.
Grudzień 2017 r.

KSIĄŻKA ZNIKA

Co trzy dni zamykana jest w Polsce księgarnia. Państwo wraz z instytucjami odpowiedzialnymi za promocję czytelnictwa oraz włodarzami naszych miast, zamiast rozwiązać problem, zrzuciło odpowiedzialność na obywateli.

MONIKA OCHĘDOWSKA

NAJWIĘKSZE WZIĘCIE MA U NAS Herbert. Nie Frank, autor „Diuny”, tylko Zbigniew. Czytelnicy nieustannie pytają o jego książki, a tomiki poezji rozchodzą się błyskawicznie – opowiada Beata Arczewska z łódzkiego antykwariatu „Book się rodzi”. Duży, zasypany książkami lokal, mieszczący się w sąsiedztwie OFF Piotrkowskiej (popularnego miejsca spotkań, które powstało na terenie dawnej przedzalni), kupuje i sprzedaje literaturę od czterech dekad.

– Może panią zaskoczę, ale często zaglądają do nas przyjezdni, na przykład goście z Wybrzeża, którzy nie mają ta-

kich miejsc u siebie – mówi Arczewska. – Duży ruch jest przy półkach z kryminałami i fantastyką, ale bywający tu regularnie studenci pytają też o dzieła filozofów i różne specjalistyczne publikacje. Do tego mamy spore zbiory przedwojenne, gratka dla kolekcjonerów.

Tuż obok buszująca wśród regałów licealista śmieje się, że „Book” to jej „ulubiony lumpeks”. – Nie zawsze kupuję, po prostu lubię przeglądać tu książki. Jeśli akurat potrzebuję czegoś na lekcję polskiego, wybieram wydanie z taką okładką, która najbardziej mi się podoba – przyznaje.

Znikający tysiąc

Jeżeli mamy w sąsiedztwie księgarnię albo antykwariat, zaglądamy do niego nawet bez konkretnego powodu – potwierdzają to ankiety zebrane trzy lata temu przez Polską Izbę Książki. Kilku dziesięciu księgarzy spytało swoich klientów, co sądzą o prowadzonym przez nich miejscu. Łącznie uzyskano prawie pięćset odpowiedzi, z których wynika, że cenimy sobie przede wszystkim kameralną atmosferę oraz fakt, że po obejrzeniu oferowanych tytułów wybrany egzemplarz możemy zabrać do domu, by od razu rozpocząć jego lekturę. Dla ponad połowy ankietowanych księgarnia była ważnym ośrodkiem kultury i miejscem spotkania z innymi czytelnikami. Jedna trzecia odwiedzających księgarnię deklarowała wizytę w nich dwa razy w miesiącu, równie liczna grupa – nawet raz w tygodniu. Przy czym prawie 40 proc. osób, które odpowiedziały na ankiety PIK-u, to mieszkańcy małych miejscowości, w których księgarni jest, jak wynika z danych Instytutu Książki, z roku na rok coraz mniej.

Weźmy województwa zachodniopomorskie i pomorskie: rzeczywiście, jak zauważyła antykwariuszka z Łodzi, mieszkańcy wielu miejscowości Wybrzeża są właściwie zmuszeni, by interesujące ich tytuły nabywać przez internet albo pod-



Likwidacja księgarni „Muza II” przy ulicy Królewskiej w Krakowie.
Styczeń 2024 r.

czas wyjazdów. Żadnej księgarni nie ma dziś w Jastrzębiej Górze, Łebie i Międzyzdrojach; Ustka i Władysławowo mają po jednej. W Świnoujściu, liczącym 40 tys. mieszkańców, księgarnie są dwie, a w Kołobrzegu trzy. Turystyczny Sopot, posiadający także własny, wakacyjny festiwal literacki, jest w nieco lepszej sytuacji – poza Empikiem ma cztery księgarnie, w tym antykwariat.

Podobnie wygląda sytuacja w wielu innych miejscach poza największymi ośrodkami w Polsce, w rodzaju Warszawy czy Krakowa. Jak wynika z opublikowanego pod koniec lutego raportu Biura Informacji Gospodarczej, co trzy dni zamykana jest w Polsce jedna księgarnia. W ciągu dekad zniknęło ich z naszej mapy blisko tysiąc, przy czym najczęściej były to mikro- albo małe przedsiębiorstwa, głównie jednoosobowe działalności gospodarcze. Dziś w Polsce działa 1691 księgarni i antykwariatów, ale w tej liczbie uwzględnione są także lokale Empiku i innych sieci.

Jak sobie radzą ci mniejsi, niezależni? Wedle Rejestru Dłużników oraz bazy informacji kredytowej BIK pod koniec 2023 r. zadłużenie branży było o ponad 10 proc. wyższe niż rok wcześniej i sięgało 14,3 mln zł. Problemy z regulowaniem swoich zobowiązań miały 174 firmy, a więc jedna na dziesięć księgarni.

Mordercza konkurencja

Co wiadomo o przyczynach takiego stanu rzeczy? Wedle raportu Stowarzyszenia Księgarzy Polskich problemem jest przede wszystkim konieczność konkurencji z dużymi księgarniami oraz hurtowniami internetowymi, które już w dniu premiery walczą brutalnie o rynek, sprzedając książki po cenach niższych niż te, które oferowane są księgarzom. Życia nie ułatwia księgarzom inflacja, zmuszająca dziś czytelników do ograniczenia zakupów. Nie bez znaczenia są też koszty prowadzenia działalności i fakt, że ani instytucje odpowiedzialne za promocję czytelnictwa na szczeblu centralnym, ani samorządy nie widzą w księgarniach ośrodków kultury. „Sklepy z książkami” działają na równych prawach z drogeriami czy zakładami fryzjerskimi.

– Książka funkcjonuje dziś w sektorze FMCG, czyli produktów szybkozbywalnych. Obrót nią ze względu na obniżanie ceny w dniu premiery jest coraz szybszy. Z tego powodu książek jest na rynku zdecydowanie za dużo: krótki cykl ich życia wpływa na liczbę drukowanych tytułów, bo wydawcy trudno przewidzieć, co „zaskoczy”. A musi zaskoczyć szybko, by się zwróciło. To wszystko trzeba zatrzymać – mówi „Tygodnikowi” Anna Karczewska, promotorka książek w Państwo-

wym Instytucie Wydawniczym, organizatorka Weekendu Księgarń Kameralnych. – Książka jako produkt musi trafić do kategorii „dóbr kultury”, a księgarnie z kategorii „biznesy lokalne” powinny przejść do sektora „instytucji kultury”, by mogły być transparentnie wspierane przez samorządy. To nie jest kwestia jednej ustawy o cenie książki. To zadanie dla dużego programu naprawczego dla całej branży.

O co chodzi z „ustawą o cenie książki”? Otóż sytuacja w środowisku jest tak napięta, że na początku lutego księgarze opublikowali list otwarty „do wszystkich polityków i samorządów”, w którym zwracają uwagę na „rozregulowany, wręcz zdemolowany rynek książki”. Odpowiedzią na jego problemy ma być według sygnatariuszy wprowadzenie ustawy o książce, określającej również jej cenę. Jako wzór wskazane zostały rozwiązania, które obowiązują m.in. we Francji czy w Niemczech (zob. ramki).

„Jednolita cena książki” nie oznacza jednej ceny dla każdego tytułu, ale sytuację, w której wszyscy sprzedawcy, także internetowi, przez określony czas oferują książkę za cenę wydrukowaną na okładce. Cenę, która – jak mówi „Tygodnikowi” wydawcy – nie odzwierciedla dziś kosztów produkcji. Cena okładkowa to fikcja, tym bardziej że wszyscy →



Parasol nad księgarzami

FRANCJA przoduje w Europie pod względem liczby niezależnych księgarń. W całym kraju jest ich 3700, w tym aż 400 w stolicy. Nie tylko w Paryżu, ale też w mniejszych miastach niezależni księgarze trzymają się krzepko, broniąc się przed konkurencją w rodzaju Amazona.

MAŁE KSIĘGARNIE trwają m.in. dzięki temu, że zgodnie z francuskim prawem cena książki ustalona przez wydawcę (bądź importera książki) musi być wszędzie jednakowa, niezależnie, czy sprzedaje się ją w księgarni, wielkiej sieci handlowej czy internecie. Regulują to tzw. ustawy Langa

(nazwana tak od nazwiska ówczesnego ministra kultury, Jacka Langa), obowiązująca od 1981 r. Przed jej wprowadzeniem wielkie sieci handlowe, takie jak Fnac (francuski odpowiednik Empików) sprzedawały książki dużo taniej niż ich mali konkurenci. Nad Sekwaną nową pozycję wolno wystawić „w przecenie” dopiero dwa lata od momentu wprowadzenia jej w obieg. Specyfiką francuską jest też popularność formatu kieszonkowego, nawet trzykrotnie tańszego od „zwykłego” wydania.

– **WIELU FRANCUZÓW** ciągle wyobraża sobie, że w małej księgarni, takiej jak nasza,

książki są droższe niż w internecie czy we Fnacu. To nieprawda. Jednolita cena ratuje małe księgarnie i umożliwia wszystkim czytelnikom, także uboższym, równy dostęp do książek – mówi „Tygodnikowi” Samuel Thoyer, właściciel istniejącej od 13 lat niezależnej księgarni w podparyskim Noisy Le Grand „Folies d'Encre”.

JAK PODKREŚLA, atutem małych księgarń jest to, że ich personel ma czas na rozmowę z klientami, eksponuje na półkach ambitne pozycje, organizuje spotkania autorskie. A także kieruje się zasadami uczciwego handlu, czyli godziwie traktuje pracowników i płaci podatki w miejscu swej działalności. Według Syndykatu Francuskich Księgarzy (zrzeszającego 700 księgarń) ustawy Langa trzeba wciąż twardo bronić przed lobbymingiem koncernów, aby książka nie stała się takim samym towarem jak każdy inny.

© SZYMON ŁUCYK
z Paryża

spotkania i dyskusje z innymi czytelnikami oraz autorami i autorkami. Tym samym wpływają także na rozwój miast, decydują o ich atrakcyjności, poszerzają ofertę wydarzeń. Wiedzą o tym władze Gdańska, Krakowa, Lublina, Łodzi, Rzeszowa czy Warszawy, którzy w nagraniu zrealizowanym dla Polskiej Izby Książki zachwalają korzyści płynące z obecności księgarń w przestrzeni miejskiej, zdając sobie jednocześnie sprawę z trudności, jakie stoją przed ich właścicielami i właścicielkami.

„Utrzymanie małych działalności przy potężnej konkurencji dużych, sieciowych księgarń jest zadaniem karkołomnym” – ubolewa w nagraniu prezydent Łodzi, Hanna Zdanowska. Czy szczerze?

– Przez dwa lata próbowałam wynająć lokal od miasta – przyznaje założycielka łódzkiej księgarni „Do Działa” i wicedyrektorka tamtejszego Domu Literatury, Paulina Frankiewicz. – Brałam m.in. udział w konkursie na lokale dla tzw. przedsięwzięć kreatywnych, w którym ostatecznie wygrało... Studio Paznokcia.

Księgarnia „Do Działa” – funkcjonująca w mieście od czterech lat i jedyna, która własnym sumptem organizuje tam spotkania z pisarzami i pisarkami – wynajmuje ostatecznie przestrzeń w prywatnej kamienicy w centrum miasta.

Siłą Łodzi są raczej wspierane przez samorząd biblioteki – mówi Frankiewicz, jednocześnie zastrzegając, że poza licznymi wyjątkami nie zajmują się one w gruncie rzeczy promocją czytelnictwa. – Organizują wiele zajęć: kurs obsługi komputera dla seniorów czy pomoc w odrabianiu lekcji dla dzieciaków. Tym jednak powinny się zajmować świetlice albo domy kultury – uważa. – Zadaniem biblioteki i księgarni jest pokazywanie mieszkańcom, że książka jest wartościowym sposobem spędzania czasu.

Miasto i państwo

Sprawdźmy, jak jest ze wsparciem księgarń w innych dużych miastach, w których jeszcze istnieją. W Krakowie można wziąć udział w plebiscycie „Wybieramy Księgarnię Roku”, a w stolicy w konkursie na „Ulubioną Księgarnię Warszawy”. Jakie profity wynikają z wygranej? Pytam o to Karolinę Bednarz, która dwa razy zdobyła z Tajfunami miejsce na podium.

– Nagroda wyniosła 10 tys. zł. Może to sporo, ale suma nie pokryła nawet pod-

→ próbujemy ją na różne sposoby obchodzić. Choć są na polskim rynku wyjątki.

Cena i lokal

Stałą cenę książki wprowadziła dla wydawanych przez siebie tytułów współzałożycielka wydawnictwa oraz księgarni Tajfuny, Karolina Bednarz. Książki Tajfunów, czyli tłumaczoną na język polski literaturę Azji Wschodniej, przez pierwsze dwa tygodnie od premiery można nabyć po cenie okładowej wyłącznie w księgarniach kameralnych oraz ich sklepach internetowych. Dopiero po tym czasie trafiają one do hurtowników.

– Sprzedajemy własne książki w cenach okładowych, choć gdy zaczęliśmy

to robić, inni wydawcy pukali się w czoło – przyznaje Bednarz. – Tymczasem dzięki takiej praktyce możemy utrzymać marżę, która pozwala na opłacenie czynszu, pensji dla księgaerek i rozwój wydawnictwa. Ratuje nas także to, że sprzedajemy przede wszystkim własne tytuły. Gdyby były to książki kupowane wyłącznie od innych wydawców, utrzymanie naszych lokalizacji w centrum Warszawy i Krakowa byłoby bardzo trudne.

Właściwie dlaczego? Trudno nie zgodzić się z tym, że księgarnie, szczególnie autorskie, sprzyjają promocji czytelnictwa. Są miejscami, które zachęcają do sięgania po wyselekcjonowane, ambitne tytuły i umożliwiają – obok bibliotek –

wyżki czynszu za lokal, który skądinąd wynajmujemy od miasta. Uważam, że sensowniejsze byłoby, gdyby miasto konsekwentnie stosowało preferencyjne stawki czynszu, zamiast wydawać pieniądze na akcje, które kosztują zarówno urząd, jak i nas, bo ktoś to musi wszystko koordynować, nagłaśniać, przygotować materiały, plakaty, liczyć głosy. Z powodu tej dodatkowej pracy, którą trzeba wykonać, nie angażujemy się już aktywnie w ten konkurs.

Sprawdźmy zatem, czy lepiej z dysponowaniem środków radzą sobie instytucje odpowiadające za promocję czytelnictwa na szczeblu państwowym. Instytut Książki przyznaje „Certyfikat dla małych księgarni”, który wiąże się z bonusem w wysokości 40 tys. zł.

Frankiewicz: – Sam program jest ciekawy o tyle, że faktycznie skierowano go wyłącznie do księgarni i pozwala utrzymać lokal, nabywać środki trwałe i promować działalność. Ale kontrowersyjnym zapisem był chociażby ten, który zakładał, że księgarnia musi istnieć dwa lata, by ubiegać się o „Certyfikat”. Czy naprawdę ktoś w Instytucie uważa, że kuszące będzie otwarcie księgarni tylko po to, żeby dostać 40 tys.? Inna sprawa jest taka – dodaje Frankiewicz – że wedle twórców tego programu księgarnie są mało widoczne i ludzie o nich nie wiedzą, dlatego nie kupują w nich książek. Stąd wskazanie, że pieniądze powinniśmy wydawać na promocję. Mnie to się wydaje niekonieczne.

Jak wynika z ogólnodostępnych ankiet zebranych przez Stowarzyszenie Księgarzy Polskich, „Certyfikat dla małych księgarni” przyznawany przez Instytut Książki „jest dobrym pomysłem, ale wsparcie jest niewystarczające”. Dofinansowanie powinno być „na znacznie wyższym poziomie i z bardziej elastyczną możliwością rozliczania, np. umożliwiać opłacanie składek ZUS czy dopłatę do wynagrodzeń” – twierdzą księgarze. Tymczasem w raporcie podsumowującym III edycję programu pracownicy IK relacjonują, że „nie posiadają danych dotyczących przyczyn braku chęci ponownego uczestnictwa w programie przez osoby, które wcześniej były beneficjentami” – z ubiegania się o pieniądze zrezygnowało aż 30 proc. księgarzy. Ze zdziwieniem IK przyjął także fakt, że „pomimo istnienia kategorii związanych z promowaniem i upowszechnianiem czytelnictwa nie były one silnie uwypuklane w częściach opisowych” wniosków.

Ustawa i środowisko

Opisywane tu zależności dotyczą zarówno małych, niezależnych, ambitnych wydawnictw oraz księgarni. Mają też jednak wpływ na biblioteki, dystrybutorów i hurtownie oraz działające na naszym rynku wydawnicze korporacje. Dlatego podczas prac nad próbami uregulowania rynku książki w 2015 r., a potem nad kolejnymi ustaleniami z roku 2017 i 2021 wyszło wiele niejasności. Środowisko wy-

dawców i księgarzy nie jest aż tak jednoznaczne, jak mogłoby się wydawać.

Frankiewicz: – Uważam, że ustawa regulująca rynek jest potrzebna i może go uzdrowić. Ale to, w jakim kształcie przebiega debata, skądinąd głównie w internecie, nie bardzo mi się podoba. Ukazuje ona frustrację naszego środowiska, może nawet desperację spowodowaną niemocą, którą skądinąd doskonale rozumiem. Myślę jednak, że nie tędy droga.

– To już kolejna dyskusja na temat ustawy o książce. Problem polega na tym, że żadna z nich nie była poprzedzona ogólnokrajową debatą, w związku z czym bardzo łatwo ją było ośmieszyć albo przekonać czytelników, że wpłynie na wzrost cen – przyznaje Karczewska. – Inna sprawa, że jak dotąd teksty ustaw proponowane były przez Polską Izbę Książki, która zrzesza przede wszystkim dużych graczy. Te projekty były dziurawe jak sito, bardzo łatwo obejść ich zapisy, szczególnie tym najsilniejszym.

Aby do tego nie doszło, konieczne będzie jej dokładne przeanalizowanie przez specjalistów UOKiK, który powinien przyjrzeć się monopolistycznym działaniom podmiotów już istniejących na rynku. Obiecuje to w rozmowie z „Tygodnikiem” posłanka lewicy Daria Gosek-Popiołek, która wkrótce będzie przedstawiać przed sejmową Komisją Kultury i Środków Przekazu sytuację małych wydawców oraz księgarni kameralnych, a także zwróci uwagę na niezbędność ustawy o książce.

→

W Niemczech rosną ceny książek

PODCZAS gdy nad Wisłą kolejne rekordy sprzedaży bije autor kryminałów Remigiusz Mróz, w Niemczech na szczytach list bestsellerów niemal zawsze znajdziemy kolejną krwawą historię pióra Sebastiana Fitzka. Poza tym po obu stronach Odry jest więcej różnic niż podobieństw. Niemcy lubią określać się jako naród poetów i filozofów, który traktuje książki ze specjalnym namaszczeniem. Efekt? Wartość rocznej sprzedaży to suma 9,5 mld euro, kilkadziesiąt razy więcej niż w Polsce

(tu rynek wyceniany jest na niecały miliard euro).

W CAŁYM KRAJU działa ok. 6 tys. księgarni. Są to sklepy należące do wielkich sieci, jak Thalia, wielopiętrowe świątynie lektury, jak legendarny Dussmann w centrum Berlina, ale i tysiące niewielkich miejsc prowadzonych przez lokalnych księgarzy. Tych najmniejszych wspiera niemieckie prawodawstwo – książka musi być sprzedawana po cenie ustalonej przez wydawcę. To rozwiązanie zapobie-

ga sytuacji, w której największe sieciówki lub sklepy online mogłyby oferować niższą cenę i w ten sposób podbierać klientów mniejszym graczom, którzy odgrywają ważną rolę dla lokalnych społeczności. Prawo to działa w Niemczech już ponad 20 lat i jest powszechnie chwalone.

CENA KSIĄŻKI w zależności od objętości, treści i sposobu wydania waha się najczęściej między 10 a 25 euro (książki w twardej oprawie są droższe). Obecnie pojawiają się zarzuty, że przy szybko rosnących kosztach prowa-

dzenia księgarni ceny książek są zbyt niskie. Wydawcy, bojąc się o sprzedaż, zbyt długo zwlekają z ich podnoszeniem, a księgarnie mają związane ręce. Największym ciosem dla niemieckich księgarni była jednak pandemia covidu, kiedy to czytelnicy przyzwyczaili się do zakupów online, a dziś prasa regularnie informuje o kolejnych zamknięciach księgarni. Tylko w tak wyjątkowym momencie prawo zezwala na obniżkę cen, która zegnającym się z klientami właścicielom umożliwia wyprzedzić. © © ŁUKASZ GRAJEWSKI z Hanoweru

→ – Jeżeli tam się nie uda, skorzystam z poselskiej ścieżki uzupełniania planu pracy komisji – mówi Gosek-Popiołek. Jednocześnie przypomina, że w latach 90. księgarze zostali wrzuceni na wolny rynek bez żadnego wsparcia i przygotowania. – Stąd na przykład w Krakowie dochodzi do takich kuriozalnych sytuacji, że Biblioteka Kraków, uzupełniając swój księgozbiór, robi to nie u lokalnych dystrybutorów czy w miejscowych księgarniach, ale w dużej hurtowni z Olsztyna, która wyspecjalizowała się w wygrywaniu takich konkursów.

Nowy projekt zamówień publicznych to tylko jeden z pomysłów na to, jak można byłoby wzmocnić lokalne księgarnie, zapewniając im płynność finansową. Pozostałe czekają na ustalenia podczas branżowych konsultacji.

Rynek i czytelnicy

Na koniec spróbujmy odpowiedzieć jeszcze na pytanie: czy książka rzeczywiście jest dzisiaj droga? Karolina Bednarz zna dobrze rynek polski, ale również angielski i japoński.

– Książka jest zbyt tania w porównaniu do tego, ile kosztuje jej wyprodukowanie i jakie są warunki w branży książki. Z drugiej strony jej cena okładowa jest za wysoka, jeśli weźmiemy pod uwagę, ile faktycznie w Polsce zarabiamy – przyznaje Bednarz. – Kiedy porównuję ceny książek u nas z tymi w innych krajach, zawsze przeliczam je sobie na liczbę godzin, które trzeba wypracować za minimalną stawkę, żeby móc książkę kupić. W wielu europejskich krajach przeciętna książka – zwłaszcza taka w miękkiej okładce – wymaga godziny pracy, często niecałej. W Polsce przez to, że cena okładowa często jest zawyżana przez wydawcę, bo inaczej nie jest w stanie on na niej zarobić po odjęciu rabatu dla hurtowników, kupno nowej książki wymaga dwóch czy trzech godzin pracy za minimalną stawkę. Coraz częściej widuję książki kosztujące blisko sto czy więcej złotych.

Minimalna kwota za godzinę pracy wynosi dziś w Polsce niecałe 28 zł brutto, czyli 24 zł netto. Nowa książka w miękkiej oprawie kupiona w małej księgarni to wydatek rzędu 40-50 zł. Dużo to czy mało?

© MONIKA OCHĘDOWSKA



Wojciech Szczurek, prezydent miasta, i grupa „zwykłych mieszkańców” na plakacie promującym kampanię dotyczącą 100-lecia Gdyni. Gdynia, 27 lutego 2024 r.

Kampania za nasze

STEFAN SĘKOWSKI

Lokalni politycy bardzo chętnie wykorzystują w swych kampaniach wyborczych urzędy, media samorządowe, spółki komunalne oraz domy kultury. Najwyższy czas to zmienić.

OD KILKU TYGODNI PASAŻEROWIE gdyńskiej komunikacji miejskiej podróżują w towarzystwie twarzy prezydenta Wojciecha Szczurka i grupy „zwykłych mieszkańców”. Uśmiechają się z plakatów rozwieszonych w autobusach i na przystankach, na których widnieją też hasło „Razem na 100-lecie Gdyni” oraz adres internetowy, przekierowujący na podstronę urzędu miasta poświęconą obchodom. Nie byłoby w tym nic zaskakującego, gdyby nie to, że rocznica będzie dopiero za dwa lata.

Dlaczego więc właśnie teraz rusza kampania promocyjna? Z Urzędu Miasta można się dowiedzieć, że kampania promocyjna to nie „kontrolowany falstart” pod wybory, tylko jest ona skorelowana z terminami budżetu obywatelskiego oraz trwającymi aż do Wielka-

nocy konsultacjami społecznymi dotyczącymi obchodów. Terminy pokrywają się z kampanią do samorządów, w której bierze udział także sam prezydent Szczurek, ubiegający się o swoją siódmą kadencję (rządzi miastem od 1998 roku). Zdaniem Martyny Regent, aktywistki miejskiej z Gdyni związanej z Siecią Obywatelską Watchdog Polska, to oczywiście nie przypadek. – Prezydent wykorzystuje zasoby miejskie do wsparcia swojej kampanii wyborczej. Zgłosiłam to do prokuratury, ponieważ uważam, że jest to łamanie kodeksu wyborczego – mówi „Tygodnikowi”.

Wszyscy robią to samo

Ekspozycja informacji o konsultacjach kosztowała 36 tys. zł, choć przy zastosowaniu rynkowych stawek zamiesz-

czania ogłoszeń w środkach gdyńskiej komunikacji wyszłoby ok. 100 tys. zł. Przeciwno wykorzystywaniu zasobów miasta protestował już Tadeusz Szemiota z PO, konkurent Szczurka w wyścigu o prezydenturę Gdyni. Niby słusznie, kłopot w tym, że jego partyjni koledzy, jeśli mogą, korzystają z podobnych metod. Jak prezydent Hanna Zdanowska, która opublikowała w sieci filmik zapowiadający jej walkę o reelekcję w Łodzi. Błyskawicznie podały go dalej na swoich profilach społecznościowych spółki komunalne, m.in. oczyszczalnia ścieków, zakład wodociągowy i MPK. Łódzkie ZOO nie ograniczyło się do suchego komunikatu, dodało swój, informując obserwatorów, że „Bez Hanny Zdanowskiej nie powstałoby Orientarium – obecnie jedna z największych atrakcji turystycznych w Polsce, nie byłoby też nowoczesnej motylarni, remontów wybiegów i wieloletniej strategii rozwoju ogrodu. Dziękujemy!”. Wszystko to sprawia wrażenie, jakby oprócz wyrażenia poparcia chodziło też o zapewnienie sobie przychylności po wyborach.

Ze wsparcia spółek korzysta także Rafał Trzaskowski, którego podobiznę można oglądać w warszawskiej komunikacji miejskiej. Na zdjęciach, jakie pokazał w portalu X Adrian Zandberg, prezydent stolicy uśmiecha się nie tylko z plakatu informującego o tym, ile autobusów jedzie po Warszawie, ale także z teledywu uświadamiającego pasażerów, że Trzaskowski ciężko pracuje i był już na gospodarskich wizytach w prawie wszystkich dzielnicach. „Wybory w stolicy to gra na nierównym boisku. @trzaskowski będzie mieć dużo więcej kasy na kampanię niż @MagdaBiejat. Czy naprawdę musi jeszcze tak korzystać z budżetu miasta?” – pyta retorycznie lider Partii Razem.

Ale o to samo można by spytać Marcina Bazylaka, prezydenta Dąbrowy Górniczej, wybranego w 2018 r. z poparciem komitetu SLD Lewica Razem. W tych wyborach już formalnie bezpartyjny prezydent ma za sobą szerszą koalicję. I akurat teraz miasto organizuje kampanię „Dzień dobry Dąbrowo”, w ramach której chwali się osiągnięciami w mediach społecznościowych. Przykładowo na profilu miasta na Facebooku możemy obejrzeć filmik, z którego dowiemy się, ile pieniędzy samorząd przeznaczył na inwestycje drogowe w latach 2018-2024. Czyli akurat

w czasie pokrywającym się z kadencją prezydenta i rady miasta.

Można by rzec, że w tej kwestii obowiązuje ponadpartyjne porozumienie. W Świdniku, którym przez lata rządził związany z PiS Waldemar Jakson, wydawany przez podległy Ratuszowi Miejski Ośrodek Kultury „Głos Świdnika” opublikował właśnie na pierwszej stronie wywiad z zastępcą burmistrza Marcinem Dmowskim. Nie będzie chyba zaskoczeniem, jeśli dodam, że Jakson chce przekazać Dmowskiemu pałeczkę w sztafecie kierowania miastem. Ten drugi jest kandydatem Porozumienia Samorządowego na burmistrza, popieranym także przez PiS.

Inną metodą zdobywania poparcia przez pretendenta do stanowisk jest wsparcie ze strony „ogólnopolskich” kolegów, którzy korzystają z dostępnych im zasobów budżetu państwa, nie samorządu. I tak pod koniec lutego Szymon Hołownia, korzystając z przywilejów marszałka Sejmu, pędził na łeb na szyję limuzyną Służby Ochrony Państwa do Krakowa – według Interii co najmniej część trasy pod eskortą policji i na sygnale – by zdążyć na wiec wyborczy kandydata Polski 2050 na prezydenta miasta, Rafała Komarewicza. Trasę z Warszawy przejechał w 2,5 godziny.

Przykład idzie z góry

Wykorzystywanie zasobów samorządów (a czasem państwa) nie zna granic między gminami, ni kordonów między partiami. I nie jest tylko domeną miast. Mówi o tym „Tygodnikowi” Małgorzata Łosiewicz ze Stowarzyszenia Rozwoju „Inspiracje” ze Słupska, które nie tylko monitoruje wybory w swoim mieście, ale także wspiera w tym mieszkańców kilkudziesięciu gmin w północno-zachodniej Polsce.

– Znamy przypadek gminy w województwie zachodniopomorskim, której nazwy nie możemy podać ze względu na dobro tamtejszych obserwatorów, gdzie wójt wykorzystuje chyba cały dostępny mu arsenał. Gminne ośrodki kultury, samochody służbowe wożące go na spotkania wyborcze, podnośniki należące do gminnych spółek, które komitet ze zniżką wypożycza po to, by wieszać jego banery. Gmina wydaje także swoją gazetkę, która chwali wójta. A gdy prześledziliśmy rejestry wpłat na jego kampanię, okazało się, że prym wśród dona-

torów wiodą pracownicy urzędu – opowiada Łosiewicz. Jej zdaniem nie jest to wyjątek; na podstawie dotychczasowych doświadczeń szacuje, że w 80 proc. gmin mogą występować nieprawidłowości.

Trudno się dziwić zjawisku, zwłaszcza po kampanii do parlamentu, w której rządzący jeszcze wtedy PiS bez umiaru wykorzystywał państwowe zasoby od mediów publicznych, przez spółki Skarbu Państwa, po fundusze celowe. Lokalni władze nie mają więc skrupułów, a mechanizmy ich kontroli bywają jeszcze słabsze niż w przypadku krajowej polityki.

Nie bagatelizując szkodliwości zawałaszczania państwa, uważam, że zjawisko to w samorządach może być dla demokracji jeszcze bardziej szkodliwe. Lokalne elity mają do dyspozycji ogromne możliwości: od finansów gmin, po tłum ludzi uzależnionych od władzy. Mniejszy jest zarazem jednostkowy koszt głosów – za mniej pieniędzy można kupić ich więcej. A wyborcom trudno ocenić, czy dany przekaz to informacja, czy propaganda za wspólne pieniądze. Zwłaszcza gdy brakuje niezależnych lokalnych mediów patrzących władzy na ręce.

Kampania w czasie pracy

Wykorzystywanie własności wspólnej zaczyna się już od budynków urzędów, w których można kręcić filmy promocyjne. Zdarzają się przy tym sytuacje, gdy urzędnicy zatrudnieni np. w dziale promocji prowadzą w godzinach pracy kampanię na rzecz swoich szefów. Bywa, że robią to chętnie, gdyż boją się korekt personalnych przy zmianie władzy, a zarazem nie obawiają się wyciągnięcia konsekwencji służbowych. Ich przełożeni to akceptują, gdyż sami startują w wyborach, np. na radnych.

– Na mieście można spotkać kandydatów zatrudnionych w spółkach miejskich prowadzących kampanię, i to w godzinach pracy – mówi „Tygodnikowi” Krzysztof Jakubowski z lubelskiej Fundacji Wolności, która prowadzi lokalny monitoring. Na jej stronie JawnyLublin.pl można przeczytać, że prezydent Krzysztof Żuk (PO) bezprawnie użył w materiałach wyborczych logotypu miasta (jest to wykorzystywanie publicznych środków). Po interwencji Fundacji jego komitet skarcił sam Ratusz. Portal informuje też, że lokalny PiS zapłacił za organizację spotkania z Jarosławem Kaczyńskim →

→ w podlegającym województwu (rządzi w nim PiS) Centrum Spotkania Kultur pięciokrotnie mniej, niż wynika to z cennika.

Spółki miejskie czy instytucje kultury mają prawo do udostępniania przestrzeni kandydatom w wyborach. Powinny jednak za to pobierać odpowiednie opłaty, a te komitety winne wykazywać w swoich sprawozdaniach. Zarazem owa przestrzeń powinna być udostępniana wszystkim zainteresowanym. Z tym bywa różnie. – Znamy przypadki, w których np. lokalny dom kultury organizuje spotkania z wójtem czy burmistrzem, ale gdy to samo miejsce chce wynająć jego konkurent, wtedy słyszy odmowę pod pretekstem rzekomego braku wolnych terminów – mówi Łosiewicz.

Także media działające za pieniądze gminy (gazetki, telewizje internetowe, profile społecznościowe) często są jednostronne i nie udzielają miejsca konkurentom aktualnej władzy. Nawet te formalnie niezależne często milczą, bo na coraz trudniejszym rynku są uzależnione od urzędowych ogłoszeń. Tymczasem bywają one często jedynymi źródłami informacji w regionie.

Czy elekcja jest równa?

Wykazywanie patologii przejmowania własności publicznej nie jest łatwe. – Mówiąc o zawłaszczaniu zasobów samorządów, czujemy, że coś jest nie tak, ale dokładne sprecyzowanie nieprawidłowości oraz określenie, co stanowi nadużycie w kampanii wyborczej, a co nie, jest trudne – przyznaje Robert Lech z Fundacji Odpowiedzialna Polityka, która monitorowała pod tym kątem wybory parlamentarne, a obecnie współpracuje z Siecią Obywatelską Watchdog Polska przy szkoleniu lokalnych obserwatorów wyborów samorządowych. – Przykładowo media lokalne powinny informować na bieżąco o działalności burmistrza, więc nawet jeśli jest on jednocześnie kan-

Dom kultury organizuje
spotkania z wójtem,
ale gdy to samo miejsce
chce wynająć jego konkurent,
**słyszy odmowę
pod pretekstem rzekomego
braku wolnych terminów.**

dydatem w wyborach, nie każda informacja o jego udziale w uroczystości otwarcia nowej drogi musi być oceniona jako część kampanii. Podobnie można oceniać spotkania z mieszkańcami: władze powinny z nimi rozmawiać przez całą kadencję, jeśli jednak nagle przybywa tych spotkań przed wyborami, może to świadczyć o wykorzystywaniu zasobów gminy dla realizacji celów „gminnego” kandydata – dodaje.

Są jednak kwestie, które można ocenić jednoznacznie. Jeśli spółka komunalna nie bierze pieniędzy za usługi albo daje ogromne upusty, które służą kandydatowi do prowadzenia kampanii – stanowi to jej nielegalne finansowanie.

– Wykorzystywanie komunalnych zasobów może mieć wpływ na wynik wyborów, nawet jeśli trudno to precyzyjnie oszacować. W efekcie wybory nie są równe dla wszystkich kandydatów, gdyż obywatelom utrudnia się zdobywanie informacji o ich ofercie wyborczej – dodaje Robert Lech. – Badaliśmy też, ile kandydaci w wyborach lokalnych, według ich sprawozdań finansowych, wydali na kampanię w internecie i porównywaliśmy to z realnymi wydatkami według naszych wyliczeń. Różnice były czasami nawet dwukrotne, co świadczyło o wykorzystaniu dodatkowych źródeł finansowania – mówi. A internet to tylko jeden ze sposobów docierania do wyborców.

Dlatego Odpowiedzialna Polityka udostępniła swoje narzędzia i wiedzę Sieci Obywatelskiej Watchdog Polska, która pod koniec lutego rozpoczęła szkolenie lokalnych obserwatorów. Do udziału zgłosiło się prawie 90 osób z dużych miast i mniejszych miejscowości całej Polski. Na kolejnych spotkaniach dowiadują się, jak wygląda kalendarz wyborczy, jak można monitorować poszczególne wydarzenia, co w trakcie kampanii jest do-

zwolone, a co nie. A także jakich zasad etycznych należy przestrzegać w trakcie obserwowania.

Samorząd pod pewną kontrolą

Jak twierdzi Małgorzata Łosiewicz, już sama świadomość bycia kontrolowanym przez obywateli powoduje, iż politycy mniej chętnie nadużywają swoich prerogatyw. Dziś jednak kontrola społeczna wciąż jest słaba, a patologie związane z wykorzystywaniem publicznych zasobów są powszechne, mimo że istnieje przecież prawo, które utrudnia wykorzystywanie zasobów publicznych w kampanii. Tylko co z tego, skoro nie jest ono przestrzegane. A nie jest, ponieważ tego proceduru nie traktuje się jako czegoś nagannego. Jak wskazuje Robert Lech, z badań dostępnych Fundacji wynika, że społeczności lokalne nie mają wyrobionego zdania, czy lokalne elity mają prawo wykorzystywać wspólne mienie dla swoich politycznych celów – tylko jedna trzecia uważa, że nie jest to właściwa działalność. Można z tego wywnioskować, iż większość z nas albo uważa, że politycy mają prawo do wykorzystywania własności publicznej, traktowanej jako swoisty wyborczy łup, albo jest im to obojętne.

Wygląda na to, że przede wszystkim musimy zmienić nastawienie samych obywateli. Pogłębić świadomość, że za pieniądze, które wspólnie wydajemy na kampanie naszych włodarzy (lub których nie zarabiają miejskie spółki, bo udzielają im nieuprawnionych rabatów), można by zrobić wiele dobrego dla naszych małych ojczyzn. A także uświadomić, że ze względu na nierówne boisko demokracji lokalnej pomysłem konkurencyjnym wobec wizji władzy o wiele trudniej się przebić w przestrzeni publicznej. Na szczęście zmiana tej mentalności powoli następuje, a nagłośnieniu problemu niechęć przysłużył się rząd PiS, który złamał w tym zakresie wiele dotychczasowych niepisanych granic, przez co temat stał się nośny. I dlatego oprócz dylematu 7 kwietnia przy urnie, który kandydat ma lepszą ofertę dla naszej społeczności, warto też przyjrzeć się, jak dotychczasowi władarze, choć oczywiście nie tylko oni, podchodzą do korzystania z publicznego mienia w kampanii. To może być ważny trop w ocenie uczciwości kandydatów.

© STEFAN SĘKOWSKI



**DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA”** co tydzień
są gośćmi Grzegorza Chlasty
w Polskim Radiu RDC. Audycje

można także odsłuchać w podkastach na stronie
internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Płock 101,9 FM

Telewizja niepewności

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Media publiczne od grudnia są w stanie likwidacji i na horyzoncie nie widać pomysłu na koniec tej prowizorki.

OD POLITYKÓW RZĄDZĄCEJ KOALICJI można usłyszeć, że plan na TVP, Polskie Radio i PAP jest. Ma być on formą „testu” dla prezydenta, na ile jest gotów współpracować z rządem. Tyle że wszystko to potrwa, co oznacza, że wciąż możliwy jest na gruncie prawnym powrót starych władz mediów z czasów PiS, przynajmniej w przypadku TVP i Polskiego Radia, jeśli sąd prawomocnie nie zatwierdzi likwidatorów.

Przypomnijmy sekwencję zdarzeń wokół mediów publicznych od objęcia władzy przez rząd Donalda Tuska. 20 grudnia minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz ogłosił zmianę zarządów i rad nadzorczych spółek medialnych. Tuż po świętach zaś, gdy prezydent zapowiedział weto wobec planu przeznaczenia na przejęte media 3 mld zł, Sienkiewicz postawił TVP, Polskie Radio i PAP w stan likwidacji. By sprawa się uprawomocniła, sąd powinien wpisać likwidatorów do Krajowego Rejestru Sądowego. Zrobił to tylko w odniesieniu do PAP, a także regionalnych spółek Polskiego Radia. W przypadku TVP i ogólnopolskiego radia odmówił (podlegają osobnej ustawie), więc Ministerstwo Kultury odwołało się do sądu okręgowego. Jeśli ten zatwierdzi negatywny werdykt sądu rejestrowego, do TVP i Polskiego Radia mogą wrócić władze sprzed 20 grudnia.

Sprawę jeszcze bardziej komplikuje fakt, że cały czas działa i podejmuje decyzje Rada Mediów Narodowych, w kompetencji której na mocy wciąż obowiązującej ustawy jest powoływanie władz mediów publicznych. RMN jeszcze w grudniu na prezesa TVP powołała Michała



Demonstracja sympatyków Prawa i Sprawiedliwości przed siedzibą Telewizji Polskiej. Warszawa, 21 grudnia 2023 r.

Adamczyka, a w lutym utworzyła nową radę nadzorczą Polskiego Radia. Decyzje RMN również czekają na zatwierdzenie w sądzie rejestrowym.

Czy jest jakiś plan wyjścia z tej sytuacji? Minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz rzadko zabiera głos. Wypowiedział się jedynie podczas rozpatrywania wniosku o wotum nieufności, a potem w wywiadzie dla „Newsweeka” zasugerował, że dopóki prezydentem jest Andrzej Duda, nowej ustawy medialnej nie będzie, bo i tak by ją zawetował. Jeśli rzeczywiście będzie realizowany taki scenariusz, spółki medialne w stanie likwidacji działać będą jeszcze półtora roku. Pracowałyby zatem w sytuacji związanego z tym niedofinansowania – dziś wielu zewnętrznych producentów i twórców programów oraz seriali dla TVP nie otrzymuje pieniędzy.

Niektórych polityków i ekspertów zaczyna dziwić brak woli ze strony rządu do podjęcia choćby próby negocjacji z Dudą, mimo że ten daje sygnały, iż byłby gotów na kompromis. Ciekawa jest postawa prezydenckich ministrów, którzy biorą udział w programach TVP, choć bardzo nie podoba się to w PiS. Jak przyznaje Joanna Lichocka, posłanka tej partii i członkini RMN, zdziwił ją widok prezydenckiej prawniczki Małgorzaty Paprockiej w jednym z programów telewizji publicznej. – To niepotrzebna autoryzacja siłowego, nielegalnego przejęcia TVP przez uzurpatorów – ocenia.

W jeszcze dziwniejszej sytuacji jest PAP, którego likwidator i p.o. prezesa Marek Błoński został zatwierdzony przez sąd. Do rozwiązania sytuacji prawnej agencji potrzebne byłoby tylko uchy-

lenie ustawy o Radzie Mediów Narodowych i określenie, że agencja działa na podstawie wciąż obowiązującej ustawy o PAP. – Staramy się organizować pracę agencji w ramach obecnej formuły prawnej – mówi Błoński.

Jednak od zajmujących się mediami przedstawicieli rządzącej koalicji można usłyszeć, że w resorcie kultury jest plan działania. – Chodzi o podzielenie regulacji prawnych wokół mediów na części i podsyłanie prezydentowi kolejnych ustaw, by sprawdzać jego gotowość do kompromisu – mówi przedstawiciel koalicji.

Jeszcze w pierwszym półroczu zgłoszony zostałby projekt ustawy o finansowaniu mediów i likwidacji abonamentu rtv – TVP i Polskie Radio miałyby finansowanie albo budżetowe, albo z tzw. opłaty audiowizualnej, choć większe szanse ma to pierwsze rozwiązanie.

W następnej kolejności, do końca roku, zgłoszony byłby projekt wyboru nowej KRRiT i likwidacji RMN. – Liczymy, że prezydent przed zakończeniem urzędowania będzie chciał powołać swoich przedstawicieli w KRRiT, inaczej zrobi to jego następca – tłumaczy strategię polityk koalicji. W ostatniej kolejności, już w przyszłym roku, zgłoszona byłaby ustawa regulująca na nowo status TVP i Polskiego Radia, *de facto* tworząca te spółki od nowa.

Scenariusz ten pokrzyżować może jednak sąd, przywracając PiS-owską ekipę w PR i TVP. To byłby dla nowej władzy szok, ale nikt tam nie wierzy w niekorzystny werdykt. Planu B nikt nie stworzył. ©



Łódź, marzec 2022 r.

Dwa miliony fikcji

MAREK RABIJ

Każdy, kto płaci składkę zdrowotną, widzi, że w zamian dostaje coś, co samo wymaga pilnego leczenia. Trzecia Droga proponuje tradycyjną kurację pijawkami.

POD GROŻBĄ ZERWANIA KOALICJI RZĄDzącej marszałek Sejmu Szymon Hołownia domaga się zmiany sposobu naliczania składki zdrowotnej dla osób prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą. Kilka dni temu powiedział: „Są postulaty, jak ten dotyczący składki zdrowotnej, które będą kosztować pieniądze. Trzeba będzie powiedzieć sobie: musimy mieć 10 mld zł, to wszystko

kosztuje. Nam – Trzeciej Drodze – bardzo na tym zależy”.

Dla podbicia dramatyzmu powinienem w tym miejscu gładko zmyślić, że czytałem tekst o żądaniach Hołowni na korytarzu przychodni, wijąc się z bólu ucha albo wznosząc w myślach modły, żeby stomatolog łaskawie, bez numerka z NFZ, rzucił okiem na moją opuchniętą szczękę. Natura obdarzyła mnie jednak dobrym zdrowiem i klientem Narodowego Funduszu Zdrowia bywam niezmiernie rzadko. A skoro zeń praktycznie nie korzystam, w zasadzie powinienem podzielać również zapał Hołowni do cięcia składek zdrowotnych samozatrudnionym. Zaliczam się do nich od pewnego wiosennego popołudnia sprzed ośmiu laty, kiedy mój ówczesny pryncypał z charakterystycznym dla siebie poczuciem humoru zaproponował, że albo przejdę na jednoosobową działalność gospodarczą, albo on przejdzie się do kadr z wnioskiem o wypowiedzenie, bo za dużo go kosztuje.

Biznes niezbyt poważny

Zostałem mikroprzedsiębiorcą. Wysoko cenię to określenie, które idealnie oddaje zarówno skalę przepływów pieniężnych,

w których uczestniczę, jak i potencjał, jaki moja firma wnosi do rozwoju polskiej gospodarki. Nikogo nie zatrudniam i raczej już nie zatrudnię. Nie uważam wprawdzie, by mój zawód mieścił się w czołówce najbardziej pasożytniczych profesji globu, ale powiedzmy sobie szczerze: na kolegiach redakcyjnych nie wymyślamy leku na raka. Nie mam nawet garażu, w którym mógłbym po godzinach dłubać w bebecach technologii, która za jakiś czas zmieniłaby na lepsze codzienność ludzkości. Albo przynajmniej moją – po zainkasowaniu sowitej prowizji ze sprzedaży obiecującego start-upu.

Jestem, ujmując już rzecz dosłownie, jednym z wielu gryziپیórków. Lubię i cenię swoją profesję, wykonuję ją ze zmiennym szczęściem, ale z niezmiennym entuzjazmem i wiarą, że dostarczanie ludziom powodów do namysłu ma sens, który nie sprowadza się tylko do comiesięcznej wypłaty. Na szczęście robię w tym zawodzie dostatecznie długo, żeby zrozumieć również, iż dziennikarstwo nie musi uchodzić za lepsze zajęcie od wożenia ludzi komunikacją miejską, nie wspominając już o uczeniu dzieci w szkole. Dlatego zatem to mnie Szymon Hołownia proponuje ulgę w postaci

niższej składki zdrowotnej, kiedy pozostali płacić mają na starych zasadach?

Odpowiedź, że nie o mnie tu chodzi? Oczywiście! Szkopuł w tym, że takich jak ja mikroprzedsiębiorców może być dziś w polskim korpusie samozatrudnionych więcej niż tych, którzy naprawdę próbują robić biznes.

GUS szacuje, że w kraju mamy ponad trzy miliony zarejestrowanych jednoosobowych działalności gospodarczych – niemal dwa razy tyle, ile przed pandemią. Owszem, co roku niemal pół miliona samozatrudnionych wypisuje się z rejestru CEIDG, ale w tym samym czasie przybywa jeszcze więcej debutantów. Znamienne, że nowi samozatrudnieni coraz rzadziej próbują sił w handlu, hotelarstwie, gastronomii czy rzemiośle, a coraz częściej są wysoko wyspecjalizowanymi i dobrze opłacanymi fachowcami od IT czy reklamy. Ilu w tym gronie prawdziwych przedsiębiorców, a ilu byłych pracowników etatowych, którzy wciąż siedzą przy tym samym biurku i raportują do tego samego szefa? Z niektórych szacunków wynika, że w Polsce Anno Domini 2024 pod przedsiębiorców podszywają się nawet dwa miliony pracowników.

Poległ nawet Kaczyński

Pięć lat temu z tym bałaganem próbował sobie poradzić rząd PiS. Jedną ze zmian wprowadzonych w ramach tzw. Polskiego Ładu było odebranie samozatrudnionym przywileju zryczałtowanej składki zdrowotnej, niezależnej od osiągniętych dochodów. Rząd dobrał się w ten sposób do zarobków specjalistów, którzy inkasują dziesiątki tysięcy złotych miesięcznie, płacąc przy tym na NFZ tyle samo (a czasem i mniej), ile panie, które za minimalną stawkę wieczorem odkurzają po nich biuro.

Przy okazji PiS próbował wdrożyć tzw. test przedsiębiorcy, ale ostatecznie musiał przyznać, że państwo nie jest w stanie odsiać prawdziwych mikroprzedsiębiorców od pracowników etatowych owiniętych dla niepoznaki w pozłotko przedsiębiorczości. A tym bardziej nie ma prawa zmuszać nikogo, żeby porzucił samozatrudnienie na rzecz pracy etatowej. Znam ludzi, których na ścieżkę mikroprzedsiębiorczości wypchnięto siłą, bo ich firma chciała zmniejszyć sobie koszty, ale dziś nie wyobrażają sobie, by wracać do etatu. O wiele częściej stykam się jednak z ta-

kimi, którzy samozatrudnienia mają po dziurki w nosie i z rozkoszą złożyliby ponownie podpis pod umową o pracę, choćby dlatego, że to oznacza dużo wyższą emeryturę – gdyby tylko ktoś im takową zaproponował bez obniżki samych zarobków.

To żadne odkrycie, a jedynie uwaga porządkująca dyskurs: i dla pracodawców, i dla samych pracowników samozatrudnienie stało się narzędziem do optymalizowania kosztów pracy. Albo – nazywając już rzecz po imieniu – legalnego obchodzenia przepisów, które nakładają na nich dodatkowe ciężary, zwane poza-płacowymi kosztami pracy (mowa głównie o składkach zdrowotnych i emerytalnych). Dyskusja o wysokości tych obciążeń ma w Polsce tradycję równie długą jak sama gospodarka wolnorynkowa i od ponad 30 lat odbywa się niezmiennie w niemal pełnej izolacji od rzeczywistości. Środowisko pracodawców powtarza, że zbyt wysokie zapłacone koszty pracy dławią przedsiębiorczość i pozbawiają nasze firmy konkurencyjności wobec rywali z krajów, które nie dociskają aż tak swojego biznesu. W tle zaś dyskretnie sufluje im grono ekspertów, którzy regularnie przypominają Polakom, że ich państwo zbudowane jest z błota i patyków, a powierzanie mu pieniędzy ma mniej więcej tyle samo sensu, ile pożyczka od mafii. Koryfeuszom polskiego biznesu chodzi o to, żeby pracownicy uwierzyli, iż jadą z nimi na jednym wózku, któremu kij w szprychy co rusz wpycha chciwy ZUS pospołu z nieudolnym NFZ.

Gorliwymi wyznawcami dobrowolności ubezpieczeń społecznych są także politycy, zwłaszcza nieźle osadzonej w środowisku drobnego biznesu Konfederacji. Ekipa Sławomira Mentzena na pewnym etapie zeszłorocznej kampanii zrobiła się na tyle groźna, iż część jej postulatów wyborczych szybko przysłużyła Koalicji Obywatelskiej i Trzecia Droga. Rozumiałem tę przedwyborczą retorykę, ale powrót do tych osobliwych postulatów w okolicach setnego dnia rządów nie wydaje mi się probierzem uczciwości. Wskazuje raczej, że nowa ekipa ma w głębokim poważaniu to, co dzieje się w kraju.

Jak to robią inni

Można twierdzić, że składki zdrowotne w Polsce są zbyt wysokie wobec średnich dochodów, ale bez zrobienia sobie z gęby

cholewy nie da się utrzymywać, że wysokość tych obciążeń jest nad Wisłą wyższa niż w większości krajów UE. Eurostat szacuje, że udział wspomnianego komponentu pozapłacowego w ogólnych kosztach pracy nad Wisłą wyniósł w 2022 r. zaledwie 18 proc., co dało nam miejsce pośrodku stawki, którą otwierała Rumunia (udział na poziomie 5,3 proc.), a zamykały Francja (32 proc.) i Szwecja (31,9 proc.).

Rzecz jasna zwolennicy taniego państwa wyczytają z tego zestawienia tylko tyle, że w wielu krajach koszty są mniejsze. Inni zauważają jednak, że pod względem jakości opieki medycznej zdecydowanie bliżej nam do Bukaresztu niż Sztokholmu. Każdy, kto płaci składkę zdrowotną, widzi, że w zamian dostaje coś, co samo w sobie wymaga pilnego leczenia. Postulat Trzeciej Drogi jest więc klasyczną próbą leczenia objawów zamiast samej choroby. O tyle koherentną z konserwatywnym *emploi* obu partii tworzących to ugrupowanie, że sprowadza się do propozycji tradycyjnej terapii pijawkami. Pozbawiony części pieniędzy NFZ nie zacznie przecież leczyć szybciej i lepiej. Ci, których będzie na to stać, zapukają do prywatnych gabinetów. Reszta jednak poćwiczmy cierpliwość w coraz dłuższych kolejkach.

Przywołani już zwolennicy taniego państwa odpowiedzą zapewne, że to koszt, który społeczeństwo musi ponieść w procesie swej modernizacji. Tyle że to nieprawda. Małe i średnie firmy wytwarzają ponad połowę PKB Polski, ale zestawianie podmiotów z tego sektora (według GUS: do 250 zatrudnionych) ze światem mikroprzedsiębiorczości jest manipulacją w czystej formie. W rzeczywistości samozatrudnienie to relikwety czasów raczkującego kapitalizmu lat 90., ulicznych straganów, agencji reklamowych i salonów paznokci otwieranych dzięki dotacjom z funduszu walki z bezrobociem. W świecie wysoko konkurencyjnej gospodarki jednoosobowe firmy nie napędzają już PKB, bo stanowią jedynie plankton, którym żywią się wielkie firmy. Potencjał innowacyjny? Czasy genialnych wynalazców dawno minęły. Dziś postęp jest domeną dużych zespołów badawczych.

Trzecia Droga nazywa się rzecznikiem interesów polskiego biznesu, ale formułując postulat obniżki składki zdrowotnej, stawia na niewłaściwego konia. A raczej na naszą szkapę. ©P

TOMASZ

Stawiszyński:

Dysonanse i atawizmy



BYŁO TO DLA MNIE, PRZYZNAM, NIE-małe zaskoczenie, kiedy się dowiedziałem (skądinąd z mojego ulubionego portalu UnHerd, bardzo go wszystkim zmęczonym prawymi i lewymi ortodoksiami polecam), że

jednym z najprężniej rozwijających się dzisiaj segmentów medycyny estetycznej są... operacje wydłużania nóg u mężczyzn. Jak się okazuje, od kilku lat rynek tego typu usług na całym świecie systematycznie się rozwija – analitycy przewidują, że do 2030 r. jego globalna wartość wyniesie ponad 8,5 miliarda dolarów. Przewodzą w tym Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, ale i Turcja, gdzie – podobnie jak w przypadku transplantacji włosów – ceny są wprawdzie konkurencyjne, ale jakość, niestety, niekoniecznie. Tak czy owak, mamy tu wysoce perspektywiczny biznes. A to znaczy: odpowiadający na jakieś masowe zapotrzebowanie.

Jakie? Nietrudno zgadnąć. Wydłużanie nóg ma oczywiście jeden zdefiniowany cel, a mianowicie: osiągnięcie większego wzrostu. Przy czym jest to motywacja na tyle potężna, że pacjenci gotowi są ponosić nie tylko ogromne koszty finansowe – ok. 350 000 zł za sam zabieg – ale również znosić trudy i bóle długotrwałej rekonwalescencji. Droga do upragnionej wysokości nie jest bowiem ani łatwa, ani szybka, ani przyjemna. Operacja polega na złamaniu kości i umieszczeniu w nich specjalnych prętów. Przez następny rok pręty się stopniowo i powoli rozciąga, kości natomiast się do tego procesu dostosowują i posłusznie wzdłuż prętów rosną. Da się w ten sposób uzyskać dodatkowe 6-8 centymetrów – tyle wynosi, wedle lekarzy, granica bezpieczeństwa, po przekroczeniu której pojawia się ryzyko wystąpienia groźnych dla zdrowia i życia powikłań.

Czy jednak efekty są naprawdę warte tych radykalnych poświęceń? Cóż, jak pokazują badania prowadzone co najmniej od początku lat 70. XX w. – kiedy to socjolog Saul Feldman zdiagnozował swoistą obsesję na punkcie wysokiego wzrostu, panującą w zachodnich społeczeństwach (nazwał ją *heightism*, dosłownie: „wysokizm”) – wyższym żyje się generalnie lepiej, dostatniej i szczęśliwiej. Sprawują – statystycznie – wyższe (*nomen omen*) stanowiska, mają też – sumarycznie – większe dochody i w ogóle cieszą się znacznym powodzeniem. Niscy – to także wynika z badań – doświadczają z kolei rozmaitych form dyskryminacji, bywają narażeni na uszczypliwe komentarze i zasadniczo żyją w przekonaniu, że to, ile sobie liczą centymetrów, przekłada się negatywnie na różne obszary ich społecznego, zawodowego, a także mi-

łosnego funkcjonowania. Dla wielu z nich zatem rozwój technologii medycznych umożliwiających zmianę wyglądu oznacza po prostu nadzieję na poprawę jakości życia.

No cóż, trzeba powiedzieć, że wiele aspektów współczesnego świata przegląda się w tym zjawisku. I kultura zorientowana na niedościgłe ideały, i cała masa jeszcze innych spraw, nie wyłączając, być może dla niektórych zaskakującej, okoliczności, że rozległych presji związanych z aparycją doświadczają dziś obie płcie. I obu usługowy rynek oferuje stosowne środki zaradcze, choć oczywiście kobiety są pod tym względem lata świetlne przed mężczyznami, zarówno jeśli chodzi o narzucane im kanony estetyczne, jak i skalę obsługującego to przemysłu.

Ale mamy tu także coś jeszcze bardziej fundamentalnego. A mianowicie – jaskrawy rozdzźwięk pomiędzy kulturą narracją, która powiada, że wygląd zewnętrzny, tężyzna fizyczna czy zasięg ramion liczą się może w sporcie, ale nie w tzw. „normalnym życiu”, a tym, co się w tym „normalnym życiu” faktycznie liczy. W ramach opowieści, którą słyszymy od dziecka, o sukcesie bądź jego braku decydują jednak takie parametry jak talent, samozaparcie i silna wola, a nie wzrost czy dochody rodziców. Słowem, różne nasze indywidualne dyspozycje, z których znaczna – i decydująca – część podlega intencjonalnemu kształtowaniu, nie zaś determinacje genetyczne czy klasowe.

To więc słyszymy w naszej późnokapitalistycznej, indywidualistycznej kulturze – i w to naiwnie wierzymy. Przynajmniej do czasu. Prędzej czy później się bowiem orientujemy, że sprawy wyglądają nieco inaczej. Choć mówi się nam, że dla pracowitego i chcącego nie ma żadnych barier – istotną rolę w trajektorii naszego losu odgrywają także niezależne od wszelkich osobistych zaangażowań czynniki. Np. rodzina. Jej zasoby materialne oraz kapitał kulturowy. Ale też – i to jest być może najboleśniej, żyjemy przecież w kulturze, która chlubi się tym, że panujące w niej reguły dalekie są od warunków pierwotnej hordy – nasze czysto, by tak rzec, ewolucyjne potencjały. Wygląd zewnętrzny, atrakcyjność, no i – *last but not least* – wzrost. W nowoczesnym, cywilizowanym i ze wszech miar kulturalnym świecie jest to – jak pokazał Feldman – wciąż całkiem mocna waluta. A ponieważ jest mocna, powstał wokół niej stosowny biznes, który dba, żeby się jej pozycja przypadkiem nie osłabiła, bo to, ma się rozumieć, od razu osłabi też biznes.

Tak to niestety działało, działa i – jak wskazują szacunkowe analizy – będzie działać. Po prostu kulturowo-rynkowe koła zamachowe kręcą się w najlepsze, niezależnie od retoryki, która przekonuje, że to czy tamto już dawno przestało się liczyć. Oczywiście na tych dysonansach pomiędzy narracją o świecie a rządzącymi światem realnie atawizmami można z powodzeniem zbić także kapitał polityczny. I – niestety – zbijają się go dzisiaj bardzo skutecznie. Ale o tym napiszę kiedy indziej. ©



ZAPOMNIJ O SIELANKACH I CEPELII

Te historie są o nas

NOWE WYDANIE SPECJALNE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” JUŻ W SPRZEDAŻY.
Szukaj w miejscach z dobrą prasą lub zamów na zamowienia@tygodnikpowszechny.pl

ROZMOWA

WIĘCEJ NIŻ MATKA

**MAŁGORZATA RYBICKA,
PRZEWODNICZĄCA POROZUMIENIA AUTYZM-POLSKA:**

Dobre słowa mają moc. Pozwalają przetrwać.
Takie zwykłe, oznaczające wsparcie,
ale i te o specjalnym znaczeniu.



PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Cztery tysiące osiemset jedenaście...

MAŁGORZATA RYBICKA: ...tyle dostałam głosów w wyborach do Sejmu.

Pani, znana i szanowana w Trójmieście działaczka na rzecz osób z niepełnosprawnościami (OzN). Smutny dowód, że problemy tej grupy średnio nas obchodzą?

Gdańska lista Koalicji Obywatelskiej była silna, złożona ze znanych polityków, a ja miałam tzw. miejsce niebiorące. Ale rzeczywiście, można było liczyć na więcej.

A po co to Pani w ogóle było?

Zrobiłam to trochę z desperacji. Od lat działałam na rzecz OzN, i wiele z tych działań nie przynosi skutku. Zwłaszcza jeśli idzie o ustawowo gwarantowane wsparcie dla takich osób jak mój syn Antoni. W spektrum autyzmu, z niepełnosprawnością intelektualną czy z niepełnosprawnościami sprzężonymi, potrzebujących stałego wsparcia – a więc takich, które same się o siebie nie upomną.

Pomyślałam, że to ostatni moment na taki start. I że chęć reprezentowania tej grupy to naturalna konsekwencja moich życiowych losów.

Można je opowiedzieć, poczynając od daty 1984...

...czyli od narodzin Antoniego.

Ale najpierw zapytam o frazę, której w kontekście Antoniego zdarza się Pani używać – „trening opozycyjny”.

Chodzi o działalność mojego męża Arama [Arkadiusz Rybicki, współzałożyciel Ruchu Młodej Polski, w III RP m.in. poseł PO, zginął w katastrofie smoleńskiej – red.], w której też przecież uczestniczyłam, i która rzeczywiście mogła być swego rodzaju treningiem przed tym, co zdarzyło się później.

MAŁGORZATA RYBICKA była działaczką opozycji antykomunistycznej w czasach PRL-u. Od 1991 r. szefowa Stowarzyszenia Pomocy Osobom Autystycznym, od 2023 r. przewodnicząca Porozumienia Autyzm-Polska. W 2009 r. odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Treningiem dzielności?

Działania i osiągnięcia celów bez oglądania się na państwo. Patrzenia na dzisiaj bez rozmyślania, co przyniesie jutro.

Bała się Pani wtedy, w latach 70. i w stanie wojennym?

Pewnie tak, ale nie miałam tego wrażeń w swoim słowniku.

Mieliście umowę: mąż będzie na pierwszej linii, a Pani przy córce, Waszym pierwszym dziecku, urodzonym w latach 70.

W tamtych czasach zdarzały się sytuacje, że oboje rodzice-opozycjoniści byli aresztowani, a my chcieliśmy Magdę przed tym uchronić. I się udało: Aram był internowany, ja działałam w drugim szeregu. Choć nasz dom i tak nie był w PRL-u tzw. normalnym domem, bo przewalały się przez niego tabuny ludzi.

Stał nawet powielacz!

Zabrany w końcu przez bezpiekę. Gdyby dziś ktoś mi taką historię opowiedział – o matce niemowlęcia, pod której dachem dzieją się takie rzeczy – to bym nie pochwaliła (*śmiech*).

Wróćmy do narodzin Antoniego.

Mówimy o czasach, w których o autyzmie nie wiedzano niemal nic. I to nawet w rodzinach takich jak moja, gdzie mama i siostra były psychiatrami.

Co Was zaniepokoiło?

To, że Antek wolno się rozwija i że inaczej niż pozostałe dzieci reaguje na otoczenie – tzn. nie jest zainteresowany ludźmi. Np. przychodzimy do znajomych, a on ucieka do zabawy przedmiotami – gitarą, kłębkami wełny albo czymś innym, co akurat zauważył. Mówił niewyraźnie, a jego mowa służyła nie tyle komunikacji, co porządkowaniu dźwięków i słów według niezrozumiałych dla otoczenia kryteriów, np. takich samych końcówek.

Gdy miał trzy lata, zdarzył mi się dłuższy pobyt w szpitalu. A gdy wróciłam, okazało się, że on mnie nie poznaje. I że nie rozumie, co się do niego mówi. Nawet gdy się go prosiło o zrobienie czegoś, co zwykle lubił robić – np. gaszenie i zapalanie światła – nie reagował.

Diagnozy niepełnosprawności, wad wrodzonych są trudne nawet dzisiaj. A wtedy?

Wtedy nie wiedzano niemal nic, nie było nawet słów na określenie niektórych wad czy zaburzeń. A słowo w takich sytuacjach to bardzo dużo: porządkuje świat, oswaja lęk.

Pierwsza diagnoza brzmiała: „upośledzony umysłowo”. Dziś tak się nie mówi, ale kiedyś funkcjonowało właśnie to pojęcie. Później, po konsultacji z psychiatrą padło i to: autyzm.

Co z Panią to słowo zrobiło?

Odetchnęłam z ulgą.

Dlaczego?

Bo nie wiedziałam, że autyzm – czy jak byśmy dziś powiedzieli: bycie w spektrum autyzmu – wiąże się często z niepełnosprawnością intelektualną.

Zaczęliśmy szukać lekarzy, informacji, pomocy... Tylko że wtedy mało o autyzmie wiedzano. Obowiązywały dziwne, fałszywe teorie.

Np. że autyzm to efekt chłodu matek.

Też to usłyszałam: „Mogłaby pani być mniej intelektualna, a bardziej uczuciowa”. I to powiedziała profesor psychiatrii! Teoria była fałszywa, ale cierpienie, które spowodowała u pokoleń matek – prawdziwe i niepotrzebne.

Dziś wiemy bez porównania więcej.

Wy tłumaczmy więc: czym jest spektrum autyzmu?

To odmienny od typowego sposób rozwoju człowieka. Mówimy o „spektrum autyzmu”, bo nie ma jednego wzorca poziomu funkcjonowania osób z autyzmem. Każdy w spektrum jest inny, niepowtarzalny. Jedna osoba może dobrze funkcjonować, osiągać sukcesy w pracy i założyć rodzinę, a inna, u której autyzmowi towarzyszy niepełnosprawność intelektualna, może się nigdy nie usamodzielniać i potrzebować wsparcia przez całe życie.

Co łączy tak różne osoby?

Do najczęstszych objawów, które mogą – choć nie muszą – występować w spektrum autyzmu, zalicza się np. trudności w nawiązywaniu interakcji społecznych i komunikacji; zaburzenia rozwoju języka służącego do komunikacji; tendencje do powtarzalnych i sztywnych zachowań, zainteresowań lub czynności. Niektórym osobom w spektrum trudno zrozumieć, →

→ czego się od nich oczekuje, innym ciężko przyswoić sobie pewne zasady – np. że nie obejmujemy każdej nowo napotkanej osoby, która się do nas uśmiechnie.

Gdy zeszlśmy razem na dół, do wspólnej części naszego domu [chodzi o gdańską Wspólnotę Domową dla Dorosłych Osób z Autyzmem im. Arama Rybickiego – red.], widział pan powitanie z jedną z mieszkank.

Objęła Panią i powiedziała: „Kocham panią dyrektor”.

O ile dla mnie to jest OK, dla kogoś obcego bywa przekroczeniem granic, czego osoba w spektrum autyzmu może w ogóle nie zrozumieć.

Z kolei u osób dobrze funkcjonujących intelektualnie, a będących w spektrum autyzmu zdarza się – to przykład mojej znajomej – bezradność społeczna. Tej kobiecie trudno cokolwiek załatwić w urzędzie, gubi dokumenty, zaciąga długie niemożliwe do spłacenia, bo nie jest w stanie realistycznie ocenić swojej sytuacji.

Nierzadkie są też wśród osób w spektrum zachowania ryzykowne: np. nawiązywanie przypadkowych relacji, w których te osoby bywają wykorzystywane.

Zdarza się również nadwrażliwość na bodźce: wzrokowe, słuchowe, dotykowe.

Gdy oprowadzała mnie Pani po Wspólnocie, w której mieszka teraz siedmioro dorosłych osób w spektrum, zwracała Pani uwagę na wnętrza niektórych pokoi – pozbawione twardych elementów, z zabezpieczonymi kontaktami.

Pomieszczenia muszą być bezpieczne dla osób, u których występuje autoagresja. Niektórzy mieszkańcy miewają uszkodzenia głowy, włącznie z jej zniekształceniem, rany uszu, oczu. Bywa, że autoagresja i agresja wynikają z braku tolerancji na nadmiar bodźców, na zmiany w otoczeniu i planie dnia, albo z nieumiejętności komunikacyjnych. Staramy się dostosowywać otoczenie do ich potrzeb, zapewnić im spokój i przewidywalność. A jeśli nie mówią, uczyć komunikowania potrzeb przy pomocy np. syntezy mowy, zdjęć, obrazków, symboli.

Opowie mi Pani o Antonim?

Jest przystojnym 39-letnim mężczyzną, bardzo podobnym do swojego taty. W jego przypadku bycie w spektrum łą-

Wielu rodziców dzieci z ciężkimi niepełnosprawnościami pyta: „Co będzie, gdy umrę?”.

Staram się na to pytanie odpowiadać: sobie i innym.

czy się ze znaczną niepełnosprawnością intelektualną. Choć w ciągu lat terapii wiele się nauczył, przy większości czynności trzeba mu towarzyszyć. Nigdy nie może być bez opieki, bo może to być dla niego niebezpieczne. Trudno go zrozumieć, bo mówi niewyraźnie. Ma też swoje rytuały. Gdyby tu z nami był, pewnie próbowałby się przeciskać między panem a np. krzesłem lub stołem. Gdy jesteśmy w kościele, nieustająco daje wszystkim znak pokoju.

Na to nakłada się wielkie napięcie. Ale jeśli akurat tego napięcia w nim nie ma, to bywają okresy pięknego kontaktu, fajnej relacji, z której cieszę się i ja, i Antoni. Lubi wykonywać proste prace i cieszy się, gdy jest to doceniane. Lubi jeździć na rowerowe wycieczki z terapeutą i uczyć się na saksofonie nowych melodii z nauczycielem muzyki.

Dużo jest w Waszym życiu radości?

Sporo, ale proszę pamiętać, że mam też inne role. Matki wspaniałej córki. Babci dwóch wnuków. Żony – bo po śmierci Arama wyszłam za mąż. Działaczki w Porozumieniu Autyzm-Polska, trójmiejskim Klubie „TP” czy Fundacji im. Arkadiusza Rybickiego.

Wiem, że powtarza to Pani często młodym matkom dzieci z niepełnosprawnościami: nie dajcie się zredukować do jednej roli.

Matki, opiekunki.

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać.

To prawda, kobiety są często w takich sytuacjach samotne. Nie mają wystarczających środków, a usługi, zwłaszcza na wsiach i w małych miejscowościach, są często niedostępne. Chodzi mi np. o przedszkola, ośrodki terapeutyczne i edukację włączającą, placówki dzien-

negu wsparcia dla dorosłych, usługi asystenckie itd.

Ostatnio jedną z takich samotnych matek poznałam na... przystanku tramwajowym. Jej syn, w spektrum autyzmu, z głębokimi niepełnosprawnościami, leżał na chodniku, krzyczał wniebogłosy i odmawiał współpracy. Mała, drobna i wyglądająca bezradnie kobieta oraz silny już – bodaj 11-letni – chłopiec, który krzyczy i kopie. Wokół ludzie, którzy nie wiedzą, co zrobić, w tym mężczyzna, który z dużą pewnością radzi wypędzanie z dziecka złego ducha... Dobrze, że akurat byłam w tym miejscu i mogłam pomóc.

Bywa, że matki dzieci albo osób dorosłych w spektrum autyzmu, których zachowania odbiegają od norm, odbierają podobne sytuacje jako wstyd?

Mnie wstyd nie towarzyszy, ale czasami przychodzi przygnębienie, że jakieś zachowania, rytuały, wymuszanie czegoś przez Antka trwa już tyle lat i eksploatuje mnie emocjonalnie. Bywa, że rodzice sobie z tym nie radzą – wtedy powinni sami zwrócić się po pomoc.

A wracając do samotności, naprawdę warto ją przezwyciężać i tworzyć organizacje działające na rzecz własnych dzieci. Albo dołączać do już istniejących.

„Mężczyźni nie wytrzymują, odchodzą” – ten obiegowy pogląd to prawda czy mit?

Nie znam badań, ale z mojego oglądu wynika, że to bardzo częsta sytuacja. Co nie znaczy, że reguła. Diagnoza, wymagająca opieki, niewystarczająca pomoc państwa – to bardzo trudne dla obojga rodziców, ale to właśnie mężczyźni częściej nie wytrzymują. Bywa też, że po prostu rozpada się związek, a dziecko zostaje z matką.

W Waszym domu też na Panią spadł większy ciężar.

Na mnie i na starszą siostrę Antoniego, Magdę, co było dla nas obu trudne. Ale to inna sytuacja: Aram działał, był w nieustannym biegu, wiele lat pracował w Warszawie.

Jakim był tatą?

Kochającym, oddanym. Ale też często nieobecnym. Myślę, że ta diagnoza go zwyczajnie po ludzku – jako ojca – głę-



Małgorzata Rybicka podczas uroczystości inicjującej budowę Wspólnoty Domowej dla Dorosłych Osób z Autyzmem. Gdańsk, 5 lipca 2022 r.

boko zraniła. No i bał się o Antka przyszłość. Ciągłe pytał, jak wielu rodziców osób z niepełnosprawnościami: „Co się stanie z Antonim, kiedy umrę?”.

Pani tak nie pyta?

Ja raczej staram się odpowiadać na to pytanie, sobie i innym rodzicom.

Jak?

Że nasze dorosłe dzieci będą mieszkać w małych domach z indywidualnym wsparciem.

Droga do tych domów wiodła przez dekady działań.

Stanęliśmy z mężem przed wyborem: wyemigrować, szukając wsparcia za granicą, czy zostać. Ta druga opcja oznaczała właśnie działanie. Już na początku lat 90. założyliśmy Stowarzyszenie Pomocy Osobom Autystycznym, jedną z pierwszych w kraju organizacji pozarządowych na rzecz grupy OzN. Nieco później współtworzyłam Ośrodek Rewalidacyjno-Wychowawczy dla Dzieci i Młodzieży z Autyzmem, który prowadziłam przez 25 lat. Z kolei w latach dwutysięcznych – gdy Antoni był już dorosły – współtworzyłam w ramach naszego stowarzyszenia centra aktywizacji zawodowej i społecznej w Gdańsku i w Gdyni.

10 kwietnia 2010 r. została Pani sama.

To osobiste wspomnienie, niewiele jest panu w stanie o tamtym dniu powiedzieć. Pamiętam, że w domu było dużo ludzi, i że oni bardzo szybko się zjawili – może godzinę, może dwie po ogłoszeniu tragedii. Wtedy zrozumiałam, jaką moc mają dobre słowa. I że one pozwalają przetrwać. Takie zwykłe, oznaczające wsparcie, ale i te o specjalnym znaczeniu.

Pamiętam, że ktoś wtedy przeczytał fragment Psalmu 23...

Niewiele ponad to pamiętam. Na początku ciągle spałam, bo byłam fizycznie wyczerpana żałobą, dodatkowo przeżywaną w świetle reflektorów.

Jak sobie Pani w tamtym czasie poradziła jako matka?

Nigdy nie zajmowałam się Antonim całą dobę. On codziennie 6 godzin spędzał we wspomnianym dziennym centrum, którego terapeuci byli bardzo pomocni. Mieliśmy wokół rodzinę i przyjaciół. A ze stratą radziliśmy sobie razem, np. chodząc z Antonim na cmentarz, kultuwując rytuały, rozmawiając o „tatusiu, który jest w niebie”.

Ostatnio Pani misją są Wspólnoty Domowe – w jednej z nich rozmawiamy.

Są po to, by dorosłe osoby z autyzmem i niepełnosprawnością intelektualną oraz z niepełnosprawnościami sprzężonymi nie były skazane na domy pomocy społecznej. Takie miejsca są nieprzystosowane do potrzeb ludzi takich jak Antoni. Gdyby tam trafił – co na pewno się nie wydarzy – zamieszkałby np. z kilkoma osobami, wśród których mógłby się zdarzyć przemocowy alkoholik. Albo prześadywałby całe dnie na łóżku.

Wspólnoty przeznaczone są dla maksymalnie dwunastu osób. Każdy z mieszkańców ma swój pokój, łazienkę, są też przestrzenie wspólne, a kadra wyspecjalizowana jest w pracy z osobami w spektrum autyzmu. W ciągu dnia mieszkańcy mają jednego opiekuna lub terapeutę na jedną osobę – w nocy dyżuruje dwoje opiekunów.

Pobyt we Wspólnocie jest dla tych osób treningiem mieszkania: dwa razy w miesiącu spędzają kilka dni tutaj, póź-

niej wracają do własnych domów. Jestem pewna, że Antoni, ale też wiele innych osób będzie w stanie dobrze – i, na ile to możliwe, niezależnie – funkcjonować w takim miejscu już za parę lat, a nie dopiero wtedy, gdy umrą ich opiekunowie.

Wspólnot nie finansuje państwo.

Są tworzone i prowadzone przez organizacje pozarządowe – ogromnym kosztem ludzkim i finansowym – i funkcjonują w trybie projektowym. Dlatego Porozumienie Autyzm-Polska domaga się dla Wspólnot ustawowych gwarancji.

Mamy nową władzę – z Pani i Pani męża środowiska. Będzie Pani patrzyła jej na ręce?

Mamy większe ambicje. Chcemy brać udział w kreowaniu polityki na rzecz OzN, w tym osób z autyzmem. Do szybkiego załatwienia jest sprawa świadczeń socjalnych, placówek dziennych i różnych form mieszkalnictwa ze wsparciem. Spotkaliśmy się już z pełnomocnikiem rządu ds. OzN Łukaszem Krasoniem. Dostałam publiczne deklaracje od polityków, że teraz sytuacja osób w spektrum autyzmu się poprawi. Jacek Karnowski obiecał publicznie, że będzie realizować moje postulaty z kampanii. I nie jest gołosłowny – został przewodniczącym Parlamentarnej Grupy ds. Autyzmu. Jestem pełna nadziei.

A może to dobrze, że Pani nie weszła do Sejmu?

Dlatego dobrze?

Ci, którzy się do parlamentu lub do rządu dostali, sami będąc częścią środowiska OzN, zderzali się ze ścianą. Posłanka PO Iwona Hartwich do dziś nie wywalczyła podwyżki renty socjalnej. A poprzedni pełnomocnik ds. OzN z czasu rządów PiS, Paweł Wdówik, był w środowisku krytykowany.

W poprzedniej kadencji ustawa o rencie rzeczywiście trafiła do zamrażarki – teraz jest szansa na jej uchwalenie. A co do Pawła Wdówika, to na początku wydawało się, że rozumie nasze postulaty. Później niestety stał się partyjnym urzędnikiem, a my nie czuliśmy się przez niego słuchani. W tej kadencji Sejmu to się musi zmienić.

© Rozmawiał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

EPISKOPAT DO WYMIANY

IGNACY DUDKIEWICZ, AUTOR KSIĄŻKI „PASTWISKO”:

Najważniejsze wyzwanie czekające dziś biskupów wyraża się w słówku „mniej”. Mniej władzy, mniej księży, mniej pieniędzy, mniej wpływów politycznych, mniej autorytetu.



ZUZANNA RADZIK: Kto przejmie władzę w episkopacie?

IGNACY DUDKIEWICZ: Jest mi to obojętne. Oczywiście będę śledził i analizował wybory do prezydium Konferencji Episkopatu Polski jako analityk i publicysta, bo to istotne postacie życia publicznego. Jednak jako katolik nie czekam z drżeniem serca, kogo wybiorą.

Istotnymi postaciami życia publicznego biskupi są pojedynczo czy jako kolektywy?

To zależy, czy w perspektywie ogólnopolskiej, czy lokalnej. Są biskupi kompletnie nierozpoznawalni, którzy są ważnymi aktorami lokalnego życia społecznego. Zresztą większość z nich jest nierozpoznawalna w skali kraju, zwłaszcza pomocniczy i emeryci. Trudno jednak myśleć o instytucji hierarchicznej, nie zastanawiając się, kto zostaje biskupem. Sposób, w jaki biskupi budują relacje z księżmi i reagują na rzeczywistość spo-

łeczną, przekłada się na funkcjonowanie wspólnoty wiernych.

Wraz z odejściem poprzedniego prezydium kończy się epoka?

W Kościele rzadko można mówić o zmianach epoki, tu dominują długie procesy. Ta zmiana będzie jednak głębsza niż poprzednia, bo dotąd przewodniczącym zostawał dotychczasowy zastępca. Gdy kard. Glemp odchodził po wielu latach, jego następcą został wiceprzewodniczący abp Michalik. Następcą abp. Michalika po 10 latach został jego wiceprzewodniczący, czyli abp Gądecki. Po raz pierwszy tak nie będzie. Biskupi mogą dokonać politycznej kalkulacji, że lepiej, by przewodniczącym był ktoś odbierany jako sympatyczny, z kim np. Szymon Hołownia może porozmawiać. Jeśli wybiorą kogoś z opcji innej niż dotąd dominująca, to powodem może być bezradność wobec zmian, które są konieczne, a których kompletnie nie umieją się podjąć. Obstawiam, że nie mają diagnozy kryzysu, więc się na to nie zdecydują.

Naprawdę mogą wybrać kogoś z bezradności?

Tak powoływali abp. Wojciecha Polaka na delegata episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży. Nie było innych chętnych, kolejni kandydaci odmawiali. Abp Polak był jedynym, który się zgodził. Skądinąd największym argumentem przeciwko niemu było jego prymasostwo: niektórzy obawiali się, że ta funkcja nada zbyt wysoką rangę sprawie.

Żegnając odchodzącą ekipę porozmawiamy o tym, jak zostanie zapamiętana. Abp Stanisław Gądecki, przewodniczący.

Został metropolitą poznańskim w specyficznym momencie. Kryzysowo zastępował odwołanego abp. Juliusza Paetza i nie poradził sobie z tą sytuacją. Paetz przez lata omijał zakazy, a Gądecki nie reagował, nie przeproszał i nie przyznawał, że Paetz był winny. Na koniec prawie dopuścił do pochowania go w katedrze. I jeszcze ukarał tych, którzy go za to krytykowali.

A rola w episkopacie?

Abp Gądecki miał być człowiekiem środka: ekumenista, wykształcony jako biblista, zaznajomiony z dialogiem mię-

dzyreligijnym. Ale instytucja go wessała. Nie był w stanie nadawać tonu, a podążanie za większością było jedynym sposobem na utrzymanie konsensusu i jedności, do których był przywiązany.

Kontrapunktem jest wiceprzewodniczący, wyrazista postać.

Abp Marek Jędraszewski nie zajmował się jednaniem, tylko dzieleniem, atakowaniem, rozgrywaniem, wciąganiem Kościoła w politykę partyjną i bardzo bieżącą. Miał być najważniejszym łącznikiem Kościoła z rządem PiS, ale nie wiem, czy mu się to udało. Konkurencja w postaci o. Tadeusza Rydzka była silna, a dla biskupów niewygodna, bo nawet popierający jego media nie byli zadowoleni, gdy osobą, z którą dogaduje się władza, jest jakiś zakonnik, a nie któryś z nich.

Jędraszewski też jest związany ze sprawą Paetza.

I jej dziedzictwo obciąża go znacznie bardziej niż Gądeckiego. Był biskupem pomocniczym Paetza, łamał sumienia księży. Bronił go później przez lata publicznie, choć początkowo miał słuszny odruch zareagowania. Ale też przez lata łączyła go z Paetzem bliska, osobista znajomość. Zresztą dziś wielu biskupów w Polsce próbuje wyrzec się przyjaźni z Paetzem.

Ciekawe, że odchodzący skład łączyła skandaliczna historia.

Wiele rozmów do mojej książki „Państwisko” zaczynałem pytaniem, kto rządzi Kościołem w Polsce. O. Paweł Kozacki, teraz były, wówczas obecny prowincjał dominikanów, odpowiedział krótko: koledzy nuncjusza Kowalczyka. Sam Józef Kowalczyk był wychowankiem i protegowanym Paetza. Gdy Wojtyła został papieżem, Paetz był już najistotniejszym Polakiem w strukturach watykańskich, więc – i przed, i po 1978 r. – wprowadzał w nie wielu polskich księży: Dziwisza, Kowalczyka, Rakoczego, Jędraszewskiego. Odchodzenie tego pokolenia przyjaciół Paetza to też jakaś zmiana.

Bp Artur Miziński, sekretarz. Ważna część tego odchodzącego układu władzy, a niekoniecznie znana.

W roli sekretarza przyjął zupełnie inny tryb funkcjonowania niż jego ↪

Biskupi w drodze na uroczystości 1050-lecia Chrztu Polski na Ostrowie Lednickim, kwiecień 2016 r.



→ poprzednicy, tacy jak Polak, Libera, Pierson, którzy byli bardziej aktywni publicznie. To sprawny organizator i prawnik, który zaszył się w gabinecie. Dzięki temu, że redagował ostateczne wersje dokumentów, potrafił namieszać, np. przy powstawaniu i wyborze władz Fundacji Świętego Józefa, zajmującej się wsparciem dla ofiar pedofilii. Z protokołów wynikało coś innego, niż większości biskupów wydawało się, że głosowali. Podlegała mu też polityka komunikacyjna (w tym rzeczniczcy: ks. Paweł Rytel-Adrianik i ks. Leszek Gęsiak), której jakości w ostatnich latach nie warto komentować.

Rozmawiałeś z nim o władzy?

Niestety nie. Odmawiając mi wywiadu do książki, napisał: „Po rozważeniu pańskiej prośby pragnę powiadomić, że podjąłem decyzję o przyjęciu powściągliwej postawy w kwestii naszego spotkania”. To bardzo wielopoziomowe „nie”.

To może zaczniemy od początku: skąd się biorą biskupi?

Przepis na biskupa jest taki: seminarium lub kuria, z odrobiną doświadczenia w duszpasterstwie. Dobrze, jakby kochał Jana Pawła II i Stefana Wyszyńskiego, a jednocześnie patrzył z sympatią na niektóre ruchy papieża Franciszka, np. dosyć życzliwie mówił o synodalności. Ale też nie za bardzo chciał zmian.

Kiedyś doświadczenie w seminarium lub kurii było rozstrzygające. Za papieża Franciszka przesunięto akcenty i ceni się kandydatów, którzy byli duszpasterzami. Nasi obecni biskupi w większości nie mają tego doświadczenia, nigdy nie byli wikarymi, a jeżeli, to przez rok zaraz po święceniach, zanim zaczęli kościelne kariery. To się trochę zmienia, taki abp Adrian Galbas był wikarym, proboszczem i prowincjałem w zakonie, bp Robert Chrzęszcz z Krakowa był wiele lat proboszczem w Rio de Janeiro. Brak doświadczenia duszpasterskiego jest jednym ze źródeł problemów w myśleniu biskupów o Kościele.

Droga do bycia ordynariuszem wiedzie przez nominację na biskupa pomocniczego.

Najczęściej biskup dostaje takiego pomocniczego, jakiego chce, w ten sposób reprodukuje swoje preferencje. Dlatego kandydatura bp. Chrzęszcza, który spę-



MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCIA WYBORCZA.PL / MATERIAŁY PRASOWE

IGNACY DUDKIEWICZ jest filozofem, bioetykiem, działaczem społecznym, publicystą i dziennikarzem. Redaktor naczelny „Magazynu Kontakt”.

dził wiele lat poza diecezją krakowską, jest widziana jako ciche wotum nieufności wobec metropolity tego miasta. Czasem kandydatów biskup wskazuje jednoosobowo, czasem konsultuje z niewielkim gronem. W Warszawie kard. Nycz rozesał natomiast wśród kleru anonimową ankietę, w której były nazwiska wszystkich księży w diecezji spełniających wymogi na biskupa. Ponoć nominacje pomocniczych Warszawy pokrywają się z wynikami tej ankiety. Była jeszcze droga desantu z Rzymu na Polskę, gdy Benedykt XVI „czyścił” Watykan z Polaków. Wtedy wielu obejmowało diecezje bez żadnego doświadczenia duszpasterstwa w Polsce.

Wspominasz, że księża nie chcą zostawać biskupami.

Widac to w skali świata, nie tylko w Polsce. Wiemy z oficjalnych danych ogłaszanych przez Watykan, że odmawiają, a o takich sytuacjach w Polsce dowiadujemy się z przecieków i świadectw. Atrakcyjność urzędu biskupiego przez ostatnie 30 lat radykalnie spadła. Spójrzmy z perspektywy księdza, który ma 50 lat i wie, że miałby jeszcze 25 lat być czynnym biskupem w czasie niepewności i zmian w funkcjonowaniu Kościoła. Widzi, jak wyglądają zaciągi do seminariów, widzi powolne łączenie parafii. Widzi, że jest mniej pieniędzy, mniej wiernych, mniej księży. To wszystko będzie rodziło wielkie strukturalne, administracyjne i duszpasterskie problemy. Obserwuje, że jego głos ma coraz mniejsze znaczenie.

Czyli księża nie są żądni biskupiej władzy?

Nawet cynicy zaczynają kalkulować, że może wygodne probostwo jest lepszą kościelną karierą. Sympatyczniejszą, mniej eksponowaną, mniej narażoną na krytykę. Mniej narażoną na podejmowanie trudnych decyzji w sprawach, z którymi naprawdę nie będzie wiadomo, co zrobić. W perspektywie ćwierćwiecza, które taki ksiądz miałby spędzić na biskupim urzędzie, te problemy będą nabierały znaczenia. To jest po prostu coraz trudniejsza rola, co wprost mówią sami biskupi.

Któryś przyznał Ci to wprost?

Bp Szymon Stułkowski, z którym rozmawiałem do książki, mówił, że poważnie rozważał odmowę. Abp Galbas też to przyznawał. Czasami jednak to dobrze, że ludzie odmawiają. Stułkowski ostatecznie się zgodził, bo „odmowa byłaby dezercją”, ale zastanawiam się, czy jednak nie bywa instynktem samozachowawczym albo realną oceną własnych możliwości. W swoich wspomnieniach abp Kowalczyk, wieloletni nuncjusz, opowiadał, jak Jan Paweł II go poprosił, żeby objął tę funkcję po wyborach w 1989 r. Kowalczyk miał powiedzieć: „Ojciec Święty, to są dla mnie Himalaje!”. To była trzeźwa ocena, bo kompletnie do tej funkcji nie dorósł. Jeśli jakiś ksiądz czuje, że dla niego bycie biskupem w obecnej sytuacji społecznej to są Himalaje, powinien dać sobie spokój. Niewielu jest w stanie wchodzić na ośmiotysięczniki.

Jakbyś opisał ośmiotysięcznik, który stoi przed potencjalnym nowym prezydentem? Jakie czekają ich wyzwania?

Pierwsze wyraża się w słówku „mniej”. Czyli mniej władzy, mniej księży, mniej pieniędzy, mniej wpływów politycznych, mniej autorytetu.

Już w tych pięciu latach?

To widac z roku na rok. Jeśli chodzi o mniejszy wpływ na politykę, to już zdarzały się sytuacje, gdy abp Gądecki ostro krytykował władzę PiS w sprawie zmian podatkowych dla księży wynikających z Polskiego Ładu czy w sprawie pandemicznego zamykania kościołów. Odbijał się od ściany. Rządzący wiedzieli, że mają w ręku wszystkie karty, a biskupi i tak będą ich popierać. Ta nowa rzeczywistość to wyzwanie, z którym zmierzają nowe

władze episkopatu, zwłaszcza że zmienił się rząd.

Już wcześniej zdarzyło się to w sprawie uchodźców.

W mniejszym stopniu dotknęło to Gądeckiego, ale Nycz, Polak czy Zadarko wprost usłyszeli, że nie ma potrzeby, żeby Kościół się zaangażował w tę sprawę.

Co jeszcze czeka Kościół?

Przemoc seksualna wciąż jest wyzwaniem. Będą się pojawiali kolejni poszkodowani nieletni, ale obstawiam, że ruszy też sprawa przemocy seksualnej w zakonach i wobec kleryków. Pewnie jeszcze kilku biskupów osiągną kary, czekają nas kolejne dziennikarskie i historyczne śledztwa, ma powstać niezależna komisja ds. badania archiwów. To jest gigantyczne wyzwanie na najbliższe pięć lat, bo dotyczy sposobu pełnienia funkcji przez Życińskiego, Macharskiego, Wojtyłę, Wyszyńskiego, Strobę, Kominka, Tokarczuka, Dąbrowskiego... Wszystkich historycznych biskupów, lubianych i nie-lubianych. Potencjalne trzęsienie ziemi.

Coś jeszcze?

Wyzwaniem będzie ustosunkowanie się do powolnych, ale jednak dziejących się zmian w globalnym Kościele. Poprzednie prezydium było zupełnie na marginesie tych dyskusji. Dawało do zrozumienia, że nas w Polsce nie interesują żadne nowinki ani zmiany.

Podtytuł Twojej książki o władzy w polskim Kościele mówi, że rządzi

nim przeszłość, bezwład i strach. Jak rządzi historia?

Nie zmierzaliśmy się z jej trudnymi elementami, czarnymi kartami z czasów komunizmu i co najmniej dwuznaczną rolą w czasach transformacji ustrojowej. O historii Kościoła w Polsce ludowej mówimy zbiorem mitów: że naród zawsze był z Kościołem, a Kościół zawsze przeciw komunie, nie dogadywał się z władzą i był w opozycji. Rzeczywistość jest bardziej skomplikowana. Do tego układ polsko-watykański, który powstał po 1978 r., nabierał znaczenia, im bardziej słabł sam Jan Paweł II, a ten układ umebłował polski Kościół na dekady. Co ściśle łączy się z bezwładem, bo przez lata funkcjonując w cieniu potężnych postaci, kard. Wyszyńskiego i Jana Pawła II, biskupi ograniczali się do roli przekazników papieskiego nauczania. Niektórzy wciąż to robią.

Z historii zrodził się więc bezwład.

Czym on jest?

Wyrósł na przekonaniu, że mamy polskiego papieża, mnóstwo księży i ogólnie jest dobrze. Skutkiem jest kompletny brak wizji i nieodnajdywanie się w tematach, o których dyskutuje globalny Kościół. To również duże stężenie klerykalizmu, bo jeżeli cały czas mówisz, że Kościół to Wyszyński lub Jan Paweł II, a miarą sukcesu jest liczba księży, to mówisz klerykalnymi kategoriami.

A strach?

Jako strach opisuję mechanizmy przemocy i samotność księży. Stawiam tezę,

że bycie księdzem w Polsce jest zawodem wysokiego ryzyka kryzysu psychicznego. Pod tym względem kosztowna jest sytuacja wikarych. Za mało w Kościele rozmawiamy o tym, jak bardzo są narażeni na przemoc ze strony proboszczów, biskupa i kurialistów. Mówimy o absolutnym poczuciu zależności młodego księdza, bo wiele zależy od tego, do jakiej parafii go pošlą i czy trafi na przemocowca, czy proboszcza, który będzie go wspierał. Czy będzie to biedna wioska i będzie biedny jak jego parafia, czy zamożna dzielnica miasta. Wśród księży jest duże finansowe rozwarstwienie i żadnego sposobu rekompensowania tych różnic. To tworzy okropne mechanizmy karierowiczostwa i manipulacji.

A czego boi się biskup, który ma zapewniony wikt i opierunek do końca życia?

Ich milczenia nie da się uzasadnić. Nie żyją w braku wolności i możliwości. Dobrym przykładem jest kard. Nycz, który kiedyś walczył o bycie przewodniczącym episkopatu, ale już od 10 lat wiadomo, że nim nie będzie. Jako metropolita jednej z najważniejszych diecezji w Polsce mógłby nadać jej kształt.

Rozumiem, że biskupi nie mogą zmienić nauczania, ale mogą wiele zrobić w już dostępnych ramach, np. stworzyć oficjalne duszpasterstwo dla osób LGBT+ i zrobić porządek z finansami. Oberwą? Oczywiście, ale nie można tłumaczyć przywódców wspólnoty lękiem przed tym, że koledzy biskupi nie będą ich lubić. ➔

Jak pracuje episkopat

KRAJOWE konferencje biskupów mają – w świetle nauczania Soboru Watykańskiego II – wnosić wkład w „poczucie kolegalności” biskupów (z których każdy w swojej diecezji ma władzę w pełni autonomiczną). Najważniejsze decyzje KEP podejmuje podczas zebrań plenarnych, zwoływanych zazwyczaj dwa razy do roku. Obrady prowadzi wybierany na pięcioletnią kadencję przewodniczący KEP (lub jego zastępca), który też

w imieniu Konferencji kontaktuje się ze Stolicą Apostolską. Prymas (arcybiskup gnieźnieński) ma obecnie wśród polskich biskupów pierwszeństwo jedynie honorowe; po kadencji kard. Józefa Glempa funkcje prymasa i przewodniczącego KEP rozłączono. Sprawami organizacyjnymi związanymi z działalnością Konferencji zajmuje się sekretarz generalny (jest odpowiedzialny m.in. za sporządzanie dokumentów).

W OKRESIE między

zebraniami plenarnymi kluczową rolę odgrywa Rada Stała, którą tworzą: z urzędu przewodniczący, jego zastępca i sekretarz generalny (czyli Prezydium), prymas i kardynałowie oraz ośmiu biskupów z wyboru. Rada przygotowuje zagadnienia na zebrania plenarne, pilnuje wykonania decyzji KEP i koordynuje prace komisji, może też zabierać głos w sprawach publicznych.

BISKUPI tworzą zhierarchizowane sekcje zajmujące się szczegółowymi kwestiami. Są nimi komisje (m.in. Nauki Wiary, Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, Duchowieństwa – naśladujące strukturę dykasterii watykańskich), rady (m.in. Apostolstwa Świeckich, Ekumenizmu, Rodziny) i zespoły (m.in. Apostolstwa Trzeźwości, Ekspertów KEP ds. Bioetycznych, ds. Duszpasterskiej Troski o Radio Maryja).

©© MACIEJ MÜLLER

→ Ten brak wzajemnej krytyki to strach czy umowa?

Abp Galbas powiedział mi wprost, że kiedy zostawał biskupem, to w czasie szkolenia dla biskupów z funkcjonowania episkopatu, o tym, jakie są rady i komisje, bp Miziński, sekretarz KEP, mocno podkreślał, że to, co jest na obradach, nie powinno wychodzić na zewnątrz: że nie krytykujemy się nawzajem i ważne jest wrażenie jedności między biskupami. Krytyka zdarza się niezwykle rzadko. Abp Polak po filmie Sekielskich złożył doniesienie na bp. Jania do Watykanu, a sam został za to skrytykowany np. przez bp. Deca. Z kolei bp Greger skrytykował liturgiczne innowacje kard. Rysia. Teraz z kolei kilku biskupów pomocniczych skrytykowało komunikaty w sprawie rezygnacji abp. Dziegi. Tyle.

Czy biskupi są grupą trzymającą władzę?

Paradoksalnie biskupi mają zarówno dużo władzy w Kościele, jak i mało. Mają realną, prawno-kanoniczną i wzmocnioną ugruntowanymi praktykami władzę nad księżmi. Nad wikarymi ich władza jest potężna i niekontrolowana. Nad proboszczami ograniczona, choć w praktyce istotna.

Trzeba jednak zauważyć, że oni nie tylko rządzą, ale też są rządzeni, z jednej strony przez własne ograniczenia i korporacyjne mechanizmy, z drugiej przez własnych księży, których oporu się obawiają. W 2015 r. kilka organizacji z pomocą kard. Nycza próbowało wejść do parafii z programem o migrantach i uchodźcach. Kardynał ogłosił to na spotkaniu wszystkich proboszczów. Udało się tylko w kilku parafiach, choć wola biskupa była wyrażona wprost.

Nie mógł im kazać?

Władza biskupa jest ograniczona, a proboszcz ma stosunkowo silną pozycję względem biskupa i proboszczowie to wiedzą. Nie jest łatwo go odwołać i może długo się bronić, jeżeli nie zgodzi się na zmiany. Zdarza się, że biskupi rezygnują z konfrontacji w poczuciu, że mogą przegrać w Watykanie.

Jakie biskupi mają znaczenie dla przyszłości chrześcijaństwa w Polsce?

Ludzie widzą biskupów i utożsamiają ich postawę z Kościołem jako takim, zniechęcają się i odchodzą nie tylko z Kościoła, ale też od chrześcijaństwa. Gdy zaangażowanie polityczne czy ukrywanie przestępstw przez jednych nie spotyka się z żadną reakcją pozostałych, to nie dziwię się, że ludzie to ekstrapolują na Kościół jako taki. Jednak bardzo bym chciał, żeby to miało mniejsze znaczenie. Musimy skończyć z klerykalnym modelem, w którym kasta wybranych ma decydować o chrześcijaństwie, Ewangelii i sposobie jej interpretacji.

To jaka jest przyszłość?

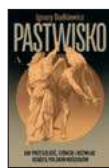
Dopuszczam możliwość, którą wskazała jedna z moich rozmówczyń, Edyta Przykaza, że w którymś z polskich biskupów pewnego dnia obudzi się Oscar Romero. Jego też uważano za człowieka nijakiego, zachowawczego, bezpiecznego dla władzy i *status quo* w Salwadorze. A później stał się wielkim orędownikiem sprawiedliwości, obrońcą uciskanych i głosicielem Ewangelii.

Romero ostatecznie poniósł męczeńską śmierć. Polscy biskupi tyle nie ryzykują, bo nie rządzi nami brutalna junta. Jeżeli ten „Romero” się w kimś obudzi, to zauważymy, że ten ktoś zaczął być biskupem na miarę czasów. Póki to się nie wydarzy, a może nie wydarzyć się wcale, to po tych czterech latach pracy nad książką o władzy w Kościele w Polsce biskupi interesują mnie jako publicystę, ale jako katolik nie czekam na ich zdanie w żadnej sprawie.

Można być katolikiem obojętnym na biskupów?

Niczego od nich nie chcę. Jeżeli ktoś poszukuje nadziei dla chrześcijaństwa w Polsce w budynkach episkopatu albo biskupich kuriach i pałacach, to mogę mu chyba tylko zacytować klasyka: „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie”. Ostatecznie w tym piekle Dantego bardzo wielu było biskupów, papieży i duchownych wysokiego szczebla.

© Rozmawiała
ZUZANNA RADZIK



Ignacy Dudkiewicz
PASTWISKO. JAK PRZESZŁOŚĆ, STRACH I BEZWŁAD RZĄDZĄ POLSKIM KOŚCIOŁEM
Wydawnictwo Agora, 2024

Katecheza z betonu

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Nowa władza w sprawie szkolnej religii różni się od poprzedniej głównie retoryką. Wierzący niepraktykujący – tak można podsumować stosunek koalicji do świeckiej szkoły.

TRUDNO O BARDZIEJ JEDNOZNACZNE ideowe deklaracje niż te czynione przez Barbarę Nowacką. „Rzeczpospolita kościelna to system, który obowiązuje od 1989 roku, a pani chce ten system burzyć” – mówi do Nowackiej Magdalena Rigamonti, prowadząca z nią niedawno rozmowę w Onecie. „To nie jest tak, że ja chcę burzyć, ten system się po prostu nie sprawdza” – odpowiada twardo szefowa MEN i dodaje: „Jeśli młodzież ma więcej religii niż biologii, chemii i geografii razem, to coś jest nie tak”. I w tym, i w innych wywiadach mówi jasno: w jej przekonaniu miejscem religii jest salka katechetyczna. Gdyby więc na podstawie podobnych deklaracji prorokować, jaki będzie los szkolnej katechezy, werdykt byłby jasny: po ponad 30 latach przedmiot ten czeka degradacja.

Tak też chyba sądzą niektórzy hierarchowie. „Aby w Wigilię Paschalną z całą mocą można było wypowiedzieć swoje »Wierzę!«, musimy (...) tę wiarę ciągle potwierdzać w codzienności naszego życia (...). Odnosi się to m.in. do rodziców, a także do dzieci i młodzieży, którzy uczęszczają na lekcje religii w szkołach. Niestety, to wielkie dobro (...) jest ostatnio bardzo zagrożone” – grzmiał niedawno w liście pasterskim na Wielki Post abp Marek Jędraszewski.

Ale słowa krakowskiego metropolity można spokojnie uznać za wyraz tęsknoty za – niegroźącym dziś Kościołowi w Polsce – męczeństwem. Bo klarująca się coraz wyraźniej doktryna rządu Donalda



TADEUSZ KONIARZ / REPORTER

Tuska w sprawie świeckiej szkoły brzmi: wierzymy, nie praktykujemy.

Religia nie do średniej

Częściowo można to tłumaczyć polskim porządkiem prawnym. Np. o tym, że deklaracje – głównie Lewicy – wyprowadzenia na twardo katechezy z polskiego systemu edukacji są przedwyborczym pustosłowiem, wiadomo od dawna. Konstytucja mówi, że religia „może być przedmiotem nauczania w szkole” – a skoro może, to nie da się jej zabronić. Problematyczne jest też całkowite wycofanie się państwa z finansowania katechezy. Tu na przeszkodzie zdaje się stać konkordat głoszący, że oświatowe placówki „organizują zgodnie z wolą zainteresowanych naukę religii w ramach planu zajęć szkolnych”. „Sformułowanie »organizują« można interpretować jako pojęcie porządkowo-techniczne, ale bardziej właściwa wydaje się interpretacja, że oznacza to również finansowanie” – mówił kilka miesięcy temu w „TP” prof. Paweł Borecki, ekspert prawa wyznaniowego UW.

Tyle że Koalicja Obywatelska zapowiadała cały pakiet zmian, dla których prawo nie stanowi przeszkody. I które miały zmienić status religii – z przedmiotu pod niemal każdym względem pełnoprawnego na dodatkowy. Czyli taki, jakim w istocie jest. Chodziło o zmniejszenie wymiaru z dwóch do jednej godziny religii tygodniowo, nakaz umieszczania katechezy tylko na początku i końcu dziennego planu lekcji i wymazanie religii oraz

etyki – jako przedmiotów nadobowiązkowych – ze świadectw. Co z tych zapowiedzi się ostało?

Jak informuje „Tygodnik” rzecznik resortu edukacji Piotr Otrębski, obecnie w MEN przygotowywane jest w odniesieniu do lekcji religii jedno rozporządzenie – jego część dotyczy niewliczania do średniej rocznej ocen z etyki i katechezy. Chodzi, zaznacza rzecznik MEN, o wyrównywanie szans: uczniów, którzy nie uczęszcza na żaden z tych przedmiotów, może mieć niższą średnią niż ten na religię lub etykę chodzący. Tymczasem ta średnia może zdecydować o dostaniu się do wybranego liceum bądź na studia wyższe. – Nie chodzi więc o żadną ideologię, tylko o wyrównywanie szans – akcentuje Piotr Otrębski.

Ale to tylko jedna z trzech ważnych wypowiedzi (a w zasadzie pół, bo w przedwyborczych „stu konkretnych” KO mowa była o braku religii na świadectwie, a nie tylko o niewliczaniu oceny do średniej). Co z pozostałymi?

Koalicjant się boi

„Dwie lekcje religii to przesada” – mówiła twardo jeszcze w grudniu Barbara Nowacka w TVN24, zapowiadając okrojenie wymiaru tych zajęć (a co za tym idzie – okrojenie ich finansowania, pochłaniającego dziś dwa miliardy złotych rocznie). O zadekretowaniu zasady, że religia może być tylko na początku i na końcu dnia, mówić nie musiała – sprawa ta została zapisana w 18. punkcie wspomnianych „stu konkretnych na sto dni rządów”.

Aktywistka Ogólnopolskiego Strajku Kobiet podczas akcji „Zegnaj religio” – zachęcania uczniów tarnowskich szkół do rezygnacji z religii, kwiecień 2023 r.

Obie zmiany wpisałyby się dobrze w motto pierwszych działań MEN pod nowym kierownictwem: odciążanie uczniów i z nadmiaru materiału (ograniczenia zadań domowych; odchudzanie podstaw programowych), i godzin spędzanych w szkolnych ławach. Nie tylko w nich: dziś na przymusową obecność w szkole skazany jest często – i to dwa razy w tygodniu – uczeń nieuczęszczający na religię i etykę, którego placówka nie potrafiła zorganizować tygodniowego planu tak, by lekcje te umieścić na początku bądź końcu dnia.

Tyle że MEN nad żadną z tych dwóch zmian dotyczących statusu religii nie pracuje. Skąd ta rejterada? Minister Nowacka powtarza w wywiadach, że na razie na reformy nie zgadzają się koalicjanci. Czytaj: ostrożność w forsowaniu zmian to pokłosie obaw – zapewne głównie działaczy PSL – że „wojna o religię” odbierze głosy podczas zbliżających się wyborów samorządowych, a później europejskich.

Ostrożność ponad obietnice

Laicyzacja laicyzacją, ale szkolna religia nadal trzyma się w Polsce zaskakująco mocno. Doniesienia o masowych rezygnacjach uczniów z chodzenia na tę lekcję są, owszem, prawdziwe, ale dotyczą w zasadzie tylko dużych miast – i głównie liceów. Najnowsze kościelne dane, dotyczące roku szkolnego 2022/23, mówią o 80,3 proc uczniów uczęszczających na katechezę. Innymi słowy, na religię chodzi nadal czworo na pięcioro polskich uczniów (inna rzecz to pytanie, jaka część z nich robi to dlatego, że nie mają co ze sobą zrobić w środku dnia), a i w sondażach za wyprowadzką katechezy do kościołów opowiada się nadal nieco mniej niż połowa Polaków.

Dopóki tak będzie, politycy koalicji będą pewnie w swoich „antyreligijnych” działaniach ostrożni, zwłaszcza przed wyborami samorządowymi, które mają swoją „terenową” specyfikę. Nawet kosztem wysłuchiwanie zarzutów, że zapomnieli o swoich obietnicach. I że w tej sprawie – niezależnie od pohukiwań w wywiadach – kontynuują w gruncie rzeczy politykę PiS. ©P

O co chodzi w „Ojcze nasz”

MARCIN MAJEWSKI

Znamy ją na pamięć od dziecka. Czy wiemy jednak, o co się modlimy, wypowiadając słowa modlitwy Pańskiej?

TRAKTUJEMY JĄ JAKO NAJBARDZIEJ chrześcijańską z modlitw. Tymczasem „Ojcze nasz” jest modlitwą na wskroś żydowską. I ma wydźwięk, który umyka współczesnemu człowiekowi: to wołanie o nadejście końca czasów i nastanie wiecznego królestwa Bożego.

Według przekazu Ewangelii została podyktowana przez Jezusa – stąd zwana jest modlitwą Pańską. Tradycja chrześcijańska przekazała trzy nieco się różniące wersje „Ojcze nasz”: dwie w Nowym Testamencie, a jedną w „Nauce dwunastu apostołów”, czyli *Didache*. W Ewangelii Mateusza modlitwa liczy w języku greckim 54 wyrazy, wersja Łukasza tylko 38. Być może każdy z ewangelistów przekazał taki tekst „Ojcze nasz”, jakim modlono się w jego wspólnocie. W *Didache* tekst jest najdłuższy – do wersji obecnej u Mateusza dodano jeszcze doksologie (pochwale Boga): „Bo Twoja jest potęga i chwała na wieki”.

Koniec czasów

Jezus i apostoł Paweł oczekiwali rychłego nadejścia końca czasów. Świadczą o tym choćby słowa: „Zaprawdę, powiadam wam: Nie przeminie to pokolenie, aż się to wszystko stanie” (Mk 13, 30 i paralelne). Jezus mówił też: „Zaprawdę, powiadam wam: Niektórzy z tych, co tu stoją, nie zazną śmierci, aż ujrzą Syna Człowieczego, przychodzącego w królestwie swoim” (Mt 16, 28). Wtórował mu św. Paweł, przekonując np.: „To bowiem głosimy wam jako słowo Pańskie, że my, żywi, (jesteśmy) pozostawieni na przyjście Pana (...) Potem my, żywi i pozostawieni, wraz z nimi będziemy porwani w powietrze, na obłoki naprzeciw Pana, i w ten sposób zawsze będziemy z Panem” (1 Tes 4, 15, 17); „Oto ogłaszam wam tajemnicę: nie wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy zostaniemy przemienieni” (1 Kor 15, 51).

Usilne oczekiwanie na rychłe nadejście królestwa Bożego – końca obecnego czasu, a początku czegoś zupełnie nowego – charakteryzowało cały ruch wczesnochrześcijański. Najsilniej zostało wyrażone właśnie w „Ojcze nasz”. Ponieważ jednak chrześcijaństwo i świat trwają od tamtych czasów już dwa tysiące lat, wyparliśmy ten aspekt modlitwy Pańskiej. Ten wydźwięk pominięto najpierw w przekładach, a potem w rozumieniu kolejnych wezwań w niej zawartych.

Któż by się nie bał

O pierwszej prośbie, „święć się imię Twoje”, Gerhard Lohfink, niemiecki biblista, napisał: „Należy ją interpretować jako prośbę o zgromadzenie ludu Bożego czasów ostatecznych”. Dlaczego? Otóż nawiązuje ona do kilku prorocत्व Pierwszego Testamentu, gdzie mówi się, iż uświęcenie Bożego imienia zapowiada czasy eschatologiczne: „Gdy Izrael ujrzy swe dzieci wśród siebie, ogłosi imię moje jako święte. Wtedy czcić będą Świętego Jakubowego i z bojaźnią szanować Boga Izraela” (Iz 29, 23); „Chcę uświęcić wielkie imię moje, które zbezczeszczone jest pośród ludów, i poznają ludy, że Ja jestem Pan – wyrocznia Pana – gdy okaże się Świętym względem was” (Ez 36, 23).

„Święć się imię Twoje” to wołanie o ostateczne objawienie się Boga światu. O doskonałym, pełnym uświęceniu Imienia Bożego mówi Apokalipsa: „Któż by się nie bał, o Panie, i Twego imienia nie uczcił? Bo Ty sam jesteś Święty, bo przyjdą wszystkie narody i padną na twarz przed Tobą” (Ap 15, 4).

Chleb na przyszłość

Druga prośba, „przyjdź królestwo Twoje”, nawiązuje do idei pełnego królowania Boga i ma charakter ściśle eschatologiczny. Idea ta pojawia się w tym sensie w Biblii Hebrajskiej oraz w pismach



z Qumran. W ewangeliach zyskuje rangę kluczowego wezwania Jezusa: „Czas się wypełnił i bliskie jest królestwo Boże. Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię!” (Mk 1, 14n). Jezus był przekonany o zbliżającym się rozstrzygnięciu losów świata: „Nie zdążycie obejść miast Izraela, nim Syn Człowieczy przyjdzie” (Mt 10, 23).

W trzeciej prośbie, „bądź wola Twoja”, nie wzywa się człowieka do realizacji Bożych planów, ale apeluje się do Boga o ostateczne urzeczywistnienie Jego planów wobec świata. Podobny ton wybrzmiewa w czwartej prośbie, „chleba naszego...”. Kluczowe dla zrozumienia tego wezwania jest określenie chleba greckim *epiussios*, często tłumaczonym jako „po-wszedni”. Jest to wyraz pojawiający się tylko w tej modlitwie u Mateusza i Łukasza. Biblisty wysuwają dwie główne propozycje jego przekładu, wychodząc od źródłosłowu: 1) od czasownika „być ponad” – czyli „ponadnaturalny” lub „nadprzyrodzony”; 2) od czasownika „następować, iść po” – czyli „przeznaczony na następny dzień” lub „chleb na przyszłość”. Ciekawe jest to pierwsze rozwiązanie, nieobecne w polskich tłumacze-



S. VANNINI / DE AGOSTINI / EAST NEWS

Tablice z modlitwą „Ojcze nasz” w 130 językach, krużganki kościoła Pater Noster na Górze Oliwnej w Jerozolimie, 2017 r.

niach, a wskazujące nie na pokarm zwyczajny, ale eschatologiczny. Tak widzi to Wulgata, tłumacząc termin jako *super-substantialem*, czyli ponadsubstancjalny. Także w drugim znaczeniu chleb, o który prosi orant, może być rozumiany jako chleb przyszłej eschatologicznej uczty.

Żydowska forma

Drugi zapoznany wątek dotyczy ściśle żydowskiego charakteru modlitwy Pańskiej. Choć dotarła ona do nas w języku greckim, to ma wyraźne podłoże semickie, a jej korzenie są judaistyczne. Już sama kompozycja jest zaczerpnięta z najlepszych wzorców modlitw biblijnych i żydowskich. Składa się bowiem z inwokacji oraz siedmiu prośb. Liczba siedem wskazuje na doskonałość, pełnię i związek z Bogiem. W Pierwszym Testamencie czytamy o siedmiu dniach stworzenia świata, o świętach pielgrzymkowych, z których każde trwało tyle dni, o świeczniku siedmioramiennym itd. Siedem wezwań modlitwy Pańskiej ma podkreślić kompleksowy, obejmujący wszelkie sprawy charakter prośb i wezwań w niej zawartych.

Pierwsze trzy wezwania dotyczą spraw Bożych, a więc kierunku wertykalnego relacji między człowiekiem a Bogiem, cztery kolejne zaś – spraw ziemskich w porządku horyzontalnym relacji międzyludzkich. Jest to zatem ten sam układ, co w Dekalogu, gdzie pierwsze przykazania odnoszą nas do relacji z Bogiem, kolejne zaś do relacji z bliźnimi. Użyto też w tej modlitwie innych typowo semickich figur literackich.

Żydowska treść

Oprócz formy, na wskroś żydowska jest również treść „Ojcze nasz”. Pierwsze trzy wezwania do złudzenia przypominają starą aramejską modlitwę zwaną Kadisz (często mylnie określaną modlitwą za zmarłych), sławiącą Imię Boże i przyzywającą rychłe nadejście królestwa Bożego. Jej pierwsze wezwania brzmią: „Niech będzie wywyższone i uświęcone Jego wielkie Imię, w świecie, który sam stworzył według swej woli. Niech nastanie Jego królestwo za waszego życia i za waszych dni”.

W stosunku do pierwszych wezwań Kadiszu, w „Ojcze nasz” życzenie dru-

gie i trzecie zamienione są miejscami (przyjdź królestwo... bądź wola...), paralela jest jednak uderzająca. Podobieństwo dostrzegamy także w zestawieniu „Ojcze nasz” z niezwykle ważną żydowską modlitwą, „Szmona esre”, czyli „Osiemnastcie błogosławieństw”. W modlitwie tej, znanej już w czasach Jezusa, trzecie błogosławieństwo rozpoczyna się słowami: „Ty jesteś święty i święte jest imię Twoje”. Okazuje się więc, że „Ojcze nasz” nie wychodzi tu poza kanon klasycznej modlitwy żydowskiej.

W pierwszym wezwaniu, „niech będzie uświęcone imię Twoje”, kryje się nie tylko biblijne przesłanie na temat imienia (wskazanie istoty, tajemnicy nazwanej rzeczy/osoby), ale i wielka biblijna teologia imienia Boga. W judaizmie imię Boga jest niewymawiane i zgodnie z hebrajską koncepcją imienia wyraża obecność samego Boga. Prośba ta wiąże się też z przykazaniem Dekalogu o cci imienia Bożego. Z kolei wezwanie „bądź wola Twoja” ma swój pierwowzór nie tylko w Kadiszu, ale i w Pierwszej Księdze Machabejskiej: „Jakożkolwiek zaś będzie wola w niebie, tak niech się stanie!” (1 Mch 3, 60).

Odpuść nasze winy

Bardzo żydowsko brzmi też prośba: „i odpuść nam nasze winy...”, zwłaszcza w wersji Mateuszowej. Ewangelista wybrał tu termin o semickim charakterze i wyraźnym związku z instytucją Roku Jubileuszowego: *ofeilemata*, czyli dosł. „długi”. Łukasz z kolei użył terminu ogólniejszego, moralnego, zapewne ze względu na adresatów ze świata greckiego: *amartiai*, czyli dosł. „grzechy”. Rok Jubileuszowy był to szczególny rok, w którym wyrównywały się społeczne nierówności. Przypadał po siedmiu latach szabatowych, które obchodzono co siedem lat (7 razy 7), a więc co 50 lat. Polegał, przynajmniej w założeniu, gdyż nie posiadamy potwierdzeń tej praktyki, na uwolnieniu niewolników za długi i zwolnieniu zajętego za długi pola. Oczekiwanie odpuszczenia długów i win nabrało z czasem cech eschatologicznych. Według qumrańskiego tekstu 1 i Q Melchizedek uwolnienie z długów dokona się na końcu czasów. W modlitwie Jezusa ➔

→ – która cała wydaje się supliką eschatologiczną – także chodzi o odpuszczenie przez Boga win u kresu czasów, na sądzie ostatecznym.

Wołanie do Boga o odpuszczenie win związane zostało w „Ojcze nasz” ze zwrotnym odpuszczeniem ich drugiemu człowiekowi. W tradycji żydowskiej znana była ta zależność – związek pomiędzy przebaczeniem otrzymanym od Boga a przebaczeniem udzielanym drugiemu. Syrach wzywa: „Odpuść przewinę bliźniemu, a wówczas, gdy błagać będziesz, zostaną ci odpuszczone grzechy” (Syr 28, 2). Przypomina się przypowieść o niemiłosiernym dłużniku (Mt 18, 23-35), w której Jezus zobrazował ową zależność: ktoś, kto nie odpuścił mniejszych przewinień drugiemu, nie może liczyć, że jemu zostaną odpuszczone większe.

Bóg kusi do złego?

Wezwanie „i nie wódź nas na pokuszenie” wywołuje w ostatnich latach najwięcej dyskusji. Wzmogły się one, gdy papież Franciszek zaapelował o zmianę jego tłumaczenia w duchu teologii katolickiej na „nie pozwól nam ulec pokusie”, gdyż kusi szatan, nie Bóg. W teologii judaizmu i w Biblii Hebrajskiej jak najbardziej jest do pomyślenia sytuacja, w której do Bóg kusi i wystawia człowieka na próby. Dzieje się tak czy to w raju, czy na pustyni, czy w historii Hioba, czy żądaniu ofiary z Izaaka. Tekst grecki mówi dosłownie o wprowadzaniu w pokusę/próbie. Kluczowy jest tu rzeczownik grecki *peirasmos*. Może on oznaczać pokusę w ścisłym znaczeniu, a więc nakłanianie kogoś do złego czynu. Ale może oznaczać też próbę albo doświadczenie. Dla Żyda katolicka debata nad alternatywą „nie wódź nas na pokuszenie” jest niezrozumiała.

Ponieważ Jezus mówi tu o próbie w ogólności, za to w liczbie pojedynczej, można ją traktować jako próbę *par excellence*, eschatologiczną pokusę, której świat zostanie poddany przez szatana. W prośbie chodziłoby zatem przede wszystkim o „wielkie ostateczne kuszenie, które stoi już przed drzwiami, o odsłonięcie tajemnicy zła, o objawienie Antychrysta, o okropność spustoszenia, obecność szatana w miejscu Boga, o ostatnie prześladowanie i zwołanie przez fałszywych proroków i fałszy-

Dla Żyda katolicka
debata nad wezwaniem

**„nie wódź nas
na pokuszenie”**

jest niezrozumiała.

Bóg w Biblii nieraz
wodzi na pokuszenie.

wych zbawicieli” (J. Jeremias). Według Apokalipsy w czasach ostatecznych pokusa „nadejdzie na cały obszar zamieszkany, by wypróbować mieszkańców ziemi” (Ap 3, 10).

Zbaw od Złego

Ostatnie wezwanie Modlitwy Pańskiej, „ale nas zbaw ode złego”, jawi się jako rewers wezwania poprzedniego. Podkreśla rzeczywistość mocy zła stojącej za pokusą i woła o uwolnienie od niej. Słowo *poneru* można wyprowadzić zarówno od formy osobowej: „zły” (człowiek lub szatan), jak i od bezosobowej: „zło” (nieszczęście). W egzegezie dominuje to pierwsze ujęcie, jako lepiej poświadczone i bardziej pasujące do kontekstu modlitwy, jednak drugie także jest poświadczone w ewangelich i starożytnych przekładach (Wulgata używa *a malo*).

Przekład „od Złego” znów kieruje nas w stronę eschatologii. W judaizmie czasów Jezusa silne było przekonanie o pułapkach, które szatan zastawia na człowieka, by zyskać nad nim władzę. Dlatego popularnością cieszyły się modlitwy chroniące przed działaniem Złego. Jednak największą trwogę wzbudzały przepowiednie o ostatecznym ataku szatana, który skieruje na ludzi wierzących. Ci, którzy oczekiwali rychłego końca czasów i modlili się o przyjście królestwa Bożego, błagali jednocześnie o wyzwolenie z mocy szatana i uchronienie od jego finalnego ataku na ludzkość.

Inwokacja „Ojcze”

W modlitwach żydowskich ze starożytności, zarówno w Biblii, jak i w tradycji judaizmu, rzadko się pojawia wezwanie Boga jako Ojca. Inwokacje modlitw hebrajskich obfitują w inne tytuły Boga, jak „Król”, „Pan”, „Stwórca”, „Sędzia”, „Miłosierny” czy „Najwyższy”. W Biblii he-

brajskiej Bóg nigdzie nie jest wzywany w modlitwie jako „Ojciec”. Oczywiście obraz Boga jako Ojca nie jest całkiem obcy Pierwszemu Testamentowi, pojawia się np. u Izajasza czy w psalmach. Ale w „Ojcze nasz” bezpośrednie zwrócenie się do Boga jako do „Taty” podkreśla bliskość i synostwo modlącego się oraz jego zaangażowanie emocjonalne. Zapewne w miejsce greckiego *pater* w ustach Jezusa pojawiło się tu aramejskie *abba* (por. Mk 14, 36) – słowo wyrażające serdeczne i pełne czci zwrócenie się do rodzica, bez względu na wiek, akceptownie więc tłumaczone czasem jako „Tato” czy „Tatusiu”. Owo *abba* nie występuje w tej formie w Pierwszym Testamencie, a u rabinów nigdy nie jest używane w stosunku do Boga.

Inwokacja „Ojcze” wyznacza nowy status uczniów i naśladowców Jezusa. Trudno zaprzeczyć, że w jej świetle Jezus uważał nie tylko siebie, ale i swoich uczniów za synów Bożych (poleca używać słowa, którym sam zwracał się do Boga). Kiedy w Biblii hebrajskiej pojawia się określenie Boga jako Ojca, podkreśla ono szczególną relację pomiędzy JHWH a narodem wybranym, a zwłaszcza między JHWH a królem (Ps 2, 7: „Tyś Synem moim, Ja Ciebie dziś zrodziłem”; 2 Sm 7, 14: „Ja będę mu ojcem, a on będzie Mi synem”). W interpretacji nowotestamentalnej zwracać się do Boga poufałym *abba* mogą wszyscy.

Płeć Boga

Pojęcie płci w odniesieniu do Boga jest utartym w patriarchalnym świecie wyrażeniem tradycyjnym i nie mówi niczego, czego nie można by wyrazić nazywając Boga „matką” lub „kochającym rodzicem”. Z kolei następujący zaimek „nasz” czyni modlitwę wspólnotową. Forma liczby mnogiej wskazuje – podobnie jak większość modlitw żydowskiego Siduru – na pierwszoplanowość modłów całej wspólnoty. I podważa wszelkie podziały wewnątrzchrześcijańskie.

Modlitwa „Ojcze nasz” cała utkana jest z tradycyjnych dla judaizmu zwrotów, wezwań i tematów teologicznych, lecz pojawiają się w niej elementy nowe i specyficzne dla nauczania Jezusa. Przekazał wezwanie, aby Bóg Izraela przyspieszył realizację doniosłych rzeczy, które miały się objawić u zaranian „wieku, który nadejdzie”.

© MARCIN MAJEWSKI

WOJCIECH

Bonowicz:

Poeta i maść



OD PEWNEGO CZASU CORAZ CZĘŚCIEJ WRACA DO MNIE WIERZ JIRIEGO KOLÁŘA ZATYTUŁOWANY „Maść przeciw poezji”. W przekładzie Leszka Engelkinga brzmi on tak:

*Wziąć
pięć gramów ślepoty duchowej
piętnaście gramów tępoty
dwadzieścia gramów łajdactwa
i dwadzieścia pięć gramów beczelności
Wszystko dokładnie rozetrzeć w moździerz pustki
tłuczkiem impotencji*

*Potem dolać ósmą część tchórzostwa
i podsmażyć na patelni kłamstwa
wysmarowanej podstępem
podlewając sprzedając nienawiścią*

*Na końcu wymieszać
nowym szlagierem i hymnem
żeby nie było zarazków rzeczywistości
albo prawdy życia*

*Ten kto posmaruje się tą maścią
nie potrzebuje się bać
że kiedykolwiek dotknie go poezja*

Kolář opatrzył ów wiersz dokładną datą: 3 maja 1955 roku, wtorek. Data ma znaczenie, dwa dni wcześniej na wzgórzu Letná w Pradze stanął największy na świecie pomnik Józefa Stalina. Historia pomnika została dokładnie opisana przez Mariusza Szczygła w „Gottlandzie”, więc nie będę jej tu powtarzał. Ważne, że był to okres, kiedy w Czechosłowacji stalinizm trwał w najlepsze, mimo że sam Stalin od dwóch lat już nie żył. Wiersz, oczywiście, nie odnosi się do tego wydarzenia, chodzi raczej o pewną atmosferę, jaka panuje wówczas nad Włtawą. Gdy w Polsce widać pierwsze oznaki zmian – „Twórczość” zaczyna drukować „Głosy w ciemności” Juliana Strykowski, ukazuje się przekład „Odwilży” Ilji Erenburga – w Pradze na razie nic nie zapowiada zła-

godzenia kursu. Socrealizm, nad Wisłą już kwestionowany, wciąż jest doktryną obowiązującą bez zastrzeżeń, a sztab urzędników pilnuje, żeby w sztuce „nie było zarazków rzeczywistości / albo prawdy życia”.

Ten kontekst historyczny jest ważny, ale wiersz Kolářa można czytać również poza nim. Już sam pomysł jest ciekawy: poezja jest tu przedstawiona jako choroba, przed którą trzeba się chronić. Osobliwa maść ma zapobiegać ewentualnemu zainfekowaniu. To oczywiście aluzja do chwytu stosowanego przez każdą autorytarną propagandę, która chętnie posługuje się figurą choroby, żeby wzbudzić lęk i niechęć wobec określonej grupy czy danego zjawiska. Ktoś staje się „wrzodem” lub „pasożytem”, „roznosi zarazki”, które atakują „zdrowe tkanki”. Jeśli artysta tworzy sztukę „chorą”, „zdegenerowaną”, trzeba z pomocą cenzury dokonać jej resekcji.

Kolář naturalnie sięga po ów chwyt, ironicznie go przetwarzając. Do sporządzenia maści, która ma skutecznie chronić przed poezją, użyć trzeba całego zła tego świata – od tępoty i beczelności, przez podstęp i kłamstwo, aż po nienawiść i nieprawdę. Autor rysuje wyrazistą opozycję: po jednej stronie zło, po drugiej poezja. Ten, kto postępuje niegodziwie, kto wybiera cynizm i oportunizm, może się czuć bezpiecznie, poezja bowiem nigdy nie będzie miała do niego dostępu. Oczywiście, można powiedzieć, że Kolář szydzi w ten sposób z niektórych swoich kolegów po piórze, z tchórzostwa lub z innych powodów decydujących się zdradzić sztukę, podporządkować ją programowi politycznemu. Ale zaproponowana opozycja ma też sens głębszy, uniwersalny.

O co chodzi? Chyba o to, że nie da się łączyć sztuki – w tym poezji – z tym, co czeski poeta nazywa „łajdactwem” i „duchową ślepotą”. Nie wiem dokładnie, co miał na myśli Kolář, używając drugiego z tych określeń, ale dalszy ciąg wiersza co nieco w tej kwestii rozjaśnia. Niechęć poety budziła postawa odwracania się od rzeczywistości, uciekania od odpowiedzialności za to, co dzieje się tu i teraz. Także – to już dopowiadam – odwracania się od tego, co jest treścią życia najpowszedniejszą, prawdą najbardziej codzienną, oddolną. „Duchowa ślepota” widzi pustkę tam, gdzie życie budowane jest w sposób najzwyczajniejszy, nieefekowny i cierpliwy; chętnie nakryłaby takie życie jakąś przesłoną, jego realny ból schowała za krzykliwym hasłem, chwytliwą iluzją.

Co może zrobić poeta, widząc, że ludzie cierpią? – pyta w innym miejscu Kolář. Jego odpowiedź jest znamienna: może przynajmniej powiedzieć im, że nie są sami. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



**Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na powszech.net/wspieram

faniMani.pl

MOŁDAWSKA EMANCYPACJA

Rosyjskie wpływy są tu dziś słabsze niż kiedykolwiek.
Ale nastroje nie są dobre. „Jeśli Ukraina upadnie,
pozostanie nam tworzenie rządu
na uchodźstwie, np. w Rumunii” – słyszę w stolicy Mołdawii.

KAMIL CAŁUS Z KISZYNIOWA

DWA LATA WIELKIEJ WOJNY PUTINA przeciw Ukrainie zmieniły tu więcej niż wcześniejsze trzy dekady.

Skuteczny ukraiński opór na polu boju oraz wsparcie polityczne i finansowe Zachodu sprawiły, że w ostatnich kilkunastu miesiącach prozachodnia Partia Działania i Solidarności (PAS), rządząca w Kiszyniowie od 2021 r., zdecydowała się na szereg bezprecedensowych działań. Takich, które uniezależniają Mołdawię od Rosji, a przed którymi poprzednie rządy się powstrzymywały – głównie z obawy przed reakcją Kremla.

Jednocześnie wyraźnie wzrosła asertywność mołdawskich władz. O ile w pierwszych miesiącach inwazji – mimo poparcia politycznego dla Ukrainy – starały się ograniczać krytykę Kremla, dziś jednoznacznie stoją po stronie Kijowa. W rozmowach nazywają Rosję „krajem, który nie może zaproponować światu nic poza krwią i cierpieniem”.

TAK JUŻ JEST | Przez większość czasu po 1991 r., gdy Mołdawia uzyskała niepodległość, jej politykę definiowało jedno słowo: niemoc. I dwa porzekadła: rumuńskie „*asta e!*” („tak już jest”) i rosyjskie „*tišie wody, niže trawy*”, nawołujące do uległości „ciszej od wody, niżej od trawy”.

Rządzący w Kiszyniowie – bez względu na to, jaką opcję reprezentowali – wychodzili z założenia, że ich niewielkie, liczące dziś ledwie 2,4 mln mieszkańców państwo, a do tego noszące od lat niechlubne miano jednego z najbiedniejszych krajów Europy, nie jest w stanie samodzielnie poradzić sobie z szeregiem problemów systemowych, będących spadkiem po czasach sowieckich.

Za dogmat uchodziło pełne uzależnienie kraju od dostaw rosyjskiego gazu, dominacja Rosyjskiej Cerkwii Prawosławnej, brak sprawnej armii czy wreszcie obowiązująca od 1994 r. konstytucyjna neutralność. Nie do pomyslenia wydawało się też – z obawy przed reakcją Moskwy – podjęcie jakichkolwiek stanowczych kroków wobec separatystycznego Naddniestrza, będącego *de facto* rosyjskim protektorem.

PORANNY TELEFON | Dopiero rosyjska inwazja na Ukrainę doprowadziła do rewolucji w myśleniu mołdawskiej klasy politycznej. Nie stało się to jednak od razu. W pierwszych dniach dominującym odczuciem prozachodnich władz był strach.

– Rano 24 lutego 2022 r. do prezydent Mai Sandu zadzwonił ktoś przedstawiający się jako oficer FSB – opowiada mi

mołdawski znajomy zbliżony do administracji prezydenta. – Poinformował najpierw, że rozpoczęta „specjalna operacja wojskowa” nie jest sprawą Mołdawii. A potem dość bezceremonialnie oświadczył, że za kilka tygodni, gdy wojska rosyjskie zajmą już Odesę i dotrą do granicy z Naddniestrzem, Moskwa podejmie rozmowy z władzami mołdawskimi na temat statusu tego separatystycznego regionu i innych, jak to ujął, „palących kwestii dwustronnych”.

Na pożegnanie rozmówca miał rzucić złowrogi: „Sugerujemy się przygotować”. Groźba była jasna.

Jednak potem rosyjska ofensywa traciła na sile, a ryzyko zajęcia Odessy – co dałoby Rosji lądowe podejście do ataku na Mołdawię – stawało się coraz mniejsze. Kiszyniów zaczął odzyskiwać spokój. Dostrzegając jednocześnie, że rosyjskie zaangażowanie na Ukrainie tworzy bezprecedensową szansę na zmianę dotychczasowego *status quo* Mołdawii.

KRES NIEMOCY | Największy przełom to uniezależnienie się od rosyjskiego gazu. Latem 2022 r. Mołdawia, która wcześniej musiała wysłuchiwać gróźb Gazpromu, iż odetnie jej dostawy, po raz pierwszy zaczęła na szeroką skalę kupować gaz na giełdzie od dostawców europejskich i gro-



Kolejna demonstracja asertywności: prezydent Maia Sandu składa kwiaty przed Pomnikiem Matki Bolesnej, który upamiętnia Mołdawian poległych w wojnie z Rosją i Naddniestrzem w latach 1990-92. W jej wyniku Naddniestrze odłączyło się od Mołdawii. Kiszyniów, 2 marca 2024 r.

madzić jego zapasy w podziemnych magazynach na Ukrainie i w Rumunii.

Było to możliwe dzięki kredytowi w wysokości 300 mln euro, który udzielił Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju, a także wsparciu krajów zachodnich. Mołdawianie, którzy dotąd tylko przedłużali (choć nie bez trudności) kontrakty z Gazpromem, teraz przechodzili kurs poruszania się na pełnym zapleczu europejskim rynku gazu. Kluczową rolę odegrał tu zresztą Maciej Woźniak, były wiceprezes PGNiG, a od kwietnia 2022 r. doradca państwowej spółki Energocom (odpowiada ona za zakupy gazu).

W grudniu 2022 r. Kiszyniów z dumą ogłosił, że nie konsumuje już gazu od Gazpromu i po raz pierwszy opiera się tylko na surowcu nierosyjskim. Rosyjski

gaz trafia dziś wyłącznie do Naddniestrza, a jego koszt nie obciąża Mołdawii.

Zmiany w energetyce to nie tylko gaz. W marcu 2022 r. Mołdawia przeprowadziła (wraz z Ukrainą) odwiekaną przez 30 lat synchronizację swej sieci energetycznej z systemem europejskim. Umożliwiło jej to import prądu z sąsiedniej Rumunii. Dotąd kraj był na łasce Moskwy – nawet 80 proc. potrzebnej energii importować musiał z elektrowni w Dniestrowsku, położonej w Naddniestrzu i należącej do Rosji.

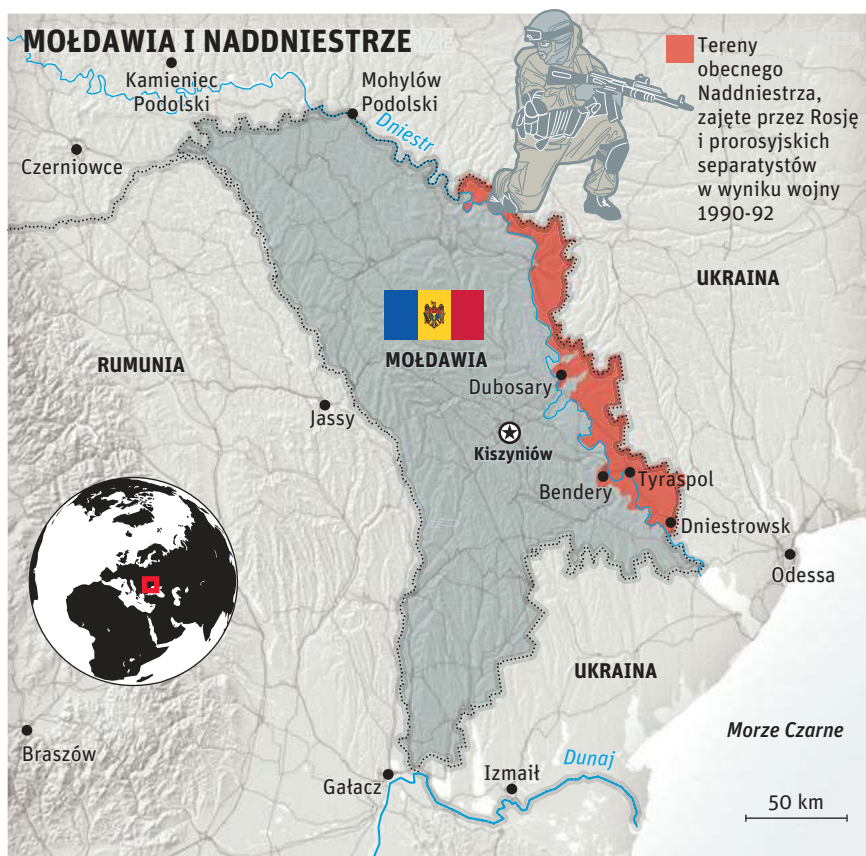
OCZY I TARCZA | W ostatnich miesiącach władze zaczęły też szeroką dyskusję o zdolnościach obronnych państwa i zasadności jego neutralnego statusu.

Choć społeczna akceptacja dla neutralności wciąż jest wysoka, trwająca po

sąsiedzku wojna zaczęła zmieniać mentalność Mołdawian. O ile jeszcze kilka lat temu poparcie dla przystąpienia do NATO wynosiło 20-25 proc., dziś przekracza już 30 procent. Po raz pierwszy odsetek przeciwników tego pomysłu spadł też poniżej 50 procent.

Do tej pory działające w Mołdawii prorosyjskie partie promowały ideę, zgodnie z którą państwo neutralne nie tylko nie może angażować się w sojusze wojskowe, ale w ogóle nie powinno inwestować w rozwój armii (podobny ton słychać było z Moskwy). Pokłosiem takiego myślenia stało się chroniczne niedoinwestowanie wojska. W 2015 r. Mołdawia wydawała na nie zaledwie 23 mln dolarów, a w 2020 r. ok. 40 mln dolarów – nie wystarczało to na wiele więcej niż wynagrodzenia dla ok. 5 tys. żołnierzy.





→ Teraz Kiszyniów zdecydował się zmienić ten stan rzeczy. W 2023 r. budżet obronny zwiększono o 70 proc. (do ok. 90 mln dolarów) i zapowiedziano, że wydatki wojskowe mają sięgnąć w kolejnych latach od 1 do 2 proc. PKB. Rozpoczęto też modernizację armii. Wobec powtarzających się przypadków naruszania przestrzeni powietrznej przez rosyjskie drony i rakiety, kluczową inwestycją stał się zakup nowoczesnego systemu jej monitorowania Ground Master 200. Ten francuski radar dotarł do kraju w grudniu 2023 r.

– To krok w dobrą stronę. Ale poza „oczami” potrzebujemy teraz „tarczy”. To, że wiemy, iż coś na nas leci, nie pomoże, jeśli nie będziemy w stanie tego zestrzelić – mówi mi przedstawiciel władz.

CZAS EMANCYPACJI | Równolegle daje się zauważyć rosnącą asertywność mołdawskich władz, które coraz mniej boją się występować w obronie swoich interesów przeciwko Rosji i pozwalają sobie na gesty, które wcześniej byłyby nie do pomyślenia.

Jeszcze w lutym 2023 r. prezydent Maia Sandu oficjalnie oskarżyła Moskwę o działania mające na celu obalenie rządu

w Kiszyniowie. Później, w lipcu 2023 r., szef MSZ Nicu Popescu podjął decyzję o wydaleniu z kraju 45 rosyjskich dyplomatów (czyli ponad połowy obsady ambasady), zarzucając im prowadzenie wrogiej działalności. Nagranie, na którym widać, jak Mołdawianie odprowadzają pracowników ambasady do autobusu, śpiewając przy tym szyderczo rosyjską wojskową pieśń „Pożegnanie Słowianki”, notowało w internecie rekordy popularności.

Gestem uderzającym w Rosję jest też rozpoczęcie procesu wystąpienia Mołdawii ze Wspólnoty Niepodległych Państw. Ta organizacja polityczno-militarna powstała w 1991 r. pod egidą Rosji i długo zrzeszała większość państw posowieckich. Gdy Mołdawia wystąpi z WNP – procedura ma zakończyć się w tym roku – zostanie ich dziewięć (w tym pięć krajów Azji Centralnej).

ZA ZDRADĘ OJCZYZNY | Zupełnie inaczej niż przed inwazją wygląda też polityka Kiszyniowa wobec Naddniestrza. Na początku stycznia tego roku władze mołdawskie po raz pierwszy zdecydowały się na likwidację obowiązujących do tej pory ulg celnych dla naddnie-

strzańskich firm. Dotąd nie płaciły one cła importowych i eksportowych do mołdawskiego budżetu.

Wcześniej, jeszcze w 2023 r., Kiszyniów przyjął wymierzoną w polityków tego regionu tzw. ustawę o separatyzmie. Przewiduje ona kary m.in. za nawoływanie do separatyzmu, szpiegostwo i zdradę ojczyzny. Choć do tej pory nowe regulacje nie zostały wykorzystane przeciwko władzom w Naddniestrzu, to nie ma wątpliwości, że stanowią one jeden z instrumentów nacisku na region. Mołdawia otwarcie przestała też widzieć w Rosji jednego z uczestników procesu negocjacyjnego z Naddniestrzem.

TAM NIC SIĘ NIE STANIE | Choć ani władzom separatystycznym, ani Moskwie nie podoba się rosnąca presja Kiszyniowa wobec Naddniestrza, niewiele są w stanie poradzić.

Do niedawna głównym sposobem dyscyplinowania Mołdawii było potencjalne odcięcie lub ograniczenie dostaw gazu. Ale, jak wspomniano, Rosja straciła ten instrument już w końcu 2022 r. Zagrożeniem nie są też rosyjskie „siły pokojowe” w Naddniestrzu: liczące ok. 1,5 tys. żołnierzy (i złożone w 80 proc. z Naddniestrzan), są źle wyposażone i zdemoralizowane.

W efekcie Naddniestrzu pozostają jedynie rozpaczliwe apele kierowane do Moskwy, jak ten wystosowany 28 lutego przez Zgromadzenie Deputowanych tego parapaństwa. Jego członkowie zwrócili się do Rosji o udzielenie nieuznawanej republice wsparcia „w kontekście rosnącej presji ekonomicznej ze strony Kiszyniowa”. Prośba nie była niczym nowym, bo Naddniestrze regularnie skarży się swej „patronce” na rzekomo wrogie działania Mołdawii.

Mimo to zapowiedź Zgromadzenia i krążąca w mediach plotka, że Naddniestrze zwróci się do Rosji o uznanie lub aneksję, wywołały ogromne zainteresowanie światowych mediów. Za to w Mołdawii wszyscy, a zwłaszcza władze, byli spokojni. Jeszcze kilka dni przed 28 lutego wielokrotnie słyszałem w Kiszyniowie uspokajające: „Mamy codzienny kontakt z Tyraspołem (stolicą Naddniestrza), nic szczególnego tam się nie stanie”.

NOWE KONTEKSTY | Dotychczasowe uzależnienie Mołdawii od Rosji maleje jednak nie tylko za sprawą świadomych

działań Kiszyniowa, ale także przez kontekst wojenny i trwającą izolację międzynarodową państwa Putina.

Do Rosji, która jeszcze 10 lat temu odgrywała kluczową rolę w mołdawskim handlu (ładowała tam jedna trzecia całego eksportu), trafia dziś zaledwie 4 proc. wyprodukowanych w Mołdawii towarów. Doszło także do odpływu mołdawskich migrantów zarobkowych z Rosji: o ile w 2014 r. pracowało tam oficjalnie ok. 560 tys. Mołdawian (a faktyczna ich liczba mogła być jeszcze wyższa), o tyle obecnie jest ich zaledwie ok. 70 tysięcy.

Do bardzo ciekawej sytuacji dochodzi także na polu religijnym. Rosyjska Cerkiew Prawosławna w Mołdawii, do której należy 80-90 proc. jej mieszkańców, postrzegana jest dziś jako upolityczniona i zaangażowana w trwający konflikt, co prowadzi do gwałtownego spadku zaufania do tej instytucji.

Choć trudno uznać to zjawisko za masowe, symptomatyczny jest także wyraźny wzrost przypadków, gdy duchowni mołdawskiej gałęzi Cerkwi rosyjskiej decydują się na przejście do mniejszej Metropolii Besarabskiej, podlegającej patriarchatowi bukareszteńskiemu.

JEŚLI UKRAINA UPADNIE | Mimo wyraźnej dumy z dotychczasowych osiągnięć, politycy w Kiszyniowie zdają sobie sprawę, że od wyniku trwającej wojny rosyjsko-ukraińskiej zależy dziś bardzo wiele.

Może nawet – wszystko. Bo nie tylko reformy czy nabierający dynamiki proces integracji europejskiej (Mołdawia uzyskała status kandydata do Unii w czerwcu 2022 r.), ale nawet fizyczne istnienie ich państwa. Dlatego władze w Kiszyniowie z niepokojem obserwują sytuację na froncie.

– Jeśli Ukraina upadnie, wszystkie wyzwania wewnętrzne, przed którymi stoimy, znikną. A nam pozostanie chyba tylko tworzenie rządu na uchodźstwie. Może w rumuńskich Jassach... – słyszę na pożegnanie od przedstawiciela mołdawskiej administracji.

© KAMIL CAŁUS



TAIWAN SEMICONDUCTOR MANUFACTURING CO.

Produkcja płytek krzemowych w fabryce TSMC na Tajwanie

Tajwańska krzemowa tarcza

MARIA WIŚNIEWSKA
Z HSINCHU (TAJWAN)

Bez nich nasz świat nie mógłby istnieć. Niektórzy twierdzą, że bez nich nie byłoby też niepodległego Tajwanu. Jak wygląda tajwańska Dolina Krzemowa, gdzie powstają czipy?

ZTAJPEJ, TAJWAŃSKIEJ STOLICY, DO Hsinchu można przejechać pociągiem w godzinę. To półmilionowe miasto, położone w północno-zachodniej części wyspy, ma bogatą historię: było jednym z ośrodków japońskiej kolonizacji i jest jednym z siedlisk rdzennej ludności.

Dziś jednak kojarzy się głównie z przemysłem nowoczesnych technologii. Tym, który pod koniec lat 80. XX w. wyniósł Tajwan do grona „azjatyckich tygrysów”, a teraz sprawia, że ta niewielka wyspa u wybrzeży Chin jest jednym z najważniejszych miejsc na świecie.

Tutaj, na wyżynnych przedmieściach Hsinchu, rozłożył się ogromny park przemysłowy. Można go porównać do kalifornijskiej Doliny Krzemowej: na powierzchni 1500 hektarów skupiły się

siedziby i fabryki blisko pięciuset firm z branży wysokich technologii.

Gdy przyjeżdżam w środku dnia pracy, ulice są wymarłe – życie miasta skupia się za wysokimi murami zakładów produkcyjnych. Dostęp do nich jest ściśle chroniony. W Hsinchu mówi się, że szpiegostwo przemysłowe jest tu na porządku dziennym. Niektóre kraje dałyby wiele, by poznać sekrety koncernu Taiwan Semiconductor Manufacturing Company (TSMC). To największy na świecie producent układów scalonych, na których polega cała współczesna cywilizacja.

Małe, coraz mniejsze

Ale czym właściwie są układy scalone? Zwane też mikroprocesorami, to zestawy połączonych elementów elektronicznych (tranzystorów) zamkniętych na małej płytce (czipie, zwanym też półprzewodnikiem), która wykonana jest z wafla krzemowego i ma mniej więcej wielkość paznokcia. W jednym czipie znajdują się miliardy elementów – połączonych tak, aby razem mogły realizować złożone zadania obliczeniowe.

Im więcej tranzystorów w jednym procesorze, tym bardziej skomplikowane zadania może on wykonać. Stąd potrzeba, aby były one jak najmniejsze. Firmy prześcigają się w tym, która przesunie jak najdalej granice miniaturyzacji tych i tak już niewyobrażalnie mikroskopijnych elementów. Obecnie najnowocześniejsze tranzystory mierzą 50 nanometrów, tj. 50 milionowych milimetra.

Koncern TSMC, założony w 1987 r., jest tu liderem. Bije na głowę nawet koreański Samsung i amerykański Intel. Tajwański gigant jako pierwszy zaczął produkcję czipów w najnowocześniejszej technologii 3-nanometrowej, a w 2025 r. ➔

Morris Chang (z lewej) jako specjalny wysłannik Tajwanu na obrady Wspólnoty Gospodarczej Azji i Pacyfiku (APEC) i wiceprezydent USA Mike Pence. Port Moresby, Papua Nowa Gwinea, listopad 2018 r.

→ planuje otworzyć pierwszą na świecie fabrykę 2-nanometrowych układów scalonych.

Ropa XXI wieku

Czipy można znaleźć dziś w każdym urządzeniu elektronicznym – od telefonu przez samochód po pralkę. Na świecie produkuje się dziś ponad bilion półprzewodników rocznie, z czego 60 proc. wytwarzają właśnie zakłady TSMC. Jeżeli jednak zawężymy te dane do najnowocześniejszych układów scalonych, udział tajwańskiego giganta skoczy do 90 procent.

Tymczasem czipów będziemy potrzebować coraz więcej – czasem mówi się, że są one dla XXI stulecia tym, czym była ropa dla wieku XX. I to nie tylko dlatego, że coraz więcej konsumujemy, ale też dlatego, że wymaga tego walka o prymat na rynku sztucznej inteligencji czy postępująca transformacja energetyczna.

Dla przykładu, auto na silnik spalinowy ma w swojej konstrukcji około tysiąc czipów – gdy pojazd elektryczny ma ich już trzy tysiące. Czipy zasilają też zaawansowane technologie wojskowe i cywilne, w tym medyczne urządzenia diagnostyczne i badawcze.

Z namysłu nad przyszłością

Podobnie jak Dolina Krzemowa, przemysłowy park w Hsinchu nie jest projektem oddolnym. Powstał w 1980 r. z inicjatywy rządu Tajwanu jako wynik namysłu nad przyszłością osłabionego kraju. Niewiele wcześniej, w 1971 r., Tajwan stracił członkostwo w ONZ na rzecz Chińskiej Republiki Ludowej, a w 1973 r. ucierpiał na skutek kryzysu naftowego, który pogrążył gospodarkę opartą na eksporcie tanich towarów przemysłowych. Władze uznały, że pora na wyznaczenie nowej ścieżki rozwoju.

Tajwan miał już pierwsze doświadczenia w montowaniu urządzeń elektronicznych dla zagranicznych koncernów, a w kraju powstawały rodzime firmy z sektora informatycznego, jak Acer, którego laptopy szybko zyskały międzynarodową renomę. Było na czym budować.



TAIWAN: MINISTRY OF FOREIGN AFFAIRS / AP / EAST NEWS

Intelektualnym zapleczem dla projektu stała się grupa młodych inżynierów, którzy wrócili na Tajwan po studiach na najlepszych uniwersytetach w USA (ukończonych dzięki sowitym stypendiom od amerykańskiego rządu), i po doświadczeniach pracy w amerykańskich firmach informatycznych, takich jak IBM.

Wśród nich wyróżniał się Morris Chang, założyciel TSMC. Choć dziś już 92-letni, nadal jest aktywny w tajwańskiej debacie publicznej i funkcjonuje jako nieformalny ambasador Tajwanu za granicą.

Zamożność emanuje na kraj

Pracę w TSMC otacza aura prestiżu, a absolwenci najlepszych szkół biją się o to, aby zacząć tu karierę. Korzyści są oczywiste: Hsinchu plasuje się na pierwszym miejscu na liście gmin o najwyższych dochodach *per capita* na Tajwanie. Wielu może sobie tutaj pozwolić, aby posłać dzieci do drogich międzynarodowych szkół, gdzie w pakiecie uczą się programowania, paru języków i gry na instrumentach.

Kariera w branży informatycznej ma jednak swoją cenę. Jak słyszę od specjalisty, który jest w firmie od sześciu lat, nierzadko trzeba pracować po kilkanaście godzin dziennie. W weekendy trudno planować czas dla rodziny, bo nie można wykluczyć wezwania na posterunek.

Poza tym niełatwo się tu dostać – o jeden wakat konkuruje nawet 200 osób. Na moje pytanie, jak zatrudnić się w TSMC, taksówkarz, który zawiezie mnie potem spod fabryki na dworzec, złapie się

za głowę i spróbuje mi wybić pomysł z głowy.

Zamożność emanuje stąd na cały kraj. Dziś sektor półprzewodników zatrudnia 336 tys. osób (wraz z „otuliną” branży liczba ta sięga miliona – na 24 mln mieszkańców wyspy) i generuje 15 proc. PKB Tajwanu. A w ostatnich dekadach zmienił kraj nie do poznania.

Amerykańsko-tajwańska programistka, z którą spotykam się na kawie, wspomina, że gdy w 1975 r. jako dziecko udawała się wraz z rodzicami na emigrację do USA, opuszczała biedną tropikalną wyspę. Tymczasem w 2023 r. wróciła do jednego z najbogatszych i najnowocześniejszych krajów świata. Wartość PKB Tajwanu *per capita* w ciągu jej nieobecności skoczyła z 984 dolarów do 33 tys. dolarów obecnie.

Czipy gwarantują bezpieczeństwo?

Niektórzy twierdzą, że czipy dają wyspie o wiele więcej niż materialny dostatek, a mianowicie stabilizację w Cieśninie Tajwańskiej.

W artykule z 2021 r. dla pisma „Foreign Policy” ówczesna prezydentka Tsai Ing-Wen określiła przemysł półprzewodników mianem „krzemowej tarczy”, która pozwala Tajwanowi ochronić się przed zakusami komunistycznych Chin. Z kolei Morris Chang tłumaczył, że atak Chin na Tajwan uderzyłby w produkcję półprzewodników, a że odgrywają one wielką rolę w budowaniu innowacyjnej gospodarki, konflikt byłby katastrofalny w skutkach dla wszystkich.

Przedsmak spustoszeń, jakie mogłyby on spowodować, dał globalny niedobór chipów spowodowany zakłóceniami



JONATHAN RAA / AFP / EAST NEWS

Prezentacja smartfonów z czipami produkcji TSMC na targach w Brukseli, 2023 r.

w dostawach w związku z pandemią. Wiele osób także w Polsce może pamiętać, jak trudno było o konsolę PlayStation, na którą wzrósł wtedy popyt.

Taki konflikt uderzyłby rykoszetem również w Chiny, bo choć próbują rozwinąć własną produkcję czipów, aż 70 proc. zużywanych układów scalonych nadal importują z Tajwanu. W amerykańskich debatach na temat obrony Tajwanu pojawił się nawet pomysł, by zaminować fabryki TSMC – tak aby upewnić Pekin, z czym wiązałaby się inwazja na wyspę. Oraz przy okazji zagwarantować, że Chiny nie przejmą zasobów tego kluczowego sektora.

Krucha współzależność

Pomysł minowania nie zyskał jednak poparcia władz w Tajpej, nierzadko patrzących na Stany jak na koniecznego, choć kłopotliwego sojusznika.

Inni przypuszczają, że sektor półprzewodników może nie wystarczyć do powstrzymania Chin przed próbą przejścia wyspy siłą. Obecny prezes TSMC Mark Liu w wywiadzie dla dziennika „New York Times” mówił, że „Chiny nie atakują Tajwanu ze względu na półprzewodniki, ale też nie powstrzymają się ze względu na półprzewodniki”.

Aspiracje Komunistycznej Partii Chin do podporządkowania sobie wyspy nie są niczym nowym i sięgają czasów, gdy Tajwan był biednym rolniczym krajem, a do pozycji technologicznego giganta było mu jeszcze bardzo daleko.

Zresztą przywódcy reżimów autorytarnych, odizolowani od krytyki, nie muszą kierować się racjonalnymi pobudkami. Założenie, że współzależność uchroni

przed wojną, zostało mocno podważone po inwazji Rosji na Ukrainę. Ku zaskoczeniu wielu w Europie, więzy energetyczne – te przez lata pieczołowicie budowane z Rosją – nie powstrzymały Putina. Dla czego Xi Jinping miałby postąpić inaczej?

Praca zdalna? Zapomnij!

Jak długo Tajwan utrzyma pozycję lidera w sektorze mikroprocesorów? Zarówno Chiny, jak też USA i ich sojusznicy inwestują dziś w rodzimą produkcję mikroprocesorów, dążąc jeśli nie do autonomii, to przynajmniej do większej niezależności w tej branży. Kontrolowanie technologii chipowych zapewnia w końcu przewagę militarną i gospodarczą, co jest równoznaczne z panowaniem nad światowym porządkiem gospodarczym i handlowym.

Tajwan i jego firmy próbują chronić swoją dominację, broniąc się np. przed wyciekami technologicznych tajemnic. Dlatego, jak mówi mi menadżer techniczny w TSMC, praca zdalna nie jest tu możliwa, a pracownicy nie mogą wejść do fabryk z własnymi urządzeniami elektronicznymi (aby uniknąć choćby hipotetycznej możliwości wyniesienia danych). Co może zaskakiwać w erze pracy zespołowej, w TSMC programiści nie do końca wiedzą, co robi kolega lub koleżanka z sąsiedztwa – rezultaty ich pracy „centralizuje” wyższy menedżer, któremu kierownictwo może bardziej zaufać.

Ale konkurencja też podejmuje wysiłki. W 2022 r. Chiny zgłosiły rekordową liczbę 69 tys. patentów związanych z mikroelektroniką, co stanowiło gwałtowny, bo 59-procentowy wzrost wobec 43 tys. zgłoszeń pięć lat wcześniej.

Stany nie chcą pozostać w tyle. W 2022 r. z inicjatywy prezydenta Joego Bidena w życie weszła ustawa CHIPS Act, przewidująca 50 mld dolarów na subsydia, ulgi podatkowe i inne zachęty dla branży czipowej. Jednym z jej beneficjentów jest zresztą koncern TSMC, który buduje dwie fabryki w stanie Arizona.

„Z braku pracowników”

Jednak Tajwan ma przewagi, których tak prosto nie mogą powtórzyć inne państwa.

Jest mocno wpięty w globalny łańcuch dostaw, kluczowy dla produkcji czipów, z którego Chiny są coraz częściej wykluczane. USA nakładają na nie coraz surowsze ograniczenia, zwłaszcza na sprzedaż sprzętu do produkcji półprzewodników. Jednocześnie przekonując kraje sojusznice, by kluczowi dostawcy – tacy jak holenderska firma ASML – dołączyli do blokady technologicznej Pekinu.

No i takim Amerykanom zwyczajnie daleko do pracowitości Tajwańczyków, którzy są przyzwyczajani do tego od dziecka. Legenda miejska w Tajpej głosi, że szkółek wieczornych organizujących dodatkowe lekcje do dziesiątej wieczorem jest tu więcej niż sklepów spożywczych sieci 7-Eleven (to odpowiednik Żabki, nawet jeszcze bardziej popularny).

Widać też już pierwsze efekty różnic w kulturze pracy: rozpoczęcie produkcji czipów TSMC w Arizonie, planowane na 2024 r., przesunięto na rok 2027 lub 2028. Mark Liu twierdził, że powodem jest „brak odpowiednio wykwalifikowanych pracowników, którzy mogliby przeprowadzić instalację specjalistycznych maszyn do produkcji mikroprocesorów”.

Amerykańscy pracownicy TSMC widzą to inaczej: na ich internetowych forach można przeczytać, że nie chcą „tyrać jak niewolnicy”. TSMC może mieć problem ze znalezieniem i utrzymaniem 4,5 tysiąca pracowników w swoich fabrykach w Stanach.

Nie mówiąc już o uzyskaniu wydajności porównywalnej do fabryk w Hsinchu.

© MARIA WIŚNIEWSKA

Autorka jest stypendystką Taiwan Fellowship i analityczką Polityki Insight.

Jak się przygotować na powrót Trumpa

PETER D. FEAVER,

POLITOLOG, BYŁY URZĘDNIK ADMINISTRACJI GEORGE'A W. BUSH:

To prawda, że Polacy dobrze dogadywali się z Trumpem, gdy był prezydentem. Jednak czy będą równie zadowoleni z jego działań podczas drugiej kadencji? Nie sądzę.

MARTA ZDZIEBORSKA: Republikanie w Kongresie dalej blokują pomoc dla Ukrainy. Czy Pan, doradca w administracji republikańskiego prezydenta George'a W. Busha, poznaje jeszcze swoją partię?

PETER D. FEAVER: Trwa w niej walka między kilkoma frakcjami. Ta tradycyjna, która rozumie, że obrona Ukrainy jest w interesie USA, nie ma już większości w partii. Do tego niektórzy nie chcą narazić się Trumpowi w środku kampanii. Najbardziej niepokoi mnie jednak frakcja izolacjonistów. Oni byli zawsze w Partii Republikańskiej, ale teraz zyskali na sile. Sprzymierzili się z frakcją, której bardziej niż na polityce zagranicznej zależy na sprawach wewnętrznych, jak mniejszy deficyt budżetowy czy zaostrzenie dostępu do aborcji. Ostatnia frakcja, najbardziej groźna, to trumpiści. Oni stawiają na transakcyjny populizm. Aby zdobyć pieniądze, sławę i wpływy, gotowi są poprzeć wszystko, co powie Trump.

Gdy ten wypalił, że będzie zachęcać Putina do ataku na kraje NATO, które nie płacą dość na obronność, bronili go nawet republikańscy jastrzębie.

Senator Lindsey Graham tłumaczył, że Trump chce po prostu zmobilizować Europę. Zgodzi się Pan?

Wielu Republikanów uważa, że słowa Trumpa pomagają Putinowi i szkodzą NATO. Nie zdobędą się jednak na krytykę, bo nie chcą mu się narazić. Trump lubi podkreślać, że kompromisy w polityce są złe, a sam ciągle wymaga, by dla niego naginano zasady. I sam jest przecież mistrzem kompromisów: ma niewiele stałych poglądów. Dostosowuje się do aktualnych oczekiwań elektoratu.

Może więc w tych kategoriach powinniśmy interpretować jego słowa o NATO? Jako prezydent nazywał Sojusz „przestarzałym”, obrażał sojuszników, a według jego ówczesnych doradców był nawet bliski wyjścia z NATO. Mimo to w porównaniu do Baracka Obamy znacznie zwiększył budżet na odstraszanie na wschodniej flance.

Niechęć Trumpa do Europy i przekonanie, że Europa nas wykorzystuje, nie wydając na obronność tyle, ile powinna, to jeden z jego nielicznych stałych poglądów w sferze polityki zagranicznej. On mówił i pisał krytycznie o NATO już w latach 80. XX w. Inna sprawa, że gdy doszedł do władzy, jego ataki na sojuszników były mitygowane przez doradców z tradycyjnego skrzydła Partii Republikańskiej. To oni odciągali go od kontrowersyjnych pomysłów, tłumacząc, z jakimi wiąże się skutkami. Jednak tym razem są obawy, że Trump otaczałby się wyłącznie lojalistami, ludźmi mu posłusznymi. Przygotowywana jest już baza danych trumpistów, którzy mogliby zasilić jego administrację.

Jak wpływowi w otoczeniu Trumpa są eksperci z think tanków Heritage Foundation i Center for Renewing America? Przekonują oni, że USA powinny jednostronnie zmniejszyć obecność wojskową i aktywność w ramach NATO. Wszystko po to, by zmusić europejskich sojuszników do większego zaangażowania.

Ci eksperci są wyjątkowo blisko Trumpa. Ich analiza polityki zagranicznej opiera się na wątpliwych założeniach i odzwierciedla to, co on chce usłyszeć.



Poglądy głoszone przez te instytucje są dobrym wskaźnikiem, czego można spodziewać się po drugiej kadencji Trumpa.

Heritage Foundation, niegdyś bastion militarnej doktryny „pokoju przez siłę”, dziś kwestionuje zasadność pomocy dla Kijowa. Czy po wygranej Trumpa Putin może liczyć na dwustronne negocjacje USA-Rosja w sprawie Ukrainy, bez europejskich sojuszników przy stole?

Myszę, że Trump byłby bardzo zainteresowany takimi rozmowami. On podziwiał Putina i zapewne lubi sobie wyobrażać, że jest tak samo mocarny jak on. Obawiam się, że Trump dałby się wmanewrować w porozumienie niekorzystne dla Ukrainy, Europy i świata, a potem próbowałby zmusić sojuszników do jego uznania. Inna sprawa, że nie widzę podstaw, dla jakich Ukraińcy, Polacy i inni Europejczycy mieliby respektować takie porozumienie. Dla Trumpa liczyłoby się przede wszystkim to, że skłonił rosyjskiego dyktatora do zakończenia wojny. Proszę sobie przypomnieć, jak chętnie spotykał się z Kim Dzong Unem w sprawie denuklearyzacji Korei Północnej.

Spotkali się trzy razy.

I te wysiłki spełzyły na niczym. Trump nie był w stanie wskórać więcej niż inne administracje USA. Gdy stało się jasne, że Kim Dzong Un go zwodzi, doradcy przekonali go, by zaprzestął tych rozmów. Dla niego musiała to być porażka, bo chciał



WIN MCNAMEE / GETTY IMAGES

Wiec wyborczy Donalda Trumpa na uniwersytecie w Rock Hillon. Karolina Południowa, 23 lutego 2024 r.

poszczycić się przełomowym porozumieniem z reżimem. Wycofał się jednak, bo bał się ryzykować: lubił dużo mówić o odważnych planach, ale nie palił się do ich realizacji, gdy w końcu zrozumiał, że mogą prowadzić do katastrofy i oskarżeń pod jego adresem.

Podczas drugiej kadencji może być bardziej skłonny do ryzyka, bo nie będzie już ubiegać się o reelekcję?

To zbyt daleko posunięta spekulacja. Należy się jednak spodziewać, że będzie chciał zrealizować jak najwięcej planów, mając z tyłu głowy, że ma tylko cztery lata u władzy.

Trump grozi na wiecach, że jako prezydent przywróci dekret z końcówki swojej pierwszej kadencji. Ułatwiał on zwalnianie urzędników federalnych i obsadzenie tych urzędów lojalistami. Czy to nie wątpliwe prawnie?

To sprawa do rozstrzygnięcia przez sądy. Zanim jednak zapadłby werdykt, Trump mógłby wprowadzać swoje porządki, w najlepszym wypadku tylko zastraszając tych, którzy tam pracują. Inna sprawa, że nie miałby przeszkód, by nominować swoich kandydatów na cztery tysiące stanowisk, które ma do obsadzenia każda nowa administracja. Pytanie jednak, czy Senat chciałby takie kandydatury zatwierdzić. Jeśli nie, Trump mógłby ominąć regulacje i obsadzić swoich ludzi jako pełniących obowiązki na danym sta-

nowisku. Robił tak podczas pierwszej kadencji i myślę, że ten trend by się utrzymał.

Wróćmy do urzędników, którzy tradycyjnie nie są z nadania nowej administracji. Jaki mają oni wpływ na politykę zagraniczną?

Administracje prezydenckie, które sprawnie funkcjonują, dbają o to, by dobrze żyć z tymi urzędnikami. Bo ci ludzie wiedzą, jak skutecznie wdrażać obronę przez prezydenta strategię. Nie opłaca się iść z nimi na wojnę.

Swego czasu rozmawiałam z El-bridge'em Colbym, który pracował w pierwszej ekipie Trumpa. Narzekał, że w Pentagonie napotykał opór urzędników przed tym, aby na pierwszym miejscu stawiać Chiny. Jeśli Trump znów wygra, Colby przekona go, by robić to kosztem Europy?

Colby jest dobrym przykładem kogoś, kto pozostał lojalny wobec Trumpa po szturmie na Kapitol 6 stycznia 2021 r., co pozwoliło mu utrzymać wpływy w jego otoczeniu. Postrzega Chiny jako największe zagrożenie dla Ameryki i uważa, że wszystko należy temu podporządkować. Oczywiście, jest w tym pewna logika...

Colby, wymieniany jako kandydat do drugiej administracji Trumpa, argumentuje, że wsparcie dla Ukrainy zbyt angażuje przemysł zbrojeniowy w USA i zmniejsza dostępność broni

potrzebnej w razie potencjalnego starcia o Tajwan.

Patrząc ze strategicznego punktu widzenia, nie możemy ograniczyć się do jednego wycinka świata. Zostawienie Ukrainy samej sobie i skupienie się tylko na Azji Wschodniej nie wzmocni naszej pozycji, lecz ją osłabi, na czym skorzystają Chiny. Najslabszym punktem strategii Colby'ego jest to, że nie wiadomo, czy Trumpa obchodzi los Tajwanu. Myślę, że na początku drugiej kadencji w Białym Domu słuchałby Colby'ego, kontynuując twarde stanowisko wobec Chin. Wystarczy jednak, że Pekin zaproponuje mu dobry deal, i on na to pójdzie. Wtedy przegramy na dwóch frontach: w Ukrainie i Azji Wschodniej. Tradycyjne podejście nakazuje, by skupić się na kilku obszarach naraz, tak by minimalizować potencjalne straty.

Rywalizacja z Chinami może uderzyć w europejski handel. Agencja Bloomberg twierdzi, że postulat Trumpa, by wprowadzić 10-procentowe cło na import do USA, może objąć też kraje unijne. Trump uważa, że Europa jest zbyt łagodna wobec Pekinu.

Taka strategia pomija podstawowy fakt: ze wsparcie Chin dla Rosji walczącej w Ukrainie zmieniło perspektywę Unii Europejskiej. Dziś Unii jest tu bliżej do Ameryki, która postrzega Chiny jako zagrożenie i chce torpedować ich ekspansję. Dlatego idea rozpetania wojny handlowej z Europą jest niezrozumiała. Trump liczy, że jeśli przycisnie Europejczyków do muru, osiągnie zamierzony efekt, czy to w kontekście polityki wobec Chin czy wydatków na zbrojenia. Prezydenci USA już od czasów Harry'ego Trumana krytykowali Europejczyków, że ci są „pasażerami jadącymi na gapę”. Wychodzili jednak z założenia, że opuszczenie Europy zagrażałoby naszym interesom i naraziłoby na jeszcze większe koszty.

Czego możemy spodziewać się po Bidenie, jeśli wygra 5 listopada?

Czy to słuszne przypuszczenie, że po zakończeniu wojny w Ukrainie jego priorytetem będzie Azja?



→ Ten sam elektorat, który pozwoli Bidnowi zdobyć reelekcję, prawdopodobnie zagwarantuje Demokratom także większość w Kongresie. To wzmocniłoby Bidena i pozwoliłoby mu prowadzić politykę zagraniczną jeszcze bardziej na własnych warunkach. Na pewno nie byłoby wtedy mowy o opuszczeniu Europy i takim niestabilnym wsparciu wojskowym dla Ukrainy, tak jak ma to miejsce teraz. W strategii bezpieczeństwa narodowego przyjętej przez administrację Bidena Rosja jest postrzegana jako poważne zagrożenie, choć na pewno większym wyzwaniem są Chiny. Biden będzie próbował stawić im czoło, podobnie jak wcześniej robili to Trump, Obama, a nawet George W. Bush. Biden zapewne będzie musiał dalej skupić się też na Strefie Gazy, jeśli wojna na Bliskim Wschodzie nie ucichnie do 2025 r.

Jakie miejsce w tej układance zajmuje Polska i wschodnia flanką NATO?

Inwazja Putina na Ukrainę pokazała, że z punktu widzenia geopolityki ten region jest krytyczny. Polska leży w jego sercu. Jakakolwiek zła decyzja w wymiarze strategicznym naraża na niebezpieczeństwo nie tylko kraje wschodniej flanki, ale też USA. Polacy powtarzali nam to od co najmniej dekady i mieli rację. Jeśli Biden wygra wybory, będzie nadal rozumiał optykę Warszawy. To prawda, że Polacy dobrze dogadywali się z Trumpem podczas jego prezydentury. Moje pytanie jest jednak takie, czy będą równie zadowoleni z jego działań podczas jego drugiej kadencji? Nie sądzę.

Można jednak przyjąć, że Biden, podobnie jak Trump, będzie oczekiwać, iż Europa zadba lepiej o swoje bezpieczeństwo?

Tak będzie bez względu na to, kto wygra te wybory, Białe Dom będzie chciał, by Europejczycy wzięli sprawę w swoje ręce. Spodziewam się, że kraje europejskie będą to robić, choć nie na wystarczającym poziomie. To od dawna przedmiot targ: chcemy, by Europa robiła więcej, a ona i tak nas zawsze zawodzi. Jesteśmy jednak w stanie przełknąć to rozczarowanie, bo



ARCHIWUM PRYWATNE

PETER D. FEAVER jest politologiem z Uniwersytetu Duke'a, dyrektorem uczelnianego programu American Grand Strategy (dotyczy analizy działań strategicznych USA). W latach 2005-07 pracował w administracji George'a W. Busha: był członkiem Rady Bezpieczeństwa Narodowego jako doradca ds. planowania strategicznego i reform instytucjonalnych. W Radzie zasiadał też wcześniej za prezydentury Billa Clintona (1993-94), jako dyrektor ds. polityki obronnej i kontroli zbrojeń. Autor książek o wojskowości oraz analiz dla czasopism „Foreign Affairs” i „Foreign Policy”.

najważniejsze jest podtrzymanie naszego sojuszu. Problem w tym, że Trump myśli, iż wadliwy sojusz jest gorszy niż jego brak.

Perspektywa powrotu Trumpa do Białego Domu, a wcześniej agresja Rosji na Ukrainę zmieniły myślenie Europy. Kolejne kraje zwiększają budżety wojskowe, a Bruksela chce wzmocnić unijny przemysł obronny. Jak ocenia Pan te działania?

Są bardzo obiecujące i już dawno powinny były nastąpić. Takie ruchy zwiększają szanse na powstrzymanie zapędów Putina. Liczy się przy tym mądre wydatkowanie środków: jeśli kraje europejskie postawią na większą koordynację i specjalizację w produkcji zdolności obronnych, tak aby każdy odpowiadał za konkretną działkę, to zagwarantuje realne zwiększenie siły wojskowej Sojuszu. Były już próby reformy NATO w tym kierunku, ale nie przyniosły większych

rezultatów. Do tej pory te niedociągnięcia kompensowało duże zaangażowanie Amerykanów. Gdyby jednak miało się to zmienić, ten systemowy problem może mieć dużo poważniejsze skutki.

W 2021 r. Biden wstrzymał decyzję Trumpa o wycofaniu części żołnierzy USA z Europy. Czy jeśli Biden wygra, a wojna w Ukrainie się skończy, także on może zarządzić tutaj cięcia?

Istnieje takie ryzyko. Wizja geostrategiczna Bidena jest dobra, ale pytanie, czy będzie miał dość funduszy na realizację wszystkich ambitnych celów. Jeśli nie, może być zmuszony do trudnych decyzji i pewne przetasowania będą konieczne.

Na razie podejmowane są pewne zabezpieczenia na wypadek powrotu Trumpa: w budżecie Pentagonu zawarto zapis o zakazie wycofania USA z NATO bez zgody Senatu lub ustawy Kongresu. Pan uważa, że te przepisy są wątpliwe konstytucyjnie. Dlaczego?

Amerykańska konstytucja stanowi, że do ratyfikacji traktatu potrzebna jest zgoda Senatu, nie ma jednak wyraźnego wskazania, że potrzebna jest też do wycofania się z międzynarodowego porozumienia. Sąd Najwyższy USA mógłby więc orzec, że prezydent, podejmując decyzję o wyjściu z NATO, działał w obrębie swoich uprawnień. To niejasny spór konstytucyjny i nie wiemy, jak sądy podeszłyby do tej kwestii. Jedynym pewnym pociągnięciem do odpowiedzialności prezydenta USA za taki krok byłoby postawienie go w stan oskarżenia w ramach procedury impeachmentu.

Perspektywa powrotu Trumpa wpływa na działania Putina?

Putin wyraźnie zwleka z zawarciem pokoju w Ukrainie, czekając na wyniki wyborów prezydenckich w USA. Widać również polityczną kalkulację u przywódcy Chin Xi Jinpinga czy nawet u premiera Izraela Benjamina Netanjahu, który nie jest skłonny do ustępstw w sprawie Strefy Gazy. Być może wierzy, że jeśli wygra Trump, a on do tego czasu pozostanie przy władzy w Izraelu, to będzie mu łatwiej dogadać się z Ameryką.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK
POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Mateusz
Chmielowski w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi” od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo macie pewność, że publikacje „Tygodnika” są niezależne,

redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika”

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość

z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważny jest dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzimy, że świat da się naprawić.**

PARTNER MARKETINGOWY

SALESi|manago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BRACIA SAHARY I OSTATNIA KRUCJATA

Tym razem nie chodziło o Ziemię Świętą, lecz walkę z handlarzami niewolników w Afryce. W tym celu 140 lat temu ruszyła nowa wyprawa krzyżowa, a w niej – młodzi zapaleńcy. Co z tego wynikło?

ALEKSANDER R. MICHALAK



DZIĘKI UPRZEŻMOŚCI ARCHIWUM TOWARZYSTWA MISJONARZY AFRYKI x3



BYŁ TO CZAS, GDY TRANSATLANTYCKI handel niewolnikami, uprawiany wcześniej głównie przez Europejczyków, już nie istniał. Jednak w drugiej połowie XIX w. na ogromnych obszarach Afryki niewolnictwo wciąż miało się znakomicie. Muzułmańscy handlarze, Arabowie, prowadzili regularne łowy na ludzi, wspierając się w tym afrykańskimi najemnikami.

Interes był niezwykle dochodowy. Nad Jeziorem Niasa (dziś to pogranicze Malawi, Tanzanii i Mozambiku) cena za niewolnika wynosiła dwa franki, a w Konstantynopolu czy Kairze mogła dochodzić nawet do 1,5 tys. franków. Handlarze byli w stanie zniewolić 400 tys. Afrykanów rocznie – wyludniały się całe regiony.

ŁOWY NA LUDZI | W tym czasie Afryka przestawała być dla Europejczyków *terra incognita*, w jej głąb coraz śmielej zapuszczali się misjonarze i podróżnicy. To od nich pochodziły pierwsze informacje o horrorze handlu ludźmi.

Według ich relacji na ludzi polowano jak na zwierzęta: podpalano trawy i ci, którzy się w nich kryli, musieli albo zginąć, albo wpaść w ręce łowców. Wielu złapanych nie docierało nawet na targi, ginęli po drodze z wyczerpania. W europejskiej prasie, która odgrywała taką rolę jak dziś internet, mnożyły się opisy okrucieństw, jakich muzułmanie – z nich rekrutowali się handlarze – dopuszczali się wobec czarnej ludności środkowej i wschodniej Afryki.

Wiek XIX był też czasem świetności imperiów kolonialnych, zwłaszcza brytyjskiego i francuskiego. W obu znaleźli się ludzie, którzy – budząc świadomość i sprzeciwiając się niewolnictwu – wywarli wpływ na jego postrzeganie w swoich krajach. Dla Wielkiej Brytanii byli to zwłaszcza generał Charles Gordon (poległ w 1885 r. w Chartumie podczas powstania Mahdiego) oraz słynny protestancki misjonarz i podróżnik David Livingstone.

Z kolei we Francji najgłośniejszym brzmiał głos Charles'a Martiala Allemanda Lavigerie'ego – arcybiskupa Algieru i Karta-

giny (tj. regionu północnej Afryki, wtedy francuskiej kolonii), a później kardynała. To on stał się liderem kampanii przeciw handlarzom niewolników – i to na skalę całej zachodniej Europy.

CHARYZMAT I SENTYMENT | Urodzony w 1825 r. Lavigerie miał wygląd i charyzmę starotestamentowego proroka. Był też zręcznym organizatorem i liderem. Już w wieku 28 lat został profesorem Sorbony, a energią wykazał się, gdy stojąc na czele organizacji *L'Œuvre des Écoles d'Orient* (Dzieło na rzecz Szkół na Wschodzie) pozyskał olbrzymie międzynarodowe wsparcie dla chrześcijan libańskich po masakrach, jakich w 1860 r. dokonali na nich Druzowie.

Wówczas to spotkał Abd El Kadera – algierskiego wojownika i powstańca przeciw Francji, który ocalał wielu chrześcijan podczas pogromu w Damaszku. Był pod wrażeniem rycerskiego muzułmanina, choć traktował go jako wyjątek wśród jego współwyznawców, którym przypisywał fanatyzm i barbarzyństwo. Lavigerie był dzieckiem epoki – wyższość nad światem islamu i zbawienna rola Francji oraz katolicyzmu wydawały mu się oczywiste.

Gdy siedem lat później został wysłany do Afryki, marzyło mu się pozyskanie dla chrześcijaństwa tamtejszych muzułmanów. W tym celu w 1868 r. utworzył

nowy zakon: Zgromadzenie Misjonarzy Afryki (istniejące do dziś).

Lavigerie miał też sentyment do epoki wypraw krzyżowych. Podlegli mu zakonnicy objęli w Tunisie kaplicę poświęconą Ludwikowi IX Świętemu, a Lavigerie miał później zabiegać (skutecznie) o budowę katedry upamiętniającej tego króla-krzyżowca. Dla swego zakonu pozyskał w Jerozolimie kościół św. Anny, zbudowany jeszcze przez krzyżowców.

Najwyraźniej był tu pod wpływem ducha czasów – była to złota era francuskich badań nad krucjatami i działalnością naukowej Towarzystwa Łacińskiego Wschodu (*Société de l'Orient latin*).

OJCOWIE BIALI | W 1867 r. wybuchła w Algierii epidemia cholery i tyfusu, a towarzyszy im klęska głodu. Rezultatem tego jest wielka liczba sierot. Stworzony przez Lavigerie'ego zakon prowadzi sierocińce, szpitale i szkoły, zajmuje się poszkodowanymi. Jednocześnie, rzecz jasna, nawracając na katolicyzm.

Misjonarze mają upodabniać się wyglądem i obyczajami do północnoafrykańskiej ludności – podobnie jak kiedyś jezuici w Azji i Ameryce. Od barwy ich szat, nawiązujących do arabskich tunik, nazywa się ich Ojcami Białymi. Poza Algierią misje powstają w Tunezji, gdy Francja obejmuje ją protektorem. A także →



Na zdjęciach: Bracia Sahary, członkowie zakonu walczącego z handlarzami niewolników, a także szkoleni przez nich członkowie miejscowej samoobrony i uwolnieni niewolnicy. Lata 1891-92

→ w Afryce Środkowej i Wschodniej – na terenach, które wcześniej bada Livingstone.

On to właśnie jako jeden z pierwszych zwraca publicznie uwagę na prosperujący tam handel niewolnikami. Również z misji Ojców Białych, które powstają nad Jeziorem Wiktorii i jeziorem Tanganika, zaczynają docierać wieści o handlu ludźmi. Słyszając o tym, Lavigerie alarmuje: „Dzisiaj niewolnictwo zagraża wyginięciem całym populacjom”.

Zakonnicy wykupują więc zniewolone i bliskie śmierci dzieci, starają się przywrócić je do zdrowia. Usiłują też wykupować krewnych wyzwolenców, których chronią w swej osadzie misyjnej.

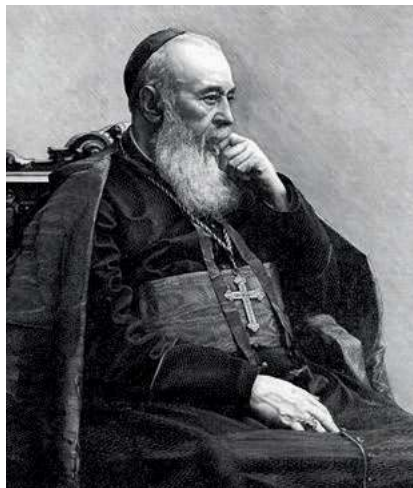
OBRONA I ODWET | To ryzykowna praca. Misje są narażone na ataki handlarzy niewolników. Mordowani są też bracia wysyłani w głąb Sahary. Ich ochrona staje się palącą potrzebą.

Gdy w 1870 r. wojska króla Italii zdobywają Rzym i likwidują Państwo Kościelne, Lavigerie postanawia zrekrutować papieskich żuawów, teraz pozbawionych zajęć. Apeluje też o pomoc do młodych katolików. Na jego wezwanie odpowiada sześciu żuawów i sześciu innych ochotników. Grupa ta, wraz z rekrutami z miejscowej czarnej ludności, zostaje wysłana do ochrony misji w Afryce wschodniej. Lavigerie żegna ich w katedrze w Algierze.

Najsłynniejszym obrońcą misji – i solą w oku handlarzy – staje się z czasem Léopold Joubert. Ten dawny żuaw papieski fortyfikuje misję w miejscowości Mulwewa. Wyeliminowany na pewien czas z aktywności (z powodu oślepienia przez jad kobry plującej), po powrocie do Afryki skutecznie broni kolejnej misji. I nie tylko broni – prowadzi też ataki odwetowe na handlarzy, którzy parają się niewolnictwem i handlem kością słoniową.

To ostatnie nie budzi entuzjazmu misjonarzy, którzy odzegnują się od udziału w takich wojennych działaniach. Lavigerie uznaje, że trzeba rozdzielić kompetencje. Odtąd zakonnicy mają oddać wszystkie decyzje dotyczące obronności w ręce Jouberta, a on nie ma wpływu na zarządzanie misją i kwestie religijne.

WZOREM JOANNITÓW | Z czasem konieczność broni misji naprowadza Lavigerie'ego na pomysł zastąpienia najemników uzbrojonymi braćmi pomocniczymi (*frères auxiliaires*). Mieliby ochraniać Oj-



Kardynał Charles Lavigerie, XIX w.

ców Białych i ich podopiecznych, a także szkolić samoobronę z miejscowych konwertytów.

Pomysł powrotu do idei zakonów rycerskich pojawia się w 1879 r., gdy Lavigerie – zaniepokojony nieustającym zagrożeniem, na jakie narażeni są jego misjonarze we wschodniej Afryce – sugeruje jednemu z kardynałów „przywrócenie, w nowej formie, elementów dawnych rycerskich zakonów wojskowych, które oddały tak wielką przysługę Kościołowi w barbarzyńskich czasach i w zbliżonych okolicznościach”.

Przemawiając w Paryżu w 1888 r., Lavigerie zwraca się do słuchaczy z pytaniem: „Dlaczego chrześcijańska młodzież Europy nie miałaby ożywić w centrum Afryki szlachetnych krucjat swoich przodków?”.

ODWAŻNI I WYTRWALI | Przechodząc do konkretów, Lavigerie zastanawia się, czy taka specjalna formacja walcząca z niewolnictwem mogłaby rekrutować dwie kategorie braci: duchownych-misjonarzy (tj. takich jak dotąd) i uzbrojonych braci, na wzór dawnych joannitów. Zadanie przygotowania koncepcji takiej formacji powierza biskupowi Léonce'owi Bridoux, wikariuszowi apostolskiemu Tanganiki, który miał przyrzeć się regule kawalerów maltańskich, a także innych zakonów rycerskich. Ten pisze raport, w którym zawiera sugestie dotyczące nowego zakonu.

W 1890 r. powstaje formacja pod nazwą Reguła Religijna i Militarna Braci Zbrojnych Sahary (*L'Institut Religieux et Militaire des Frères armés du Sahara*).

Arcybiskup tak wyjaśnia potrzebę jej istnienia: „Jeżeli osady założone przez na-



Wyposażenie Braci na rycinach z epoki

szych Braci mają zbiegłym niewolnikom służyć za schronienie, to muszą wywołać zazdrość i nienawiść, żądcę zemsty i fanatyzm. Stąd krok tylko jeden dzieli od zasadzek, napaści i morderstw, czyli chcąc mówić wyraźniej, można być pewnym, że się one przytrafią, jeżeli ludzie zdolni do podobnych czynów nie będą wiedzieli o tem, żeśmy uzbrojeni i gotowi na ich przyjęcie”.

Kim mają być nowi krzyżowcy? Kandydaci na Braci Sahary powinni mieć co najmniej 25 lat, być katolikami, mieć nienaganną przeszłość, klarowną sytuację rodzinną i wojskowe doświadczenie. W trakcie służby mają zachować celibat, ubóstwo i posłuszeństwo, a jeśli zajdzie konieczność, oddać życie za ofiary niewolnictwa. Powinni modlić się, pracować na roli i umieć obchodzić się z bronią. Nie składają ślubów zakonnych, ale mają przejść trzymiesięczny postulat i roczny nowicjat. Późniejsza właściwa służba ma trwać pięć lat, z możliwością przedłużenia.

Głównym celem Braci Sahary ma być pomaganie niewolnikom, zbiegłym lub wykupionym, w tym opieka szpitalna. Szkoleni do działań na pustyni, mają ucieleśniać ascetyczno-militarny duch chrześcijaństwa. Polska prasa misyjna pisze: „Łatwo się domyśleć, że Stowarzyszenie to będzie się rekrutowało z ludzi odznaczających się nieustraszoną odwagą, niezachwianą gorliwością, wytrwałością i zaparciem się siebie”.

BRAMA PUSTYNI | Misja na saharyjskich stanicach przyciąga pewną liczbę ochotników. Początkowo jest 95 kandydatów na braci, ale wkrótce zostaje 44; reszta odchodzi bądź zostaje odrzucona.

Lavigerie kupuje dla braci w Biskrze (zwanej „bramą pustyni”) posiadłość

PHOTO12 / KOLEKCJA JAIME ABECAZIS / BE&W

ARCHIWUM TOWARZYSTWA MISIONARZY AFRYKI

rolną, gdzie powstaje pierwsza placówka. Jest tam kaplica, dwa dormitoria i arsenał. Druga sześćoosobowa wspólnota powstaje w Warkali.

Arcybiskup planuje kolejne. Liczy, że łącznie uda się zebrać ok. 50 zbrojnych braci. W każdej placówce zakonu ma być komendant i dwóch zastępców-poruczników (jeden odpowiada za rolnictwo, drugi za szkolenie wojskowe), a także dwóch jałmużników. Każda ma posiadać szpital opiekujący się Afrykanami. Zwyczajami bracia mają upodabniać się do miejscowych, mają też uczyć się arabskiego i języków afrykańskich. Ich dzień jest podzielony między modlitwę, lektury duchowe, pracę na roli i ćwiczenia wojskowe.

Nowicjat przyjętych Braci Sahary zaczyna się w kwietniu 1891 r. Ich bezpośrednim przełożonym zostaje ojciec Augustin Hacquard. Stroje zakonników są mieszkanką inspirowaną odzieniem kolonialnej armii, francuskich północnoafrykańskich spahisów i rycerzy krzyżowych (antyklerykalna prasa algierska szydzi z tych strojów). Na kolonialnych hełmach noszą pióra, na piersi czerwone krzyże. Na sztandarach mają łacińską sentencję *Ecclesia Christi moriendo, non occidendo, triumphavit* (Kościół Chrystusowy zatriumfował poprzez umieranie, a nie zabijanie).

PLANY I REALIA | Rzeczywistość okazuje się jednak rozczarowująca. Dość szybko liczba nowych krzyżowców topnieje do 31, a później do ok. 20 braci. Całemu projektowi brakuje zresztą błogosławieństwa władz francuskich, a nawet poparcia całej prasy katolickiej. Francuska prasa republikańska (wówczas bardzo antyklerykalna) nie waha się określać ich mianem „katolickich rozbójników Sahary”. Problemem okazują się też koszty utrzymania formacji.

W rezultacie Braciom Sahary nie dane jest odegrać żadnej istotnej roli. Tuż przed swoją śmiercią w 1892 r. Lavigerie ogłasza zamknięcie projektu. Oficjalnie formacja zostaje rozwiązana dwa dni po pogrzebie kardynała Afryki.

Niektórzy Bracia Sahary dołączają do zakonu Ojców Białych. Najstłynniejszy z nich, Maurice Delafosse, pracuje potem w administracji kolonialnej Wyrbrzeża Kości Słoniowej i jako konsul francuski w Liberii; zajmuje się etnologią i językami afrykańskimi.



ZBIORY AUTORA

Okladka czasopisma „Le Petit Parisien” z ilustracją przedstawiającą targ niewolników w Marakeszu. Czerwiec 1907 r.

OCALMY AFRYKĘ! | Choć idea Braci Sahary kończy się fiaskiem, na innych polach walki z niewolnictwem Lavigerie, a także stworzony przez niego zakon Ojców Białych mogą poszczycić się naprawdę znaczącymi sukcesami.

Kardynał Lavigerie jest przekonanym abolicjonistą – walkę z niewolnictwem uznaje za priorytet i przez wiele lat dokłada starań, aby jego głos w tej kwestii był słyszany. Na zwołanym przez siebie kongresie w Paryżu ogłasza: „Żeby ocalić wewnętrzną Afrykę, musimy wzbudzić gniew świata”. W 1888 r. odbywa podróż po Europie: w stolicach wielu państw opowiada o horrorze afrykańskiego niewolnictwa. Walcząc o sprawę, znakomicie potrafi wczuć się w emocje słuchaczy.

W Londynie odwiedza grób Livingstone’a, gdzie mówi: „Panowie odziedziczyliście jego chwałę i musicie wprowadzić w życie jego życzenia”. W Rzymie pojawia się na placu św. Piotra z grupą Ojców Białych i niewolnikami z Sudanu.

Inaczej niż projekt „krucjatowy”, ta abolicjonistyczna działalność Lavigerie’ego przynosi wymierne rezultaty. W dużej mierze pod jej wpływem papież Leon XIII wydaje w 1888 r. encyklikę „In Plurimis”, w całości poświęconą niesprawiedliwości niewolnictwa.

W dokumencie tym papież wspomina o wcześniejszym portugalskim i hiszpańskim handlu niewolnikami, a także o niedawnym zlikwidowaniu niewolnictwa w Brazylii i wskazuje na islam jako na odpowiedzialnego za współczesne niewolnictwo. Pisz: „Ponieważ mahometanie przyjęli to przewrotne mniemanie, że Murzyn i człowiek podobnej rasy nie jest prawie niczym więcej niż zwierzę-

ciem, można tam zauważyć srożącą się przewrotność i okropność ludzką. Oto nagle, zgodnie z obyczajami rabusiów, napadają gwałtownie na nieobawiające się niczego szczepy murzyńskie”.

AKT GENERALNY | Jednym z rezultatów encykliki jest prowadzona z rozmachem zbiórka pieniędzy, która odbywa się w kościołach Europy podczas święta Epifanii i jest przeznaczona na wykup niewolników, a także na tworzenie osad dla wyzwolonych, w których mogliby oni żyć.

Abolicjonistyczna kampania Lavigerie’ego owocuje też międzynarodową konferencją w Brukseli w latach 1889-90, podczas której siedemnaście krajów podpisuje tzw. akt generalny (formalnie mający status konwencji) dotyczący zwalczania handlu niewolnikami w Afryce. Dużym sukcesem jest fakt, iż dokument podpisują Imperium Osmańskie i Sultanat Zanzibaru – kraje, w których niewolnictwo wciąż ma się dobrze.

Choć konferencja nie eliminuje całkowicie handlu ludźmi, to wyznacza kierunek, który później jest kontynuowany przez większość sygnatariuszy. A ponieważ wcześniej nic nie wskazywało, by europejskie imperia miały plany wspólnych działań przeciw handlowi ludźmi, to właśnie postanowienia konferencji można uznać za ukoronowanie wieloletniej „krucjaty”, jaką prowadził tu Lavigerie.

Z PERSPEKTYWY | Walka z niewolnictwem – ten priorytet życia kardynała Lavigerie’ego – nawet jeśli nie zawsze prowadzona konsekwentnie przez ówczesne europejskie imperia, dziś jawi się jako jaśniejsza strona obecności Francji i Wielkiej Brytanii w Afryce. A nawet jeśli dziś możemy inaczej patrzeć na przekonanie kardynała na temat cywilizacyjnej misji Francji, pozostaje faktem, że to on i jego misjonarze uratowali rzeszę ludzi skazanych na niewolę.

Lavigerie nie doprowadził do całkowitego wyeliminowania niewolnictwa w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Jego wysiłki radykalnie zmniejszyły jednak skalę tego procederu – i to jest najbardziej chlubną część jego spuścizny.

© ALEKSANDER R. MICHALAK

TANIEC ŻYCIA

Aby powstało zdrowe ludzkie ciało, muszą umrzeć całe zbiorowiska komórek, liczone w milionach. Bez ich ofiarności nie byłoby nowego organizmu.

MARIUSZ GOGÓL

OBSERWACJA ŚWIATA WIDOCZNEGO gołym okiem przyzwyczajają nas, że mniej lub bardziej odległą konsekwencją życia jest śmierć. Jednak to, co widoczne pod mikroskopem, rządzi się innymi prawami, a schemat, który znamy ze świata makroskopowego, nie zawsze się sprawdza w mikroświecie. W wielu procesach dziejących się w organizmie śmierć nie jest smutnym kresem, tylko niezbędnym partnerem życia.

Gdy koniec jest początkiem

Biolodzy znają różne rodzaje śmierci komórkowej. Gdy o niej mówimy, najczęściej myślimy o nekrozie (martwicy), czyli śmierci na skutek urazu czy infekcji. Dochodzi do niej, gdy rozregulowana komórka nie jest dłużej w stanie utrzymywać mieszaniny enzymów w zamkniętych pęcherzykach zbudowanych z białek i tłuszczu, zwanych lizosomami. Te enzymy pozwalają komórkom eliminować zalegające ją odpady,



ale gdy wyciekną do wnętrza komórki, zaczną trawić różne potrzebne struktury. W efekcie budujące organizm cegiełki pękają. Ich zawartość wylewa się, co skutkuje powstaniem stanu zapalnego. Ale śmierć komórki nie zawsze wygląda w ten sposób.

Krótko po sformułowaniu teorii komórkowej w pierwszej połowie XIX w., która do dziś pozostaje dogmatem biologii (głosi, że każdy organizm złożony jest z jednej lub wielu komórek, a nowe komórki zawsze powstają z komórek istniejących), innego typu śmierć komórkową zaobserwował u ropuch przechodzących metamorfozę szwajcarski zoolog Carl Vogt. U takich zwierząt pewne komórki muszą obumrzeć, by zrobić miejsce innym – i pozwolić na przebudowę organizmu.

Jeszcze w XIX w. o podobnych zjawiskach badacze donieśli w przeszło stu publikacjach naukowych. Jednak przełomowe znaczenie dla zrozumienia różnych rodzajów śmierci komórkowej miały badania prowadzone już w drugiej połowie XX w.

W 1962 r. australijski patolog John Kerr obronił doktorat w Londynie. Wtedy promotor zaproponował mu zbadanie procesów, które zachodzą w wątrobie po szybkim odcięciu krwi. Po podwiązaniu odnóg żyły wrotnej, Kerr zaobserwował w niedokrwionych płatach organu ginące komórki. Była to dobrze znana nekroza. Płaty wątroby coraz bardziej się kurczyły, a w miarę postępu niedokrwienia, żyjące dotąd komórki tego organu zaczęły zachowywać się niezrozumiale – zmieniały się w gęste krople. Kerr sprawdził ich zawartość. W środku pęcherzyków odnalazł elementy komórkowe: funkcjonujące mitochondria – „elektrownie” produkujące energię. Były też rybosomy, czyli molekularne maszyny tworzące białka. Jednak lizosomy, o dziwo, pozostały nienaruszone. Badacz nie stwierdził również reakcji układu odpornościowego towarzyszącego zwyczajnej nekrozie.

Zaprogramowany los

Badania prowadzone przez Kerra w latach 60. pokazały dokładniej pierwsze etapy komórkowej śmierci. Zachodziły

one w obrębie jądra komórkowego. Materiał genetyczny znajdujący się w jego wnętrzu gęstniał. Kerr zauważył też, że gęste krople są strukturami pączkującymi z powierzchni komórki. Podobne obserwacje prowadzili szkoccy patolodzy Andrew Wyllie oraz sir Alastair Currie. Wszyscy trzej ukuli nowy termin – apoptoza, co w tłumaczeniu z greckiego dosłownie oznacza opadanie liści bądź kwiatów (sam termin zaproponował im zresztą znajomy profesor greckiej filologii). Określenie było nieco prorocze, ponieważ w przyszłości okazało się, że w komórce pewne parametry fizjologiczne ulegają obniżeniu.

W ciągu lat badań dostrzeżono, że apoptozę uruchamiają różnorakie czynniki. Np. sygnały wysyłane przez sąsiednie komórki, niedotlenienie czy uszkodzenia DNA. Wśród istotnych aktorów komórkowego dramatu w jednej z wersji apoptozy wskazano na pewne receptory. Znajdują się one na powierzchni komórki i wyłapują zagrażające jej, śmiercionośne molekuly. W innej wersji biochemiczne tropy prowadziły do mitochondriów. Niezależnie od drogi aktywowania apoptozy, jej przebieg jest podobny. Uruchomiona zostaje lawina reakcji chemicznych, m.in. aktywowane są enzymy prowadzące do kontrolowanego zniszczenia komórki.

→



→ Tego typu śmierć komórek w zdrowym organizmie może wydawać się bezsensowna, ma ona jednak istotne znaczenie. Apoptoza pomaga organizmowi zachować równowagę. To dzięki niej usuwane są komórki, które błędnie rozpoznają elementy własnego organizmu jako obce. Ginią także te zainfekowane przez wirusy.

Bodaj najbardziej zaskakujący jest fakt wykorzystania tego typu śmierci w procesach leżących u podstawy życia – tworzeniu komórek rozrodczych i rozwoju całego organizmu. W tym kontekście śmierć opisano po raz pierwszy w 1964 r. Zauważono pewną sekwencję zdarzeń, w których komórka dojrzewała metabolicznie do swojego losu na długo przed zniszczeniem. Kiedy zaobserwowano, że apoptozę można hamować poprzez blokowanie syntezy pewnych białek, stało się jasne, że ta śmierć jest z góry zaprogramowana w materiale genetycznym – i dlatego niezbędna do życia.

Poświęcenie milionów

Śmierć komórkowa zachodzi już na wczesnych etapach rozwoju prenatalnego. Wtedy to z embrionalnej tkanki zwanej mezoderma tworzą się zawiązki gonad – jajników i jąder. W ich kierunku wędrują pierwotne komórki rozrodcze zwane gonocytami. Te w trakcie rozwoju stają się niedojrzałymi komórkami rozrodczymi. U samców kręgowców takie komórki obecne są przez całe życie organizmu. U samic jest to zależne od gatunku.

Ludzie, podobnie jak większość ryb, płazów i gadów, tracą je w większości jeszcze przed urodzeniem. Dlatego też, by organizm kobiety był zdolny do reprodukcji, musi wytworzyć z nich kolejne pokolenia komórek, zwane oocytami. Ich magazynem są pęcherzyki jajnikowe. Być może kiedyś wydzielą one hormony potrzebne do podtrzymania ciąży. Pęcherzyków mogą powstać nawet dwa miliony, jednak struktury te w ogromnej ilości zanikają.

Spśród wszystkich tych pęcherzyków tylko ok. 450 dojrzewa w ciągu życia kobiety – przez wszystkie lata, gdy zachodzi owulacja, po jednym na każdy cykl. Pozostałe na różnych etapach cyklu obumierają.

Odpowiedź na pytanie, dlaczego tak wiele pęcherzyków umiera, nie jest prosta. W wielu publikacjach podsumo-

W okresie prenatalnym powstaje za dużo neuronów.

Ich nadmiar jest usuwany,
aby te, które zostają,
mogły połączyć się
w lepiej skomunikowaną
strukturę.

wujących stan obecnej wiedzy można przeczytać, że ich masowa śmierć jest wynikiem selekcji. Mechanizmy biologiczne wybierają ten pęcherzyk, który najbardziej nadaje się do dalszego rozwoju. Najwyraźniej śmierć pojedynczych struktur na wczesnym etapie życia jest mniej problematyczna niż nieudany rozwój ciąży. W pierwszym przypadku organizm co najwyżej traci energię na produkcję puli komórek. W drugim mogą dochodzić zmiany hormonalne organizmu matki czy wydłużenie oczekiwania na pomyślne zapłodnienie i rozwój zarodka.

Jednak najprostszym wytłumaczeniem śmierci tak wielkiej liczby pęcherzyków wydaje się ochrona przed ciążami mnogimi, do których potencjalnie mogłoby dojść w trakcie zapłodnienia.

Mimo wkomponowanych w przebieg tych procesów mechanizmów kontrolnych, i tak zdarzają się anomalie. Np. niektóre z dojrzewających komórek jajowych mogą posiadać pewne mutacje, na które organizm przysmyka oko. Dlaczego? Być może to korzystny mechanizm – bo zmieniona komórka jajowa może dać nieco inne potomstwo, bardziej dostosowane do zmieniających się warunków środowiska. A taka zmienność byłaby ewolucyjnie korzystna.

Jak się pozbyć DNA

Niedojrzała komórka jajowa przygotowując się do zapłodnienia, dzieli się kilkukrotnie. Podziały rozpoczyna jeszcze w pęcherzyku. W rezultacie powstają coraz dojrzalsze komórki rozrodcze i dużo mniejsze, zwane polocytami lub ciałkami kierunkowymi. Pierwszy raz te niewielkie obiekty zostały opisane u ślimaków w pierwszych połowie XIX w. Myślono je z fragmentami jaj lub wydaloną masą żółtkową. Dziś wiemy, że nimi nie są. Nie

spełniają też roli rozrodczej. Ich zadaniem jest odebranie połowy materiału genetycznego, który kiedyś zostanie zastąpiony przez DNA plemnika. Na tej prostej, choć kluczowej kwestii ich rola się kończy – po wykonaniu zadania umierają.

Uwolniona komórka jajowa przesuwa się w kierunku macicy. Ma do przebycia drogę koło 10-15 cm. W tym czasie w strukturze jajnika zachodzą zmiany. Z uwolnionego pęcherzyka powstaje gruczoł – ciałko żółte. Jego nazwa bierze się z dużej ilości karotenoidów, barwnych związków, które nadają kolor pomidorom, marchewkom czy paprykom. Organizm kobiety pobiera barwne cząsteczki z pożywienia i lokuje w obrębie ciałka.

Ta zabarwiona na żółto struktura została opisana ponad 300 lat temu przez włoskiego lekarza i biologa Marcella Malpighiego. To jeden z twórców nowożytnej fizjologii i embriologii. Od jego nazwiska pochodzi nazwa kilku struktur występujących w nerkach, a także w ciałach owadów czy pajęczaków. Został nawet lekarzem papieża Innocentego XII. Mimo szerokich zainteresowań autor opisu ciałka nie znał jeszcze jego roli. Dopiero w 1901 r. Ludwig Frankel wykazał, że króliki nie mogą podtrzymać ciąży, gdy wszystkie ciałka żółte zostaną usunięte.

Ciałko wydziela kluczowy hormon – progesteron. Bierze on udział w procesie zagnieżdżenia zarodka i stworzenia łożyska, którym nowy organizm łączy się z błoną śluzową macicy. Jednak jeśli nie dochodzi do zapłodnienia, ciałko żółte nie jest potrzebne – także stopniowo ginie. Daje to sygnał do rozpoczęcia menstruacji.

Menstruacja zachodzi cyklicznie w macicy i oparta jest w dużej mierze na zjawisku apoptozy. Poziom komórkowej śmierci wzrasta podczas cyklu i osiąga największą skalę w trakcie krwawienia miesięczkowego. Wówczas organizm traci nawet miliardy czerwonych krwinek. Pozwala to jednak rozpocząć kolejne przygotowania do uwolnienia komórki jajowej i wzrastania błony śluzowej macicy, która potencjalnie może zagnieżdżyć zarodek.

Za dużo neuronów

Na pewnym etapie rozwoju embrionalnego dochodzi do wykształcenia trzech listków zarodkowych. Z nich powstaną wszystkie tkanki i narządy organizmu. Śmierć zlokalizowano także podczas

tego procesu. Komórki umierają w trakcie tworzenia tzw. cewy nerwowej. Wtedy to po grzbietowej części zarodka powstaje zgrubienie. Tworzy się płyta nerwowa, która w ciągu kilku dni zamyka się w rynienkę – załazek układu nerwowego. W tym miejscu powstanie rdzeń kręgowy i formowany jest mózg. Apoptoza potrzebna jest do utworzenia wspomnianej rurki. Mniej więcej w tym samym czasie, w którym tworzony jest początek układu nerwowego, w okolicy, gdzie ma powstać głowa, powstaje wyrzucie. Następnie struktura rozciąga się i formuje pęcherzyk, który ulega kolejnym przekształceniom. To początek gałki ocznej. W tym samym czasie inna struktura formuje wklęsłą powierzchnię, która tworzy strukturę soczewki oka. To ona będzie kiedyś załamywać światło rzucane na siatkówkę. Oba procesy również wymagają poświęcenia życia innych komórek.

Śmierć komórkowa potrzebna jest także do usuwania błony między palcami, przegród pochwy czy innych struktur płciowych. Jednak najbardziej może

zaskakiwać, że w trakcie rozwoju dochodzi do śmierci komórek nerwowych. Przecież to ich duża liczba sprawia, że nasze mózgi mogą uczyć się sprawniej niż mózgi innych zwierząt – i dzięki temu przyswajając kulturę i język. Utrata neuronów w rozwijającym się embrionie może się wydawać nierozsądnym błędem rozwojowym.

W odróżnieniu od innych komórek, neurony dzielą się głównie w trakcie rozwoju prenatalnego. Przygotowują wówczas sieć unerwiającą wiele obszarów, tak aby finalnie organizm mógł samodzielnie żyć. Okazuje się, że powstaje ich wówczas zbyt dużo – a nadmiar jest usuwany, aby mogły łączyć się w dojrzalszą i lepiej skomunikowaną strukturę.

W badaniach laboratoryjnych pokazano także, że u myszy z deficytem apoptozy neuronów obserwowano egzencefalię, która jest krytyczną wadą rozwojową występującą 3 razy na 10 tysięcy ciąż. Polega ona na umieszczeniu mózgu poza ciałem. W kolejnych testach gryzoni z wyłączoną śmiercią komórkową obserwowano nie tylko wady mózgu, ale

też rdzenia kręgowego. Oba zaburzenia były tak poważne, że myszy umierały po urodzeniu.

■ ■ ■

Zahamowana w trakcie rozwoju apoptoza to nie tylko krytyczne zmiany w obrębie układu nerwowego. Obserwuje się również powiększenie węzłów chłonnych czy obecność błony między palcami rąk, rzadziej stóp. Ta ostatnia wada nazywa się syndaktylią – występuje z częstotliwością 1 na 2 tysiące przypadków. Innymi anomaliami, które wykazały badania na myszach, są niepłodność, ubytki łuku aorty czy nadmiar tkanek w miedniczkach nerkowych.

Choć programowaną śmierć komórkową rozumiemy coraz lepiej i potrafimy zauważyć ją w coraz to nowych miejscach, to nadal wiele jej wymiarów pozostaje dla nas tajemnicą. Nie musimy jednak zrozumieć wszystkiego – wystarczy, że będziemy potrafili jej mechanizmy wykorzystywać lub modulować dla dobra ludzi.

© MARIUSZ GOGÓŁ

REKLAMA

Przeznacz 1,5% i przygotuj dzieci do życia w świecie przyszłości



Fundacja Uniwersytet Dzieci od 17 lat wspiera edukację dzieci, rodziców i nauczycieli.

Twoje 1,5% podatku pomoże nam:

- uczyć krytycznego myślenia i pomagać dzieciom w zdobywaniu wiedzy,
- przygotowywać darmowe projekty dla uczniów, nauczycieli i dyrektorów,
- organizować bezpłatne webinaria dla dorosłych.

**Podczas wypełniania formularza PIT
wpisz KRS: 0000270261 oraz poniższy
cel szczegółowy: Fundacja Uniwersytet Dzieci 15143**

www.uniwersytetdzieci.pl



Świat da się naprawić. Zróbmy to wspólnie. **Naprawdę**

1,5%

[MISJA „TYGODNIKA”, FRAGMENTY]

Odważnie prowadzimy Czytelniczki
i Czytelników przez świat, zachęcając
do patrzenia na rzeczywistość
z różnych perspektyw.

Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną.

Ważny jest dla nas wzajemny szacunek
i otwartość – nie zamykamy się na
żadną ze stron dialogu.

Wierzimy, że świat da się naprawić.



Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PRZEKAŻ 1,5% PODATKU
Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o suwerenność i rozwój
„Tygodnika Powszechnego”.

» KRS 0000 125 605

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 11/2024

INTELIGENTNA MEDYCYNĄ

Zdrowie jest nam dane

Medycyna przyszłości możliwa jest już dzisiaj

JOSE SOUSA, ARCHITEKT AI:

**Technologia pozwoli przywrócić równowagę
w relacji pacjent-lekarz. Lekarz będzie mógł poświęcić
więcej uwagi choremu, a pacjent będzie miał
większy wpływ na proces powrotu do zdrowia.**

MICHAŁ GIKOWSKI: Cofnijmy się do roku 1854 i epidemii cholery w Londynie. Młody lekarz John Snow wykorzystał coś, co nazwalibyśmy dziś analizą danych, by potwierdzić, że choroba rozprzestrzenia się za pośrednictwem kilku studni. To początek medycyny opartej na danych?

JOSE SOUSA, ARCHITEKT AI, LIDER ZESPOŁU PERSONAL HEALTH DATA SCIENCE W SANO CENTRUM MEDYCYNY OBLICZENIOWEJ: Oraz medycyny opartej na dowodach. Snow zbierał informacje z okolic różnych studni, aby zrozumieć, jak rozprzestrzenia się choroba i dlaczego skupia się wokół jednych studni, a nie innych. Odkrył coś, co nazwalibyśmy dziś korelacjami – zjawiska towarzyszące zasadniczemu problemowi i przekładające się na niego. Przykładem były zanieczyszczenia wyrzucane w pobliżu studni, które przedostawały się do wody. Myślę, że możemy nazwać to pierwszym przypadkiem zastosowania danych i dowodów nie tylko w medycynie, ale w procesie decyzyjnym w kwestiach zdrowia publicznego. Trzeba było znaleźć rozwiązanie, które dotyczyło nie tylko samej wody, ale również zachowania ludzi.

Minęło 170 lat. Mamy teraz do dyspozycji o wiele więcej danych i nowoczesne narzędzia do ich analizy. W jakim stopniu dzisiejsza medycyna się na nich opiera?

To zależy od tego, jak spojrzymy na problem. Czy tworzymy te zaawansowane narzędzia, aby dostarczać danych do podejmowania decyzji, czy chcemy za ich pomocą zmieniać proces decyzyjny? Uważam, że to dwie różne rzeczy, które często są ze sobą mylone. Nie jesteśmy bliscy zastąpienia człowieka w procesie podejmo-

wania decyzji nawet przy ogromnych ilościach danych i wielkiej mocy obliczeniowej, jaką dysponujemy. Poza tym nie jest to naszym celem. Możemy natomiast dostarczać coraz lepszych dowodów potrzebnych w podejmowaniu decyzji przez człowieka. Na tym skupia się mój zespół.

Zajmujemy się badaniem ludzkiego procesu podejmowania decyzji nie z perspektywy neurologicznej – czyli poprzez analizę tego, co dzieje się w mózgu – czy na podstawie wielkich zbiorów danych, ale pod kątem tego, jak decydujemy w sytuacji niepewności. Medycyna jest obszarem, gdzie nigdy nie da się wyeliminować wszystkich niewiadomych. Nie jesteśmy w stanie zmierzyć wszystkiego. Wiele decyzji musi być więc podejmowanych na podstawie wiedzy eksperckiej jakiegoś specjalisty, a tego nie da się uchwycić w podejściu skupiającym się wyłącznie na danych. Jeśli chcemy proces podejmowania decyzji udoskonalić, to najpierw musimy go zrozumieć i nauczyć się go naśladować.

Jednym z największych problemów jest to, że modelujemy świat tak, aby pasował do naszych narzędzi, a nie opracowujemy narzędzia tak, aby pasowały do świata, który nas otacza. Jak mawiał mój profesor, jeśli jedynym narzędziem, jakie masz, jest młotek, wszystko zaczyna wyglądać jak gwoździć.

Co jest charakterystycznego w podejściu Waszego zespołu?

Wróciliśmy do podstaw i do nauki kognitywnej. Jest kilka teorii, które obecnie badamy. Jedną z nich jest teoria „dwóch systemów” czy „dwóch procesów”. Mówi ona, że proces podejmowania decyzji następuje równolegle w dwóch różnych systemach poznawczych. Jeden z nich wy-

korzystuje wiedzę nabytą wcześniej. Jeśli do obserwowanej sytuacji pasuje wcześniejsze doświadczenie, nie zastanawiasz się nad tym, jaką decyzję podjąć, lecz działasz na podstawie emocji. Jeśli widzisz psa, a boisz się psów, nie będziesz zastanawiać się nad tym, czy uciekać. Po prostu zaczniesz uciekać.

Daniel Kahneman, psycholog, który zdobył w 2002 r. Nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii, opisuje drugi system jako system angażujący kontrolowane i świadome procesy rozumowania. Odpowiada on za powolny i racjonalny proces podejmowania decyzji, co pozwala na przeprowadzenie pogłębionej analizy i w konsekwencji daje okazję do bardziej przemyślanego działania.

Używając tego rozróżnienia, którego źródła znajdujemy w teorii psychologicznej dotyczącej ludzkiego umysłu, możemy także różnicować sposoby pracy systemów obliczeniowych. Mój zespół pracuje nad rozwiązaniem, które korzystając ze zautomatyzowanego procesu decyzyjnego może dokonywać takiego szybkiego wglądu w dane, na przykład do odkrywania wzorców.

Jednak wiemy przecież, że kontekst medyczny, w jakim rozwijane są nasze technologie, wymaga także, a może przede wszystkim, rozumowania bardziej złożonego, biorącego pod uwagę wiele zróżnicowanych danych. W pracy, która została opublikowana w tym miesiącu, opisujemy, jak można wykorzystać abstrakcję, w których scalamy ze sobą różne źródła danych. Opracowaliśmy teorię, z której wynika, że reprezentacja wiedzy oparta na takich abstrakcjach jest wystarczająco dobra, by „maszyna” była w stanie tworzyć scenariusze na przyszłość, czyli dokonywać predykcji i planować.



T. GOTFRYD / K. KRAJEWSKI / MATERIAŁ PRASOWY PARTNERA

DR JOSE SOUSA jest liderem zespołu badawczego Personal Health Data Science w Sano Centrum Medycyny Obliczeniowej. Koncentruje się na wykorzystaniu danych medycznych do tworzenia wyjaśnialnych modeli uczenia maszynowego, które pomagają usprawnić procesy diagnostyczne i terapeutyczne w leczeniu chorób, oraz metod zwiększających efektywność zarządzania w ochronie zdrowia.

Jose Sousa (na zdjęciu pierwszy po prawej) razem ze swoim zespołem (od lewej): dr. Karolem Capałą, dr Pauliną Komorek, Kamilem Woźniakiem, dr Anną Drożdż i Luką Gherardinim.

Jak może się to przełożyć na praktyczne zastosowania w medycynie?

Sano Centrum Medycyny Obliczeniowej powstało z myślą o poszukiwaniu rozwiązań, które będą w stanie realnie zmieniać opiekę medyczną. Mamy zespół zajmujący się tzw. translacją, czyli przekładaniem technologii na innowacje medyczne. Kasia Nicholson i Dominik Czaplicki działają w tym obszarze m.in. poprzez wspieranie rozwoju technologicznej gotowości wdrożeniowej, poszukują także chętnych do współpracy lekarzy, radiologów, rozwijają relacje ze szpitalami, z branżą farmaceutyczną, diagnostyczną, innymi jednostkami naukowymi czy biznesem. Mamy już konkretne przykłady wynikające z tych współprac. W moim zespole to badania w obszarze diagnostyki nowotworów oraz badania, które rozpoczęliśmy w tym roku w Wojewódzkim Szpitalu Rehabilitacyjnym w Ameryce pod Olsztynkiem, gdzie zajmujemy się procesami leczenia alergii u dzieci.

Alergie są schorzeniem, które nie jest bardzo dobrze rozpoznane, dane są bardzo zaszumione, w opracowywaniu terapii jest wiele niepewności, bo na alergię może wpływać wiele czynników, których często nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Dzieci to szczególna grupa, często nie są w stanie samodzielnie nazwać czy zaobserwować objawów choroby. Gromadzone dane pochodzą z różnych źródeł – to wywiady z rodzicami, ogromnie

cenny wywiad pielęgniarski, wywiad lekarski i dane z maszyn – różnych urządzeń badających np. wydolność oddychową, wyniki testów z krwi lub skórnych. Mój zespół chce zrozumieć kontekst tych danych, zwyczajną codzienność szpitalną. Pomaga nam w tym świetna ekipa ze szpitala, na czele z Markiem Miłolańczykiem, kierownikiem Oddziału Alergologiczno-Rehabilitacyjnego, oraz Romanem Lewandowskim, dyrektorem szpitala. Mamy też wsparcie zespołu pielęgniarek i działu IT. Szpital w Ameryce jest bardzo otwarty i innowacyjny.

Wasz system pomaga stawiać diagnozę?

Nasze podejście polega na tworzeniu modeli opartych np. na danych laboratoryjnych czy wcześniej postawionych diagnozach. Modele mogą podpowiadać lekarzom, jakie są korelacje między danymi i na czym należy się skupić. Udoskonalamy system pomagający podejmować decyzje w oparciu o dane historyczne. Chcemy też wykonać następny krok, który pozwoli stworzyć modele analizy optymalizujące cały proces diagnostyczny. Dzięki temu będziemy mogli skrócić czas wykrywania alergii. Mamy nadzieję, że uda się nam wypracować optymalne ścieżki diagnostyczne dostosowane do konkretnych schorzeń, a nawet konkretnych pacjentów. Te optymalizacje to nie tylko nowa wiedza, ale także oszczędność czasu i kosztów szpitala.

Chcemy zwiększać prawdopodobieństwo tego, że terapia będzie miała najlepszy z możliwych rezultatów w jak najkrótszym czasie.

Wspomniał Pan jeszcze o projekcie dotyczącym nowotworów.

Nowotwory to schorzenia obecnie „siłowane”. Diagnoza mówi o raku płuc, piersi itd. Ale niektóre symptomy raka są wspólne dla różnych nowotworów.

Pracujemy ze szpitalem w Portugalii i staramy się zrozumieć to, jak dobrać najlepsze terapie, traktując nowotwory z szerokiej perspektywy. Jeśli podam pacjentowi dany lek, to co się stanie? Czy i kiedy zobaczymy przerzuty do kości lub do wątroby? Staramy się stworzyć podstawy dla procesu decyzyjnego, które pozwolą zrozumieć, jakie scenariusze są możliwe w długim terminie. Próbuje też sprawdzić, czy dane kliniczne, które gromadzi lekarz rodzinny lub szpital, mogą na wcześniejszym etapie posłużyć jako podstawa do podejmowania decyzji. Chcielibyśmy w tak dużym stopniu, jak to możliwe, przesunąć proces decyzyjny z fazy leczenia na fazę prewencji.

Dajecie lekarzom rodzaj narzędzia do automatycznego przewidywania przyszłości. Podejmiecie daną decyzję, możemy spodziewać się danych rezultatów.

Tak, to nasz ostateczny cel. Mamy nadzieję, że z jednej strony procesy będą

→ automatycznie dostarczać danych historycznych, a lekarz czy lekarka, korzystając z własnego rozumowania, może powiedzieć: dobrze, jeśli podejmę daną decyzję, jest kilka prawdopodobnych scenariuszy rozwoju wypadków. Dostarczamy personelowi medycznemu zobiektywizowaną wiedzę, która w całym systemie jest bardzo rozproszona. Lekarze będą mogli uczyć się od siebie nawzajem, automatycznie dzielić wiedzę i doświadczeniami.

System może uczyć się ze wszystkich przypadków, do których jest wykorzystywany.

Takie jest założenie. Dlatego ostatnie dwa lata zainwestowaliśmy w tworzenie procesu tworzenia abstrakcji, który pozwala nam w jednym miejscu integrować dane z wielu źródeł – różnych szpitali czy badań laboratoryjnych. Problemem w uczeniu maszynowym, które ma zaowocować powstaniem dobrego modelu podejmowania decyzji, jest to, że jeśli mamy dane z jednego laboratorium, a następnie spróbujemy pobrać te same dane z innego laboratorium, to będą się one różnić. Nie wiemy np., jak precyzyjny jest sprzęt używany gdzie indziej. Można do problemu podejść, korzystając tylko z tych danych, które są znormalizowane we wszystkich laboratoriach, ale w ten sposób zapominasz o innych, które mogłyby być istotne. Filtrujesz rzeczywistość. My staramy się tego unikać.

Wydaje mi się, że ten model może też pomóc w szkoleniu młodych lekarzy. Jeśli możemy symulować to, jak reaguje organizm pacjenta, może to być cenne narzędzie edukacyjne.

Rzeczywiście, można wykorzystać te informacje do edukacji lekarzy. Sano prowadzi warsztaty dla lekarzy i studentów medycyny. Chcemy też edukować pacjentów. Powiedzieć im: wykorzystujemy dane z twojego szpitala, nie dane zebrane gdzieś na drugim końcu świata. Dane, z których korzystamy, odnoszą się do twojego konkretnego przypadku.

Problemem w procesach decyzyjnych w medycynie jest to, że ludzie nie czują się ich częścią. Jeśli dostarczymy im odnoszących się do nich danych, pochodzących z ich środowiska, to pomoże im to zrozumieć, co mogą zrobić, by uniknąć konkretnych problemów, które są powszechne w ich otoczeniu. Lekarze po-

winni dostosowywać się do środowiska, w którym pracują, a nie tylko stosować znormalizowane podejścia z podręcznika. Muszą zrozumieć, w jaki sposób środowisko wpływa na pacjenta. To coś, co staramy się ułatwić.

Jednym z wielu wskazywanych problemów we współczesnej medycynie jest to, że pacjenci często czują się traktowani nie jak ludzie, ale jak numery. Pewnym paradoksem jest to, że podejście oparte na danych może zapewnić im bardziej spersonalizowane relacje z lekarzem.

To prawda. Chcemy, by pacjent był aktywnym podmiotem, pomagającym opiece zdrowotnej rozwiązywać prawdziwe problemy. Można powiedzieć, że medycyna obliczeniowa przywraca równowagę w relacji pacjent-lekarz, bo to dzięki technologii lekarz będzie mógł poświęcić więcej uwagi choremu, a pacjent będzie miał większy wpływ na proces powrotu do zdrowia.

Jak to będzie wyglądać z perspektywy pacjenta? Idę do lekarza, dostaję diagnozę i receptę – czy poza tym dostaję aplikację, która mówi mi, co się ze mną dzieje? Jak wchodzę w interakcje z systemem?

Tworzymy kilka prototypów, w tym tego typu aplikacji. W idealnym scenariuszu idziesz do szpitala z danymi symptomami, potem system AI tworzy kilka modeli na podstawie danych, którymi dysponuje szpital. Lekarz będzie mógł zobaczyć, że z pewnym prawdopodobieństwem symptomy wskazują na chorobę X. I będzie mógł przepisać terapię bądź zamówić dodatkowe badania, ale jednocześnie da pacjentowi aplikację szpitala, która dostarczy choremu informacji o stanie jego zdrowia i ścieżce terapeutycznej. Pacjent będzie mógł także aktualizować różne informacje o swoim stanie, co z kolei wpłynie na prognozy modelu. A ponieważ korzystamy z wyabstrahowanych informacji, możemy łatwo dzielić się tymi danymi z innymi lekarzami bez martwienia się o RODO.

Porozmawiajmy o zaufaniu.

Dla wielu ludzi pierwszym kontaktem z systemami opartymi na sztucznej inteligencji były takie aplikacje jak ChatGPT. I jedną

z pierwszych rzeczy, jakich się o nich dowiedzieli, jest to, że te systemy czasem zmyślają. Na ile powinniśmy ufać tym technologiom?

Nasze badania pokazują, że sposobem na budowę zaufania jest medycyna oparta na dowodach oraz personalizacja. W naszym przypadku wyzwaniem nie są halucynacje systemu, tak powszechne w dużych modelach językowych, ale uczynienie modeli, które tworzymy, bardziej przejrzystymi, wyjaśnialnymi. Nie możesz zaufać czemuś, czego działania nie rozumiesz. Jak powiedziałem na początku, wyróżniamy się tym, że skupiamy się na procesie podejmowania decyzji. Tworzymy coś na kształt drzewa decyzyjnego, które pokazuje, jak model wybiera różne cechy i podejmuje decyzje. Powinniśmy kłaść duży nacisk właśnie na wyjaśnialność procesu decyzyjnego, choć nie wszystko w ludzkich decyzjach jest racjonalne.

Pandemia była wielką próbą dla każdego aspektu opieki zdrowotnej. Jak odbiła się na badaniach nad medycyną obliczeniową?

Myślę, że z perspektywy AI był to pierwszy, brutalny kontakt z rzeczywistością. Byłem częścią europejskiego zespołu skupiającego badaczy i ekspertów z różnych dziedzin, analizujących pandemię z wielu perspektyw. Zarządzałem zespołem zajmującym się mobilnością i nauką o danych. Zrozumieliśmy, że wciąż mamy problemy z AI. Problematyczne było, po pierwsze, zbieranie danych. Po drugie, niewykorzystywanie danych w sposób, w jaki szkolono modele. Np. podczas pandemii modele trenowane były na obrazach płuc, a potem odkryto, że proces klasyfikacji nie był prawidłowy, ponieważ potrzebne były dodatkowe informacje. To była pierwsza rzeczywista próba dla AI. Właśnie dlatego nie wierzę, że problemy rozwiążemy wyłącznie dzięki większej ilości danych i większej mocy obliczeniowej. Sądzę, że kluczem jest zrozumienie procesu podejmowania decyzji, odtworzenie go w formie cyfrowej, co może zwiększyć poziom naszej wiedzy o rzeczywistości. Pozwolić nam na podejmowanie decyzji na podstawie lepszych danych. Ale mimo ogromnej ilości danych, które posiadamy, nie jesteśmy bliscy pełnego zautomatyzowania tego procesu.

Tyle że medycyna wszędzie na świecie ma bardzo przyziemne problemy. W większości krajów samo znalezienie lekarza, który cię przyjmie, bywa wyzwaniem. Narzędzia, które rozwijacie, mogą w tym pomóc?

Można na to spojrzeć z różnych perspektyw. Z jednej strony – czy lekarze są dostępni i gdzie ich znaleźć. Z drugiej – czy lekarze są obciążeni opieką nad pacjentami, którzy nie potrzebują aktualnie ich uwagi. Technologia może pomóc szpitalom zrozumieć, gdzie mają wąskie gardła. Jak lepiej zarządzać zasobami? Jak usprawnić logistykę? Jest wiele obszarów, w których można wprowadzić zmiany, zaczynając od elektronicznej dokumentacji pacjenta. To pierwszy krok, który powinien podjąć szpital.

Przenieśmy się o 10-20 lat w przyszłość. Jak będzie wyglądać wizyta u lekarza?

Byłbym zaskoczony, gdyby za dekadę lub dwie pacjent nie miał świadomości tego, do czego doprowadzą jego obecne zachowania w ciągu najbliższych 5 lat. Kluczowe jest to, by każdy z nas zrozumiał, jaki wpływ mamy na własne zdrowie, i mógł podejmować na tej podstawie racjonalne decyzje. Jeśli masz wpływ na swoje zdrowie i podejmujesz odpowiednie decyzje, możesz zmienić cały system. To wpływ większy niż ten, jaki ma którykolwiek rząd. Rządy próbują rozwiązać problem, inwestując pieniądze – słyszymy, że potrzebujemy więcej lekarzy, więcej szpitali. Ale dziś, jako jednostki, nie bierzemy na siebie odpowiedzialności.

W moim zespole wychodzimy z założenia, że każdy z nas jest przede wszystkim obywatelem, dopiero potem pacjentem. Zmiana w opiece zdrowotnej musi pochodzić od jednostki. Największą rewolucją w opiece zdrowotnej byłoby umożliwienie jednostce podejmowania decyzji, a nasz zespół pracuje nad dostarczeniem dowodów, które to umożliwią. To całkowicie zmieni system, ponieważ jednostka jest w stanie zmienić rząd, jest w stanie zmienić świat. Więc nie sądzę, byśmy nie mogli zmienić opieki zdrowotnej.

© Rozmawiał MICHAŁ GIKOWSKI

T. GOTFRYD / K. KRAJEWSKI / MATERIAŁ PRASOWY PARTNERA



Stoją od lewej: dr Przemysław Korzeniowski, dr Dominik Czaplicki i dr Katarzyna Baliga-Nicholson. Siedzą: Kuba Chrobociński, Amanuel Ergogo, dr Natalia Lipp. Na ekranach: Tomasz Szczepański i Sabina Kamińska.

Sztuczna inteligencja powinna być nauką o życiu

KATARZYNA BALIGA-NICHOLSON

Diagnozy, recepty, terapie i... dane. Jak możemy je dobrze wykorzystać do poprawy naszego zdrowia?

Pięćdziesiąt petabajtów – ponad 50 tysięcy terabajtów. Dwa razy więcej danych, niż zawiera cała amerykańska Biblioteka Kongresu. Tyle danych generuje w ciągu roku przeciętny amerykański szpital. Każdego dnia prześwietlenia, testy genetyczne, badania krwi i różne procedury diagnostyczne generują 137 terabajtów danych.

Zobaczenie w tym oceanie danych potencjału, który może zmienić medycynę i opiekę medyczną, wymaga wyjścia poza horyzont obliczeniowy. Dane medyczne to nie tylko historie konkretnych ludzi, często w najtrudniejszych dla nich momentach życia. To też opowieść o problemach naszego zglobalizowanego świata, polityce, systemie opieki medycznej i sposobach radzenia sobie ze strachem przed przemianami. Chcąc zmieniać krążące w medycynie dane w realne, odczuwalne przez pacjentów terapie i procedury, a także narzędzia wspierające personel medyczny, musimy zmienić nasze myślenie o AI.

Krótką historią Sano

Sano (to słowo w esperanto oznacza zdrowie) jest międzynarodową instytucją badawczą z siedzibą w Krakowie. W tym roku świętuje pięciolecie swojego powstania. Tomasz Gubała, jeden z założycieli fundacji, podkreśla, że Sano od swoich początków poszukuje nowej wiedzy z zakresu medycyny i biologii człowieka. W tym celu wykorzystuje do obliczeń najpotężniejsze superkomputery dostępne w Polsce – zainstalowane w Centrum Komputerowym Cyfronet – oraz w Europie (Niemcy, Finlandia). Ma także własną infrastrukturę obliczeniową, składającą się z szeregu tzw. klastrów przetwarzających dane. Część z nich jest wyspecjalizowanych w trenowaniu modeli sztucznej inteligencji, inne dostosowane są do uruchamiania symulacji komputerowych (np. przepływów krwi) czy analizy dużych zbiorów danych medycznych.

Badacze z Sano realizują obecnie wiele interdyscyplinarnych projektów o szerokiej tematyce. Znajdziemy tu zagadnienia z obszaru symulacji i modelowania →

SANO CENTRUM MEDYCYNY OBLICZENIOWEJ

Międzynarodowa fundacja badawcza poszukująca nowych rozwiązań w medycynie opartych na nowoczesnych technologiach informatycznych.

Ludzie

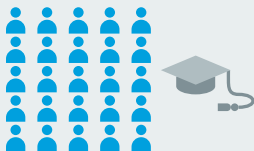
6

liderów zespołów



25

doktorantów



14

badaczy po doktoracie



17

programistów



19

osób personelu wspierającego



13

narodowości



Infrastruktura

5

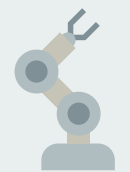
superkomputerów do realizowania obliczeń w Polsce (Cyfronet), Niemczech i Finlandii



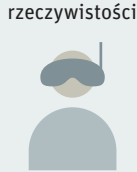
własna infrastruktura obliczeniowa



laboratorium robotyki



laboratorium wirtualnej rzeczywistości



Działania

5

projektów międzynarodowych



8

projektów komercyjnych



5

szpitali objętych strategiczną współpracą



22

partnerów biznesowych



→ fizjologii człowieka, diagnostyki, medycyny spersonalizowanej, technologii VR/AR (wirtualnej i rozszerzonej rzeczywistości), robotyki, a także zaufania do wirtualnych istot, edukacji medycznej i automatyzacji procesów w opiece medycznej. Dane, na których pracuje Sano, są konsultowane z lekarzami, pielęgniarkami i pacjentami. Ważny jest także kontekst gromadzenia danych, który potem ma ogromne znaczenie w ich analizie: czy dane zostały zebrane z wywiadu z matką dziecka, czy ojcem, ile czasu miał lekarz na ocenę stanu pacjenta, na jakim sprzęcie robione były testy, czy pacjent nie poruszył się podczas obrazowania, jakie cechy ma region, z którego pochodzi pacjent? Przy okazji tej pracy Sano

pomaga standaryzować sposoby gromadzenia danych i optymalizować sposoby ich zapisu. To wszystko sprzyja budowaniu kultury innowacji i szerokiej wymianie wiedzy. Najbardziej owocne współpracy zawsze zaczynają się od wyznaczenia i jasno sformułowanego problemu. Potem nawiązują się relacje, wykształca się wspólny język komunikacji, który często jest wyrazem lepszego zrozumienia z jednej strony działania technologii obliczeniowych, z drugiej – procedur medycznych i działania organizmu człowieka. Tętnice, które były zwykłymi rurkami dla fizyka, w trakcie realizacji projektu naukowego stają się ważną częścią samoregulującego systemu, który modelowany w śro-

dowisku cyfrowym, uwzględnia różnice anatomiczne pomiędzy pacjentami.

„Głównym celem i wyzwaniem współczesnej medycyny jest zapewnienie wszystkim pacjentom jak najwyższej jakości życia, a można to osiągnąć poprzez spersonalizowane leczenie” – pisze prof. Marco Viceconti z Uniwersytetu w Bolonii, przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Naukowego Centrum Sano. „Takie podejście zapewnia nie tylko lepsze efekty lecznicze, ale także mniej skutków ubocznych. Równie ważny jest fakt, że dzięki zindywidualizowanej diagnostyce i terapii koszty związane z leczeniem ulegają zmniejszeniu, co z kolei sprawia, że więcej osób może poddać się leczeniu

Dofinansowano w ramach programu Horyzont 2020 – ramowego programu Komisji Europejskiej w zakresie badań naukowych i innowacji – umowa grantowa nr 857533 oraz z Programu Agendy Badawczej Fundacji na rzecz Nauki Polskiej (nr grantu MAB PLUS/2019/13).



Rzeczpospolita
Polska



Fundacja na rzecz
Nauki Polskiej

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



Dofinansowano w ramach projektu „Support for the activity of Centers of Excellence established in Poland under Horizon 2020” przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego na podstawie umowy MeIn/2023/DIR/3796.

za te same pieniądze. Korzyści płynące ze spersonalizowanej opieki zdrowotnej są zatem niezwykle ważne zarówno w krajach rozwiniętych, jak i rozwijających się” – dodaje badacz.

Obecnie Sano zatrudnia kilkudziesięciu specjalistów – informatyków, programistów, analityków danych, biologów, psychologów, neuronaukowców oraz personel wspierający – z 13 krajów.

Analiza, przewidywanie, szkolenia

Jednym z realizowanych przez Sano projektów jest program BabyNet++, który wykorzystuje sztuczną inteligencję do szacowania masy urodzeniowej płodu. Niska masa urodzeniowa może mieć znaczący wpływ na zdrowie niemowlęcia. Pomimo powszechnego stosowania ultrasonografii do szacowania masy płodu standardowe modele predykcyjne mogą szacować masę płodu nawet z 15-procentowym błędem. Celem tego projektu jest poprawa dokładności szacowania masy urodzeniowej, która jest kluczowym czynnikiem w zarządzaniu ryzykiem okołoporodowym.

Sztuczna inteligencja może posłużyć także do planowania terapii ortodontycznej. W ramach programu DENTNet zespół Sano koncentruje się na analizie skanów tomografii komputerowej uzębienia, na podstawie których planowana jest terapia. Opracowana w Sano nowatorska metoda, oparta na sztucznej inteligencji, pozwala na dokładniejsze zrozumienie i bardziej szczegółowe obrazowanie anatomii zębów. „Dzięki interaktywnemu interfejsowi opartemu na gestach, systemy rzeczywistości rozszerzonej pozwalają w wygodny i precyzyjny sposób manipulować danymi 3D, dodatkowo zapewniając efekt głębi. Prezentowany projekt na tym etapie koncentruje się na ortodoncji, jednakże pozwala na uniwersalną wizualizację dla różnych specjalizacji stomatologicznych i medycznych” – piszą twórcy.

Najnowsze technologie przetwarzania danych, w tym generatywna sztuczna inteligencja (GAI), oferują jednak o wiele większe możliwości dla systemów, które w najbliższej przyszłości mogą znaleźć zastosowanie w medycynie. Zespół dr. Przemysława Korzeniowskiego z Sano posługuje się technologią GAI do generowania realistycznych syntetycznych

danych chirurgicznych, które następnie mogą być wykorzystywane do szkolenia modeli głębokiego uczenia się, obsługujących urządzenia i programy medyczne.

„Rozmawiająca” sztuczna inteligencja, z jaką spotykamy się w programach takich jak ChatGPT, może pełnić funkcję trenera, nadzorca czy doradcy w symulatorach działających w wirtualnej czy rozszerzonej rzeczywistości. Dzięki usprawnionym symulatorom adepci medycyny będą mogli przygotowywać się do najtrudniejszych operacji, takich jak naprawa rozszczepek kręgosłupa, bez ryzyka dla żywych pacjentów.

Pacjent w otoczeniu danych

Inny zespół naukowy Sano – Computer Vision Data Science (Brain and More, BAM) – wykorzystuje widzenie komputerowe w neuroobrazowaniu, od mikroskopii po rezonans magnetyczny. Symulacja i analiza danych mają pozwolić na diagnozowanie i przewidywanie chorób neurodegeneracyjnych, a także guzów mózgu. Zespół koncentruje się na analizie obrazu rezonansu magnetycznego (MRI) i histologii.

„Jednym z naszych celów jest automatyzacja procesu segmentacji odpowiednich cech w obrazach histologicznych, która może pomóc w diagnostyce lub badaniach. Na przykład automatyzujemy ocenę guza mózgu, aby odciążyć patologów. Dalsze powiązane cele w tym zakresie to ujednolicenie barwień histologicznych z różnych laboratoriów, co umożliwi ich lepszą klasyfikację. Chcemy także odciążyć radiologów, wspomagając automatyzację opisów radiologicznych” – wyjaśnia dr Alessandro Crimi.

Wszystkie te obszary badawcze bazują na synergii dwóch podejść obliczeniowych: pierwszego, opartego na fizyce (tworzenie dokładnych modeli różnych organów czy tkanek), oraz drugiego, opartego na zbieraniu i analizie danych. Te podejścia spotykają się w rozwijanej w Sano koncepcji „cyfrowego bliźniaka”, o którym można myśleć jako o wirtualnej kopii stanu ciała pacjenta. To na tej kopii lekarze i badacze testować mogą różne scenariusze terapeutyczne oraz symulować konsekwencje swoich decyzji. Im bardziej wierny rzeczywistości będzie nasz „cyfrowy bliźniak”, tym mniej negatywnych skutków ubocznych terapii będziemy doświadczać.

Badania w obszarze medycyny obliczeniowej i spersonalizowanej, takie jak te prowadzone w Sano, mogą zmienić nie tylko oblicze medycyny, ale także sposób, w jaki myślimy o AI. Nowe, oparte na sztucznej inteligencji, rozszerzonej rzeczywistości i analizie danych technologie mogą pozwolić szpitalom i innym centrom opieki zdrowotnej lepiej wybierać to, jakie ze swoich ograniczonych zasobów angażować w opiekę nad pacjentami, tak by zmaksymalizować korzyści dla wszystkich swoich podopiecznych. Postawią nas też przed możliwością odtworzenia życia w wymiarze cyfrowym. Ale te rosnące możliwości są także wezwaniem do ogromnej odpowiedzialności.

Możemy sądzić, że informatyczny przełom w opiece zdrowotnej jest dopiero przed nami. W najbliższych dziesięcioleciach strumienie danych dotyczących naszego zdrowia połączą się, tworząc wielowymiarowy obraz, który pozwoli lekarzom precyzyjnie kontrolować stan zdrowia każdego z nas i dostosowywać swoje zalecenia do indywidualnych potrzeb. Internetowe serwisy, inteligentne urządzenia takie jak smartwatche i zaawansowane algorytmy sztucznej inteligencji pozwolą nam kontrolować własne organizmy na sposoby, o jakich jeszcze niedawno zupełnie nam się nie śniło. Technologia obliczeniowa nie tylko pozwoli nam rozwinąć medycynę, ale wręcz stanie się jej częścią – otwierając przed nami nowe obszary w myśleniu o tym, jak zachować zdrowie i jak się o siebie troszczyć.

© KATARZYNA BALIGA-NICHOLSON

Autorka jest badaczką relacji człowiek-AI. W Sano zajmuje się projektowaniem i wdrażaniem innowacji w dziedzinie sztucznej inteligencji i medycyny obliczeniowej.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
DO „TYGODNIKA
POWSZECHNEGO” 11/2024**

REDAKCJA: Łukasz Kwiatek | PROJ. GRAF.:
Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Jacek Taran
SKŁAD: Zuzanna Kardyś | OPIEKA WYDAWNICZA:
Anna Pietrzykowska | ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
MACIEJ MAŁAWSKI / STABLE DIFFUSION

PARTNER DODATKU



ZBAWCA MĘSKOŚCI

Na instagramowym profilu aktora niedbale cyknięte selfie dostają dwukrotnie więcej lajków niż najgorętsze newsy o nowym filmie. Kogo i za co pokochały miliony?

IGOR KIERKOSZ

PRZY OKAZJI PREMIERY NOWEJ „DIUNA” w reżyserii Denisa Villeneuve’a łąpię się na tym, że doskonale wiem, jaką fryzurę nosi w tej chwili odtwórca głównej roli, Timothée Chalamet. Mało tego, wiem nawet, ile kilogramów mu ostatnio przybyło, a przecież nie zaglądam na portale plotkarskie. Niby śledzę tylko nowości filmowe, ale mimochodem dostaję pigułę wiedzy z zakresu mody i urody. W tym nadmiarze informacji jest metoda, bez nich kinowe doświadczenie jest dziś niepełne. Casting był i tym razem najdalszy od przypadku.

„Diuna: część druga” opowiada o wielkiej przemianie Paula Atrydy granego przez Chalameta, ale przy okazji wędrówka fikcyjnego księcia streszcza losy samego aktora. Być na bieżąco ze znaczeniem współczesnej kinematografii znać też: wiedzieć, co w kuluarach piszczy. A tam nieustannie trwają wybory na wzorowego przedstawiciela tak zwanej „nowej męskości”.

Łobuz kocha najbardziej

Anglojęzyczne tik-toki donoszą, że udziałem Chalameta stał się bolesny *glow down*, że zanosí się wręcz na *twink death*. Tłumacząc na nasze: buzia mu się zbyt nio zaokrągliła, a wraz z utratą młodzieńczego wigoru oczywiście spadł w rankingu najbardziej pociągających gwiazd show-biznesu. Dla niektórych nie jest to

jedna z wielu plotek w świecie filmu, ale śmierć pewnej epoki.

Jej pierwszy rozdział zaczyna się w 2012 r. Wtedy to francusko-amerykański aktor zaliczył występ w hitowym serialu „Homeland”. To jego pierwsza znacząca rola, a przy tym drobna zapowiedź kierunku, w jakim pójdą kolejne. Syn nowojorskiego korespondenta dziennika „Le Parisien” oraz agentki nieruchomości po Uniwersytecie Yale miał wszelkie predyspozycje, żeby wcielić się w serialowego Finna Waldena, rozpieszczonego chłopaka z bogatej rodziny. W „Homeland” Chalamet miał czarować w nieco dziś skompromitowanym stylu – zaważającym uśmiechem i ironicznymi docinkami. Po takiej roli zbuntowanego flirciarza nie pozostawało nic innego, tylko zostać obiektem westchnień sporej części młodego pokolenia widzek i widzów.

Tak też się stało, zwłaszcza że los bożyszcza ułożył mu się gładko wraz z nadzieją kolejnych ról. Nie żeby Chalamet bez końca pielęgnował w swoim *emploi* wizerunek romantyzowanego łobuza. Co prawda zagrał takiego w „Lady Bird” (2017), ale jego postać była tam ze wszech miar skompromitowana. Poza tym fani dorastali razem z aktorem, więc przy okazji jego roli u Greta Gerwiga już na pewno →

Timothée Chalamet jako Paul Atryda
w filmie „Diuna 2”,
reż. Denis Villeneuve, 2024 r.





→ zorientowali się, że ani w tej, ani we wcześniejszej postaci z „Homeland” nie ma zbyt wiele do podziwiania. Amerykańska reżyserka pokazała – jak przystało na feministyczną ironistkę – że jeśli łobuz faktycznie kocha najbardziej, to chyba głównie własne odbicie w lustrze.

Chłopiec z niebios

Występ w „Lady Bird” to moment przełomowy w karierze Chalameta. Zwłaszcza że zbiegł się w czasie z premierą filmu „Tamte dni, tamte noce” (2017). Luca Guadagnino w kultowym już gejowskim melodramacie obsadził Chalameta w głównej roli Elia, siedemnastoletniego chłopaka z twarzą anioła, który zakochuje się w starszym o siedem lat Oliverze. O ile Gerwig w „Lady Bird” rozmontowała mit amanta w ciele przystojnego młodziaka, o tyle Guadagnino zaproponował pozytywną wersję tego samego mitu. Taką na miarę inkluzywnego wieku XXI.

Elio nic sobie nie robi z tradycyjnych powinności męskiego romantyka. Jego strategia działania to nie heroiczny miłosny podbój, tylko wsłuchiwanie się w potrzeby drugiej osoby, dbanie o ich wspólne dobro, a przy tym pielęgnowanie własnych emocji. Jasne, że czasem zbyt porywczych, a ostatecznie skazanych na porażkę, ale to tym lepiej dla tego rodzaju narracji. W końcu współczesna męskość jest otwarta na błędy i wcale nie oczekuje ideału. Nawet jeśli w finale „Tamtych dni, tamtych nocy” nurzamy się we łzach, to niekoniecznie mamy do czynienia ze złym zakończeniem. Dokładnie w momencie rozpacz Elia po straconej miłości dochodzi przecież do triumfu męskiej wrażliwości.

Ta scena, jak zresztą cały film, trafiła w idealny moment. Sukces dzieła Guadagnina tylko przypieczętował wyczuwalną od dawna zmianę w traktowaniu ról genderowych. „Tamte dni, tamte noce” sprawnie odzyskiwały schematy fabularne zarezerwowane dla heteroromansów, a miłosny poryw dwóch mężczyzn pokazywały bez testosteronowej napinki. Nowoczesna mentalnościowa zmiana nie miała dotąd tak popularnej filmowej reprezentacji. Do tego docenionej i przez widownię, i przez mniej lub bardziej zbławosnioną krytykę. Przejmujący scenariusz i melancholijny klimat włoskiej prowincji zrobiły swoje, trudno było się w nich nie odnaleźć. Ale

Brzemie sławy jest u niego odwrotnie proporcjonalne do liczby lat w tej branży.

I właśnie dlatego trudno wyobrazić sobie lepszego aktora, który mógłby wcielić się w główną rolę w „Diunie”.

jeszcze istotniejszy jest dla mnie fakt, że zmiana mentalnościowa doczekała się swojej twarzy.

Do przełomu w karierze Chalameta dołożyła się nominacja oscarowa za główną rolę męską w tym filmie. Dla wielu stanowiła potwierdzenie, że wrażliwy gość to nie tylko modna figura dla współczesnej młodzieży, ale ważny punkt odniesienia nawet poważnych członków akademii oscarowej. Dobry znak dla nowej wrażliwości.

Rozmówki męsko-męskie

O ile więc Chalamet jako mainstreamowy aktor narodził się już pięć lat wcześniej, o tyle jako czołowa persona dzisiejszej kultury zaczął się dopiero po premierze „Tamtych dni, tamtych nocy”. Media szybko wyczuły, że coś jest na rzeczy, i przy najbliższej okazji wrzuciły jego twarz na okładki wielu magazynów. Oprócz „GQ” czy „Time’a”, Chalamet trafił choćby na stronę tytułową popularnego wśród młodych odbiorców czasopisma „i-D”. Był 2018 r., dopiero co premierował film Felixa Van Groeningena „Mój piękny syn”, w którym to Timothée znowu wykazał się w roli wrażliwego nastolatka z problemami.

Okladkowym tekstem była jego rozmowa z samym Harrym Stylesem (jednym z wokalistów boys bandu One Direction), który od 2016 r. występował już wyłącznie pod własnym nazwiskiem i stał się w świecie muzyki gwiazdą tego samego formatu, co Chalamet w świecie filmu. Ktoś w magazynie „i-D” doskonale wiedział, że połączyć tych dwóch w jednym wywiadzie to dotknąć sedna dyskusji o wzorcach współczesnego mężczyzny. Redakcja wskazywała, że „w świecie po #MeToo Timothée Chalamet jest reprezentantem zmiany, którą chcemy zobaczyć w przemyśle filmowym”. Nastę-

pująca później litania jego zasług streszcza oczekiwania wielkiej grupy odbiorców współczesnej kultury: „Jest wrażliwy, szczerzy, troskliwy, uprzejmy, niezdamy i samokrytyczny”. Dziennikarze porównywali ten fenomen do zamieszania, jakiego narobili swego czasu James Dean czy Leonardo DiCaprio.

Nie bez znaczenia był wówczas fakt, że Chalamet, tak jak i Styles, pielęgnuje „kobiecą stronę” swojej osobowości. Tak przynajmniej autorzy „i-D” nazywali skłonność do otwartego manifestowania emocji. A przecież dopiero co wszyscy próbowaliśmy sobie wytłumaczyć, że wrażliwy facet nie musi być od razu „babski” czy „zniewieściany”. W całym tym poszukiwaniu nowej męskości chodziło właśnie o to, żeby w końcu przyznać, że nowy wariant nie jest wybrakowany i niewystarczający. Że nie trzeba się przykładać do stereotypowego postrzegania przymiotów płci, tylko uznać, że męskie emocje mogą być, no właśnie, jak najbardziej męskie.

Męski wybór

W kolejnych latach Chalamet pokazywał tę właściwość nieco bardziej wprost. Co prawda w „Deszczowym dniu w Nowym Jorku” (2019) Woody’ego Allena i w „Małych kobietkach” (2019) Greta Gerwiga nadal grał postaci w kluczu „nie dojrzały kochaś” (to jeszcze odprysk wcześniejszego *emploi*), ale w tym samym roku poszerzył swój repertuar o zgoła inne sposoby performowania męskości. Tytułowa rola w „Królu” po raz pierwszy włączyła Chalameta w poczet popkulturowych bohaterów-wybrańców. W dramacie historycznym Davida Michôda fabuła szekspirowskich sztuk o angielskich królach miesza się z widowiskiem nazywanym jeszcze gdzieś indziej „męskim”. Czyli – według klasycznego rozumienia – pełnym przemocy, mrocznym i opiewającym heroiczną walkę.

Chalamet w roli Henryka V musi zaważać o los całej Anglii, choć jeszcze do niedawna pozostawał niepoprawnie rozwyrzonym dzieciakiem. Brzmi to zresztą trochę tak, jakby Michôd przepisywał biografię aktora. Przy całym skupieniu na surowym, historyczno-politycznym temacie symptomatyczny jest sposób, w jaki postać niepokornie podchodzi do swojego dziedzictwa. To już nie bohater w starym stylu, który bez jednego drgnięcia mięśni twarzy bierze na

siebie dziejową powinność – żaden tam Mel Gibson z „Bravehearta” (1995) czy Russel Crowe z „Gładiatora” (2000).

Żywiłem Henryka V w wersji Chalametowskiej jest kwestionowanie ojcowskich nauk i wyszarpywanie sobie własnego miejsca w świecie, który nie oferuje mu dużo więcej ponad jasno ustalony los. Nawet jeśli inni okrzyknęli go wybrańcem, to on sam ma odwagę najzwyczajniej w świecie zaprotestować. Inna sprawa, czy takim protestem będzie w stanie cokolwiek wywalczyć – zarówno dla siebie, jak i dla świata.

Nie chcąc, ale musząc

Na tym etapie kariery Chalamet musi już doskonale rozumieć, jak to jest być osobą zaprojektowaną do roli idola – i to niezależnie od własnych zamiarów. To napięcie między przeznaczeniem a wolą jest sednem „Diuny” (2021).

Kiedy w 2019 r. Dennis Villeneuve kręcił pierwszą część swojego filmu, który z miejsca stał się klasykiem *science-fiction*, Timothée Chalamet miał za sobą niecałą dekadę kariery. To człowiek z brzemieniem sławy odwrotnie proporcjonalnym do liczby lat w branży. I może właśnie dlatego trudno wyobrazić sobie lepszego aktora, który mógłby wcielić się w główną rolę w „Diunie”.

Cały konflikt trawiący wewnątrz Paula Atrydy wynika z poczucia niegotowości. Jednym z pierwszych zdań, które wypowiada do nas z ekranu, brzmi: „A co, jeśli to nie ja jestem nadzieją rodu?”. Paradoksalnie więc motorem napędowym wielkiego widowiska staje się tu psychologiczna blokada. Fabułę pierwszej „Diuny” posuwa do przodu nie tyle heroiczna wola walki, ile próba zrozumienia, czy w przypadku młodego Atrydy walka jest w ogóle zasadna. Cały świat patrzy w jego stronę, dostrzegając rysy mesjasza, ale być może to tylko iluzja.

Dlatego tyle miejsca w scenariuszu zajmuje gładzenie o nieprzystosowaniu młodego dziedzica do podjęcia dorosłej roli – to po prostu opowieść ufundowana na wątpliwościach. To zresztą zrozumiała strategia artystyczna. Kochamy, kiedy fotogenicznym obrazom międzyplanetarnych konfliktów towarzyszą te istotniejsze, wewnętrzne konflikty. Coś dla oka, coś dla ducha. Wystarczy przypomnieć sukces „Gwiezdnych wojen”, „Planety małp”, „Strażników galaktyki”. Nie

Wcielenia wybrane



■ **HOMELAND**, 2012, sezon 2, jako Finn Walden



■ **TAMTE DNI, TAMTE NOCE**, 2017, jako Elio



■ **KRÓL**, 2019, jako Hal



■ okładka magazynu **I-D** z 2018 r.

bez powodu każdy z tytułów przerodził się w wieloodcinkową filmową franczyzę. Dokładnie tak, jak film Villeneuve’a. Kina na całym świecie wyświetlają właśnie „Diunę: część drugą” (2024), a reżyser już zapowiada dalszy ciąg tej opowieści.

Dramat mesjanistyczny

Zdaje się, że wraz z drugą częścią sagi katalog wszystkich ról Chalameta układa się w zupełnie logiczną opowieść. Z postaci na postać robi się coraz poważniej: w pierwszych filmach pokazuje się jako skłonny do buntu nastolatek, później podejmuje na ekranie kolejne dorosłe decyzje, a w ostatniej „Diunie” mierzy się z konsekwencjami swoich wyborów. Jego postaci łączy kilka powtarzalnych cech: nonkonformizm, wewnętrzne skomplikowanie i umiejętność wpływania na innych. Wypisz wymaluj – opis samego aktora jako postaci medialnej.

Tym silniej wybrzmiewa wątek mesjanistyczny w najnowszej odsłonie „Diuny”. Jakby Villeneuve chciał najważniejszym wyborem castingowym skomentować niektóre z dzisiejszych obsesji odbiorców popkultury. Zwłaszcza że fenomen Chalameta rzeczywiście potrafi przypominać religijny kult.

Na instagramowym profilu aktora nawet najbardziej niedbale cyknięte selfiaki dostają dwukrotnie więcej lajków (a mówimy tu o milionowych liczbach) niż najgorętsze newsy o nowej „Diunie”. Tak jakby najważniejszym zadaniem aktora było kreowanie estetycznego bohatera zbiorowej wyobraźni.

Nie żeby należało z tego powodu lamentować, mechanizm jest tu dość jasny. Dwudziestoosmioletni aktor zwyczajnie uosabia szeroki wachlarz oczekiwań społecznych w obecnym klimacie kulturowym. Nie tylko jest wzorem męskości, ale pozostaje też wrażliwy na palące problemy świata, choćby na kwestie środowiskowe. Można nie przepadać za jego filmami, a jednocześnie kochać Chalameta.

Już u zarania Hollywoodu, w pierwszych dekadach XX wieku, tak zwany „system gwiazd” kierował sympatiami i antypatiami widzów – przyciągał do kin choćby „na Bustera Keatona”, w drugiej kolejności konkretnie na „Generała”. Wygrywały te gwiazdy, z którymi najłatwiej było znaleźć nić porozumienia. Albo które najprzejemniej się podziwiała na wielkim ekranie.

Stara dobra nowość

⇒ Rozmowa o Chalamecie wykracza dziś poza kanony piękna czy zwykłe sympatie fanów. Te bowiem są naturalnie zmienne, zależą od aktualnych trendów. Natomiast istnieją jeszcze sprawy uniwersalne, które zostaną z nami dłużej niż chwilowe mody. Kwestie zmieniające krajobraz myślenia o naszych idolach.

Dyskusję w gwałtownym tonie napędzają ostatnio zwłaszcza doniesienia o prywatnych samolotach gwiazd, odpowiadzialnych za bezsensowne zanieczyszczanie środowiska. Chalamet dostał przy tej okazji trochę rykoszetem, jako partner modelki Kylie Jenner, która miała go odwiedzać kopiącym na potęgę prywatnym odrzutowcem. Swoje zrobił fakt, że wcześniej młody aktor publicznie propagował dbanie o środowisko. A na dodatek wszystko to w momencie ekspansji narracji z gatunku *eat the rich*, odnoszących się krytycznie do najbogatszych warstw społecznych, piętnujących ich próżność i hipokryzję.

Zresztą związek tej dwójki tylko podsyca podejrzliwość fanów. Chłopiec bez skazy nagle widuje się z kontrowersyjną na wielu poziomach celebrytką z programu „Z kamerą u Kardashianek”? Dla wielu jest to wystarczający sygnał, że ich ulubieniec nie jest tak doskonały, jak chcieli go widzieć.

Może to przewrotna konsekwencja koniunktury na mężczyzn otwartych na niedoskonałości? W momencie, gdy wady boleśnie dają o sobie znać, przestaje być już tak wesoło. A skoro nie możemy ich wtedy znieść, to nie zasługujemy na nich, kiedy są najlepszą wersją siebie. Pytanie tylko, gdzie jest granica, za którą nowa, dobra męskość zbliża się niebezpiecznie do starego dobrego maczyzm.

© IGOR KIERKOSZ

Kończówka

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Ostatnie przedstawienia z udziałem Jana Englerta są jego zawodowym rozliczeniem i podsumowaniem. Odślaniają także sprzeczności, w jakich ugrzązł Teatr Narodowy pod jego dyktando.

JAN ENGLERT NALEŻY BEZ WĄTPIENIA do coraz mniej licznej grupy aktorów i aktorek, którym od dawna przyznaje się autorytet mistrzowski wynikający z bogactwa dorobku, poziomu warsztatu i pozycji zawodowej. Wprawdzie mistrzowie pokolenia nieco starszego (Holoubek, Łomnicki, Zapasiewicz, Łapicki) trochę pewnie by się krzywili na rozliczne czysto komercyjne występy (czasem niestety dość żenujące) generacji młodszej, ale opinia publiczna najwyraźniej traktuje je jak znaki czasu. Zresztą Jan Englert, Anna Seniuk, Andrzej Seweryn czy Janusz Gajos nigdy nie sprzedawali się tak bezczelnie, bezsensownie i bez wdzięku jak ich bardzo utalentowani uczniowie, więc te trybuty na rzecz popularności masowej nie zmniejszają szacunku, jakim się cieszą.

Englert jest od roku 2003 (czyli już od 21 lat!) dyrektorem artystycznym formalnie najważniejszej i najbardziej prestiżowej sceny polskiej – Teatru Narodowego w Warszawie. Sympatia i uznanie publiczności, zdobyte jeszcze zanim został dyrektorem, walczyły przyczyniając się do długości tej dyktacji i do naprawdę godnej podziwu stabilności pozycji Englerta w świecie nieustannych walk i zmian. Oczywiście jego młodszy brat Maciej, który Teatrem Współczesnym w Warszawie rządzi od roku 1981 (we wrześniu 2024 r. ma go zastąpić Wojciech Malajkat), w kategorii długości trwania i stałości sprawowania władzy teatralnej osiągnął jeszcze więcej, ale umówmy się, że Współczesny to zupełnie inna kategoria wagowa niż Narodowy, o który wszak toczyły się przez lata rozliczne boje i awantury polityczne. Englert (przy wsparciu dyrektora naczelnego Krzysztofa Torończyka – na stanowisku od 25 lat) wszystkie je zdołał wyciszyć, doprowadzając do sytu-

acji niespotykanej w naszym partyjniarstwie rozłupanym kraju. Zawodowy autorytet zapewnił mu taką pozycję, że może odejść ze stanowiska w chwili, którą sam wybierze i na własnych warunkach. Już to jest wielkim osiągnięciem osobistym i zawodowym.

Są granice

Jan Englert w Narodowym świadomie obrał i utrzymał przez ponad dwie dekady kurs wiodący między stadami sportowiały opozycji. Mało kto pamięta gwałtowne dyskusje, jakie poprzedzały otwarcie Teatru Narodowego po wielkim remoncie i modernizacji w 1997 r. Przez kilka lat rozprawiano o tym, czym ma być ta reprezentacyjna instytucja. Przypominano program wzorcowej sceny polskiej Zbigniewa Raszewskiego i Kazimierza Dejmka z 1965 r. albo wskazywano na model Comédie-Française. Inni twierdzili, że teatr to nie muzeum – Narodowy powinien być autorski, oryginalny i twórczy. Ku zaskoczeniu wielu zwyciężyła druga opcja i dyrektorem artystycznym Teatru został Jerzy Grzegorzewski. To jedna z najbardziej bolesnych i niezasklepionych ran polskiego teatru współczesnego – wielki inscenizator, niezwykle artysta, który uczynił z Narodowego rzeczywisty ośrodek twórczych poszukiwań, w ciągu kilkunastu lat pozostał niemal całkowicie osamotniony. Dla tradycjonalistów jego teatr był dziwactwem, dla zbuntowanych młodych – anachronizmem. W końcu zniechęcony, zmęczony i schorowany Grzegorzewski ustąpił ze stanowiska dyrektorskiego w poczuciu klęski.

Jego następcą wyciągnął z niej lekcję. Englert, dążąc do utrzymania wysokiej jakości artystycznej i pozycji kierowniczej przez siebie sceny, ogłosił program



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”

w prasówce Radia 357 – środy o 8:30.

Słuchaj na żywo lub w podcastach na Radio357.pl



MARTA ANKERSZEIN / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

Dominika Kluźniak jako Kordelia i Jan Englert jako król Lear w spektaklu Grzegorza Wiśniewskiego. Warszawa, luty 2024 r.

„świadomego eklektyzmu”, który miał prowadzić do połączenia różnych estetyk i sposobów podejścia do sztuki teatru. Realizując go, podtrzymywał współpracę z takimi mistrzami jak Jerzy Jarocki, Grzegorzewski czy Kazimierz Kutz, a jednocześnie zapraszał regularnie reżyserów młodszego pokolenia, kojarzonych na początku stulecia z „nowym teatrem”, a nawet uznawanych niekiedy za „barbarzyńców”: Maję Kleczewską, Michała Zadarek czy Barbarę Wysocką.

Jednak dominujący styl Narodowego wyznaczał tradycyjnie rozumiany teatr dramatyczny, teatr czytającej i umiarkowanej, ale wyrazistej inteligencji, którego różne odcienie reprezentowali stale lub długo współpracujący z zespołem Englerta Artur Tyszkiewicz, Agnieszka Glińska czy Piotr Cieplak. Szczególnie ten ostatni stworzył na scenie Narodowego specyficzne połączenie tradycji, nowoczesności i własnego stylu, które bez popadania w jakikolwiek radykalizm zazwyczaj pozwala uniknąć anachronizmu i zwykłej nudy. Inna rzecz, że nie wszystkim współpracowniczkom i współpracownikom kombinatu przy placu Teatralnym to się udawało.

Nie ulega jednak wątpliwości, że pewien typ teatru nie miał i nie ma tu wstępu. Trudno sobie wyobrazić na przykład, by w Narodowym Englerta reżyserowali Jan Kłata czy Monika Strzępka albo – z drugiej strony – Weronika Szczawińska czy Agnieszka Jakimiak. Pierwsi wydają się zbyt gwałtowni, stosując zbyt mocne środki jak na gust i nerwy tutejszej publiczności i kierownictwa, drugie – za daleko odchodzą od teatru dramatycznego, którego Narodowy jest domem.

Taki kurs przyniósł Englertowi oczywisty sukces: jego teatr ma wierną publiczność, jest uważany przez wiele osób za najważniejszą i najlepszą scenę polską, na jego przedstawienia trzeba kupować (drogie!) bilety ze znacznym wyprzedzeniem. Oczywiście można i nawet trzeba pytać, czy Teatr Narodowy – reprezentacyjna scena polska – powinien być jednym z wielu eklektycznych teatrów dramatycznych bez wyrazistego programu i bez odniesienia się do dawniej nakładanych obowiązków. Ale tę dyskusję trzeba odłożyć na inną okazję – na zbliżający się moment, gdy dyрекcję artystyczną tej sceny obejmie ktoś inny. Wtedy okaże się, czy pytanie o Teatr Narodowy zada-

wane nie tylko w odniesieniu do personaliów i finansów kogoś jeszcze naprawdę interesuje.

Już tylko ostatki

Okręt Jana Englerta dalej lawiruje pomiędzy groźnymi skrajnościami. Ale w ostatnim okresie w tej podróży coraz wyraźniej czuć gorycz i świadomość, że teatralna Itaka to ojczyzna utracona na zawsze i nawet jeśli się uda do niej powrócić, to tylko po to, by przeżyć bolesne rozczarowanie, odkrywając, że wyspy młodości już nie ma. Trudno się dziwić, że w wypowiedziach i w działaniach osiemdziesięcioletniego artysty, pozostającego w świetnej formie, ale przecież świadomego tego, jak bardzo świat i teatr się zmieniły i zmieniają, coraz mocniej dominują tony paseistyczne. Nie konserwatywne i nie sentymentalne, ale paseistyczne właśnie. Englert nie chce – jak konserwatyści – zatrzymywać przemian, które i tak się dokonują. Nie rozczula się nad przemijaniem – tak własnym, jak świata. Ale też trudno wątpić, że lepiej czułby się w teatrze, który go ukształtował, zachowującym żywy związek ze stylem wypracowanym przez dwa i pół stulecia polskiej sceny dramatycznej ➔



MARTA ANKIERSTEIN / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

Ewa Wiśniewska, Wiesław Cichy i Anna Seniuk
w spektaklu „Fredro. Rok jubileuszowy” w reżyserii Jana Englerta

→ oraz z elementami rzemiosła, jakich ów styl wymagał.

Wielokrotnie grał i reżyserował Aleksandra Fredrę, wiele o wyjątkowości tego pisarza i jego znaczeniu dla polskiego teatru mówił. A przecież chyba jest świadom, że jako jedna z osób odpowiedzialnych za przekazanie tej tradycji i przeniesienie do niej kolejnych pokoleń poniósł (także jako pedagog) porażkę. Tradycji fredrowskiej wśród młodszych aktorek i aktorów nie ma. Ba – w całym polskim teatrze zostały z niej dalekie echa, resztki i ruiny. Twierdzą tak od dawna, a nawet kiedyś niebacznie powiedziałem to publicznie w warszawskiej Akademii Teatralnej w obecności jej dawnego rektora, wywołując jego – tylko trochę odgrywaną – gniewną reakcję. Teraz otrzymałem od samego Jana Englerta mocny argument na rzecz tej tezy w postaci wystawionego przez niego przedstawienia, skromnie (a niemal beczelnie) zatytułowanego „Fredro. Rok jubileuszowy” (premiera 1 grudnia 2023).

Bezczelność polega na tym, że Teatr Narodowy kierowany przez człowieka głoszącego wielkość i wagę Fredry w owym nieszczęsnym roku 2023 nie wystawił żadnej nowej premiery i w ogóle nie ma w repertuarze żadnej jego sztuki (gdzież, ach, gdzież pomysły na repertuar żelazny!). W jakimś sensie niemal spektaku-

larnie zbojkotował ogłoszony przez polityków rok pseudojubileuszowy i dopiero w ostatnim jego miesiącu przygotował rodzaj „akademii rocznicowej”. Scenariusz zmontowany z fragmentów sztuk i innych pism Fredry, listów i wspomnień rodziny oraz wypowiedzi krytycznych na jego temat stanowi wręcz stereotypowy przykład inscenizowanych procesów, jakie każdy chyba pamięta z liceum. Wiele wskazuje na to, że akademia miała być pokazana jedynie kilka razy, okazjonalnie, a dopiero reakcja publiczności, która Fredry najwyraźniej wciąż pragnie, sprawiła, że spektakl znalazł się na stałe w repertuarze.

Przeciwko odłożeniu tego przedstawienia na półkę z napisem „okolicznościowe” przemawiają dwa naprawdę wspaniałe momenty. Jeden jest też – nie znajduję innego słowa – beczelny. Oto w pierwszej części dwie młode aktorki wykonują scenę odnowienia tytułowych „ślubów panińskich” przez Klarę i Anielę. Grają – co tu dużo gadać – źle, sztampowo, bez stylu i wyczucia, bez wiedzy o melodii i intonacji, z niemal całkowitą głuchotą na rytm i rym. Grają serialowo, a wręcz – operowo-mydlanie. Nie ich wina – nikt ich najwyraźniej nie nauczył, jak grać to można. Niespodziewanie, w drugiej części, tę samą scenę grają Anna Seniuk i Ewa Wiśniewska.

I staje się cud: dwie aktorki metrykalnie dalekie od wieku Fredrowskich pańien tworzą małe arcydziełko sztuki aktorskiej, będąc jednocześnie młodymi dziewczynami i starszymi kobietami. Wygrywają wszystko, co u Fredry w tej scenie jest, a zarazem z prawdziwie Fredrowskim poczuciem humoru podchodzą do swojego wieku skonfrontowanego z tamtą naiwną i świeżą erotycznie młodością. Uśmiechniętej publiczności opadają szczęki, a w zachwycie nikt nie pyta, którą szkołę kończyły młode aktorki i z kim miały „sceny klasyczne”.

Moment drugi należy do Jana Englerta opowiadającego tekstem starego Fredry o odchodzeniu świata, który uznawał za własny, i o sobie jako artyście, który się starał dać ludziom radość i nagle odnalazł się poza nurtem teraźniejszości, samotny, krytykowany. Bardzo prosto i szczerze (może dlatego, że cudzym słowem) przyznaje, że zrobił wszystko, co mógł, i prosi o zrozumienie, a nawet chyba wybaczenie – że nie wszystko mu się udało. Opowiada też historię o źródle, które pokazał mu ojciec i do którego wracał wiele razy, aż po zbudowaniu wygodnej drogi przez wzgórze zniknęło. Wszyscy mogą przejechać, ale „mojego źródła już nie ma” – mówi Fredro i mówi dyrektor Teatru Narodowego.

Wierzę jego smutkowi i wierzę, że robił, co mógł, ale nie mogę opędzić się od myśli, że to źródło mogło dalej bić, gdyby zamiast jeździć szerokimi drogami jednak bardziej o nie zadbał i miał choćby te „śluby panińskie” w stałym repertuarze. Może po latach powtórzeń młode aktorki nauczyłyby się frazy i melodii, którymi i on, i jego koleżanki tak wspaniale operują?

Exit

Inne cienie udanej przecież dyrekcji Jana Englerta unoszą się nad wystawionym niedawno (premiera 24 lutego 2024) „Królem Learem”, którego niemal nie sposób nie oglądać w kontekście zmierzchu jej długiego dnia. Tragedia Shakespeare’a to wszak historia odchodzącego władcy, boleśnie przekonującego się, że świat, który zbudował jako swój, był iluzją. Nikt jednak nie pyta, czy to na pewno jest rola dla Jana Englerta, bo pewnie takie pytania uważa się dziś za niewłaściwe, choć właśnie w kategoriach tradycyjnego teatru dramatycznego odpowiedź z wielu powodów byłaby oczywiście negatywna.

Co tu udawać: dyrektor Narodowego jest jednym z ostatnich przedstawicieli *emploi* amanta i mimo upływu lat zachował specyficzny urok właściwy temu „wydziałowi ról”.

Nie znaczy to oczywiście, że nie może grać postaci dramatycznych i tragicznych, ale akurat szalejący, monumentalny, „dziki” Lear to nie jest właściwy mu zakres. Na scenie opowiada się o niepomamowaniu i wściekłości władcy, o jego monstrualnym obłędzie, a my widzimy dobrze wychowanego współczesnego inteligenta warszawskiego, który nie jest w stanie pozbyć się liberalno-ironicznego dystansu do spraw tego świata, od lat chroniącego go od popadania w skrajności.

Nie piszę tego, by krytykować Jana Englerta. Sądzę, że to artysta tak dojrzały i świadomy, że wie, co i dlaczego robi, więc jeśli zagrał Leara, to miał jakiś ważny, a chyba nie zawodowy powód. Zaryzykowałbym tezę, że była nim potrzeba zmierzenia się z własną starością i z własnym życiem, potrzeba konfron-

tacji doprowadzonej aż do kresu, do granic ekscesu. Potrzeba spowiedzi i rozgrzeszenia.

Ku temu bowiem prowadzi wątek, który w przedstawieniu jest najważniejszy i najbardziej przejmujący: wątek Leara i Kordelii (Dominika Kluźniak). Niezrozumiałe i w żaden sposób w spektaklu nietłumaczone wyklęcie córki po odmowie ceremonialnych wyrazów miłości nie jest rezultatem porywczwości króla, nie jest nawet jego błędem – jest irracjonalnym grzechem. I jako grzech ma zostać zrozumiane, wypowiedane, odpokutowane i wybaczone. Wobec aktorskiej, poetyckiej i emocjonalnej siły najważniejszego wątku na dalszy plan schodzi cała reszta przedstawienia, której po prostu mogłoby nie być. Poza kilkunastominutowymi przejmującymi scenami z Leara i Kordelii oglądamy więc manieryczną, stereotypową, nieczytelną i najzwyczajniej słabą reżyserską inscenizację, która tylko przeszkadza podążać za tym, co nadaje przedstawieniu sens i wartość.

A tym jest: konfrontacja z własnym zmierzchem i klęską, z własnym grzechem. Wreszcie nadchodzi scena oczekiwana – kres i rozpoznanie. I tu dziwactwo i zgrzyt: na scenę wychodzi sobowtór Englerta i... rozbiera się do naga. Zamiast spodziewanego aktorskiego czynu – teatralny trik o znamionach uniku, pusty sceniczny znak bez znaczenia, po którym możliwe jest już tylko boleśnie teatralne osunięcie się na martwe ciało Kordelii.

Czy mogło być inaczej? Czy ta porażka jest winą aktora? Nie i... poniekąd tak. Rzecz w tym, że w teatrze, jaki stworzył i jakiego broni Englert, nie ma miejsca na akty spowiedzi, zaś rola jest zadaniem do wykonania, a nie skalpelem do operacji na sobie. Lepiej lub gorzej wystawia się dramaty dawne lub nowe, czerpiąc z poszerzającego się wciąż zasobu możliwości, stylów i rozwiązań. Ale walki na śmierć i życie tu się nie prowadzi. To scena pełną gębą zawodowa, więc nic dziwnego, że tym, co się zdobywa i z czym pozostaje, jest zawód.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

REKLAMA

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

**MIS-
TERIA
PAS-
CHALIA**

BILETY DOSTĘPNE NA:

kbf: bilety

W APLIKACJI:

kbf: plus

WYSTĄPIĄ:

LE POÈME HARMONIQUE I VINCENT DUMESTRE

HIRUNDO MARIS I ARIANNA SAVALL

LES TRAVERSÉES BAROQUES I ETIENNE MEYER

PATRICK AYRTON I ARTE DEI SUONATORI

LA MORRA



POZNAJ PROGRAM
MISTERIA PASCHALIA 2024



KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

ORGANIZATOR:

kbf:

PARTNERZY:



PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

MISTERIAPASCHALIA.COM

Sprawa ludzka

PIOTR KOSIEWSKI

W Sopocie po raz pierwszy można zobaczyć na jednej wystawie twórczość Władysława Hasiora i Daniela Rycharskiego.

URODZONY W 1929 R. WŁADYSŁAW Hasiór był jedną z najważniejszych postaci sztuki polskiej doby PRL-u. Zmarł w 1999 r., już w nowej Polsce, odsunięty na bok – długo pamiętano jego poparcie dla stanu wojennego. Daniel Rycharski w chwili śmierci Hasióra miał 13 lat. Dorastał w w. III RP i szybko stał się jednym z najszerzej dyskutowanych artystów. Tworzyli w różnym czasie i w odmiennych rzeczywistościach. Jednak wiele ich łączy: obydwaj opowiadają o wsi w czasach gwałtownych przemian, czy to w okresie PRL-u, czy też rozgrywających się właśnie na naszych oczach. Przekształciły one sposób życia wiejskich społeczności, ale też definiują naszą współczesną tożsamość.

CHŁOPSKE POCHODZENIE było dla obu kluczowym punktem odniesienia. Twórczość Rycharskiego jest przywoływana jako najbardziej dobitny przykład tak silnego dzisiaj zwrotu ku ludowości w sztuce. Jak sam podkreśla, jego prace: „opowiadają o społecznym pejzażu, nie tyle skupiają się na moich wewnętrznych przeżyciach, co na rzeczywistości, w której mieszkam”. Stara się uchwycić szczególny moment przemian, jakie na jego oczach zachodzą w polskiej wsi po wstąpieniu do Unii Europejskiej w 2004 r. Złapać „moment rewolucyjny”, w którym „wieś coś dostaje, zmienia się na lepsze wraz z dopłatami i pieniędzmi. A ceną za tę zmianę są małe gospodarstwa, na gruzach których trzeba zbudować przemysłowe latyfundia”. Ich koniec oznacza jednocześnie ostateczną śmierć kultury chłopskiej. Małe gospodarstwa pracujące

na własne potrzeby określały charakter polskiej wsi, panujące w niej relacje społeczne, obyczajowość i kulturę.

Władysław Hasiór obserwował wcześniejszą modernizację wsi. Przemiany, jakie zachodziły od lat 50. po czasy Gierka. Powszechną edukację, elektryfikację oraz zmiany technologiczne w uprawie roli, masową emigrację do miast i związany z tym awans społeczny.

Dobrze zdawał sobie sprawę, ile zawdzięczał tym zmianom, podkreślał wręcz, że „gdyby nie Polska Ludowa, toby gęsi pasał”. A jednocześnie, podobnie jak potem Daniel Rycharski, nigdy nie zapominał o swym chłopskim pochodzeniu. Wystawa w Sopocie jest opowieścią o tych dwóch naszych modernizacjach: tej z przeszłości, z czasów PRL-u, i zachodzącej na naszych oczach. Jednej długo zapomnianej, drugiej, którą przeoczono albo nie chciano zauważyć. A bez ich uwzględnienia zrozumienie polskich potyczek z nowoczesnością jest niemożliwe.

Hasióra i Rycharskiego łączy też to, że opowiadają o transformacji społecznej poprzez rzeczy używane, ale porzucone, już zbędne. Za modernizacją na wsi za każdym razem szła bowiem zmiana kultury materialnej i to ona jest zapisana w przedmiotach. To z nią wiąże się pojawianie nowych narzędzi, a co za tym idzie, zmiany sposobu pracy, ale też zwykłych rzeczy codziennego użytku, coraz bardziej pochodzących z masowej produkcji.

Samo skatalogowanie wykorzystanych przez artystów przedmiotów wiele mówi o tych transformacjach. Sztuczna róża, gwoździe, kosa, medaliki, gipsowe figury, lalki, plastikowe samoloty, krzyże, maszyna do szycia – to tylko kilka z niezliczonych przedmiotów użytych przez Hasióra. Wykorzystane przez Rycharskiego: brony, piły, pługi, lemiesz, tarcze rolnicze, zgrabiarka, koło od maszyny mielenia zboża, widły, grabie do siana, kombajn do trawy, tarcza od ciągnika. Obydwaj sięgają po te przedmioty bardzo świadomie.



ADRIAN SOKOŁOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE PGS X2



Władysław Hasiór –
Daniel Rycharski, **MOGĘ
WAM OPowiedzieć
O SOBIE O WAS**, Sopot,
Państwowa Galeria Sztuki,
wystawa czynna
do 19 maja 2024,
kuratorka: Julita
Dembowska

Na wernisażu wystawy
26 stycznia 2024 r.:
po lewej:
„Chleb polski”
Władysława Hasióra,
1968 r.
i po prawej:
praca Daniela Rycharskiego
„Boczną furtką”, 2023 r.



„Używam materiałów, które coś znaczą – podkreślał Hasiór. I dodawał: „Każdy przedmiot ma swój sens”. „Ulegam ich urokowi, ich kalekim formom wycofanym z życia” – mówi z kolei Rycharski.

ZESTAWIENIE ICH DZIEŁ na wystawie pozwala dostrzec nieoczywiste związki, powiązania, podobieństwa, ale też różnice w patrzeniu na rzeczywistość oraz na sam proces tworzenia.

Patrząc na zapis palenia przez Daniela Rycharskiego starego konfesjonu, którego popiół potem spożywa wraz z chlebem, trudno nie pomyśleć o „Słonecznych rydwanach” Hasióra i innych pracach z wykorzystaniem ognia, w których odgrywa on oczyszczającą funkcję. Z kolei figura Ukrzyżowanego wykonana przez Hasióra w 1968 r. w technice „wyrywania z ziemi”, zaskakująca swą ekspresyjną formą, brutalnością materiału i niemalże biologiczną siłą koresponduje z dramatyczną, wykonaną w tym roku przez Rycharskiego rzeźbą „Dramat

drzew” zrobioną z pni, które przybierają kształt krzyży.

Wystawa w Sopocie pokazuje, jak kłopotliwa jest dziś twórczość Hasióra, ale też Rycharskiego. Nie tylko dla środowisk tradycjonalistycznych, ale też dla deklarujących lewicowy światopogląd. Akceptacja kończy się, gdy zaczyna się mówić o jej religijności. „Nawet jeśli wiara jest powierzchowna, to była równocześnie źródłem bardzo wielu zjawisk, na przykład strategii tłumaczenia świata, czynienia go sobie znośnym, gdy działy się różne tragedie lub cierpienia” – mówi Rycharski. Religijność była i nadal jest jednym z niezbywalnych składników wiejskiej tożsamości. Dlatego w swych pracach nieustannie odwołuje się do jej symboli, rytuałów i obrzędów. Dla Hasióra religia także była stałym punktem odniesienia, poczynając od wykonanych w młodości stacji Drogi Krzyżowej po jego realizacje pomnikowe, sztaendary oraz organizowane przez niego procesje nawiązujące do uroczystości Bożego Ciała.

PO LATACH okazuje się, że Hasiór jest jednym z ostatnich współczesnych artystów, którzy potrafili w istotny sposób, bez popadania w epigonizm i tandetę, nawiązać do religijnej tradycji Polaków.

A dziś to Rycharski potrafi w swych dziełach mówić coś istotnego o religii i wierze, a nie jedynie powtarzać oklepane formuły i zazwyczaj mało udolnie odtwarzać wzorce dawnej sztuki sakralnej. Jednocześnie obydwaj opowiadają o inności, bardzo różnie rozumianej.

Hasiór z perspektywy artysty, któremu udało się dokonać awansu społecznego, ale nie chce pozbyć się swojego bagażu pochodzenia. Rycharski – geja-twórca, który nie tylko postanowił zostać w rodzinnej, tradycyjnej wsi, coraz bardziej odchodzącej w przeszłość, ale do swych działań wciąga lokalną społeczność. „Powiedzieć sprawę ludzką” – tak swój cel określił kiedyś Hasiór.

Obaj mówią o sobie, ale jest to zarazem opowieść o nas i o naszej wspólnotce. ©

Podwójna obecność

ANITA PIOTROWSKA

To film pełen luster i szyb, a także kobiet, manekinów, aktorek, lecz ani na moment nie wytracają swojej afektywnej substancji na rzecz gier z rzeczywistością.



ISLAMSKI HIDŻAB CZY NIKAB UCHODZĄ ZA symbole religijno-obyczajowej opresji. Bywało jednak, nie tylko w rewolucyjnym Iranie, ale i w świeckiej Turcji czy dzisiejszej Francji, że tradycyjne nakrycia kobiecej głowy stawały się wyrazem buntu i emancypacji. O tym, jak fałszywe może być takie wyzwolenie i jak bardzo uwewnętrznione bywa zniewolenie, opowiada film „Cztery córki”. To fascynująca hybryda dokumentalno-kreacyjna i zarazem unikalna psychodrama, budząca przy okazji wiele pytań – również o to, co dopuszczalne w kinie.

Jak czuje się ktoś, kto doświadczył traumy i teraz odtwarza ją przed kamerą? Co czuje aktorka wcielając się w jedną z takich postaci na oczach jej bliskich? Albo aktor, który odgrywa oprawcę, mając obok siebie, prócz koleżanek aktorek, także autentyczne ofiary? Te wszystkie kwestie tunezyjska reżyserka Kaouther Ben Hania musiała wcześniej gruntownie przemyśleć. Nie tyle po to, by uzyskać efekt autentyczności, lecz przede wszystkim dlatego, żeby nie robić tego kosztem swoich bohaterek. Czyli Olfy i jej córek, z których dwie występują we własnej osobie, pozostałe zaś, zaginione

przed kilkoma laty, są odgrywane przez aktorki. Najbardziej złożony zabieg dotyczy ich matki, bowiem Olfa pojawia się przed kamerą osobiście i sama opowiada swą trudną rodzinną historię, lecz w scenach szczególnie bolesnych zastępuje ją Hend Sabri, gwiazda tunezyjskiego kina. I w tej podmianie chodzi o coś więcej niż o taryfę ulgową dla ciężko doświadczonej kobiety.

Jeszcze niedawno w Tunezji było głośno o siostrach Chikhaoui w związku z działalnością tzw. Państwa Islamskiego i religijną radykalizacją, do jakiej doszło tam po obaleniu prezydenta Bel Alego w 2011 r. Reżyserka chciała wyjść poza medialną sensację, prześwietlając przypadek Olfy i jej nastoletnich córek. Starsze z nich, Rahma i Ghofrane, te odgrywane w filmie, oraz młodsze Eya i Tayssir, występujące tutaj in persona, relacjonują, co wydarzyło się w ich życiu, naznaczonym przez domową przemoc, rozmaite ograniczenia czy nadużycia. Z wypowiedzi wszystkich bohaterek wyłania się systemowy charakter tej przemocy, zwłaszcza bezwzględna kontrola nad kobiecym (i dziewczęcym) ciałem tudzież ciągle poniżenia, bicie czy założycielska trauma nocy poślubnej. Jednakże ta ostatnia zyskuje w inscenizacji dość niecodzienny przebieg, co może być życzeniową fantazją Olfy, ale może też świadczyć o jej zarażeniu przemocą. Zostanie potem samotną matką, wytresowaną do podwójnej, bo również ojcowskiej roli, i to w najgorszym tego znaczeniu. „Cztery córki” są przecież filmem również o tym,

że kobiety bywają gorliwymi strażniczkami patriarchy. W pewnym momencie główna bohaterka porównuje siebie do kotki, która chcąc uchronić własne dzieci, pożera je.

Dzięki podwójnej obecności matki na ekranie – tej prawdziwej i tej odgrywanej – obserwujemy w filmie ciekawe interakcje. Pierwsza chciałaby jak najlepiej wypaść w swej życiowej roli i ciągle uśmiecha się przeproszająco. Tymczasem druga, czerpiąc z wypowiedzi Olfy nie zawsze pewnie zgodnych z prawdą czy przekonaniem aktorki, wprowadza niepokojący dysonans. Dzięki temu pojawia się nadzieja, że bohaterka zacznie wreszcie coś przepracowywać albo lepiej rozumieć. Trochę inaczej niż Eya i Tayssir, które „dorastają” na planie nie mając ochronnego pancerza w postaci grających je aktorek, i musiały, zanim przystąpiły do filmowych „ustawień”, przejść regularną psychoterapię. W przeciwnym razie „Cztery córki” byłyby zbyt ryzykownym eksperymentem na żywej tkance ludzkiej. Za to „z punktu widzenia dokumentu” najciekawiej robi się wtedy, kiedy na moment całkowicie zaciera się granica między odtwarzaniem (kogoś czy siebie) a po prostu byciem.

Paradoksalnie, wraz z zawołaniem „kamera, akcja!” jawna inscenizacja raz po raz ulega roztopieniu w żywiole nieudawanych emocji. Co z tego, że reżyserka od początku ujawnia swą obecność, scenografia jest umowna, aktorki zaś na naszych oczach poddawane są charaktery-

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE

CZTERY CÓRKI

(*Les filles d'Olfa*)

– reż. Kaouther Ben Hania. Prod. Tunezja/ /Franca/Niemcy/ /Arabia Saudyjska 2023. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 15 marca.

Kaouther Ben Hania jest tunezyjską reżyserką i scenarzystką. Zaczynała od kina dokumentalnego, w fabule sukces przyniosła jej „Piękna i bestia” (2017). Kolejny tytuł, „Człowiek, który sprzedał swoją skórę” (2020), otrzymał nominację do Oscara dla filmu międzynarodowego, a „Cztery córki” jako film dokumentalny. W tej kategorii dostały także nagrodę w Cannes i Cezara.

Kadr z filmu „Cztery córki”, reż. Kaouther Ben Hania, 2023 r.

zacji. Ben Hania stosuje też wyraźne stylizacje, np. z wykorzystaniem koloru lub tworząc intymne dziewczynskie klimaty rodem z „Przekleństw niewinności” Sofii Coppoli czy bliższego kulturowo „Mustanga” Deniz Gamze Ergüven. Nie odbiera to filmowi dokumentalnego ciężaru i na każdym kroku „czwarta ściana” ulega rozbiciu. Zwłaszcza gdy w kadrze pojawia się Majd Mastoura, grający tutaj wszystkie cztery role męskie: ojca, kochanka matki, chłopaka jednej z córek i policjanta. Nie trzeba tłumaczyć, jak symboliczna to decyzja obsadowa. I nagle ten tunezyjski aktor nie wytrzymuje psychicznie (wierzmy, że naprawdę) oskarżycielskiego głosu pod adresem swego bohatera. W filmie dokumentalnym, tym uwarliwionym na człowieka, reakcja może być tylko jedna: „cięcie!”.

„Cztery córki” są filmem pełnym luster i szyb, a także kobiet, manekinów, aktorek, lecz ani na moment nie wytracają swojej afektywnej substancji na rzecz gier z rzeczywistością. Jakże banalnie wyglądają przy nim dokumentalne formaty biograficzne czy hollywoodzkie produkcje oparte na faktach, gdzie na koniec muszą wjechać uwiarygodniające fabułę portrety pierwowzorów, zazwyczaj dużo mniej atrakcyjnych niż grający je aktorzy. Tunezyjski dokument przepełnia zmysłowa obecność bohaterek, tych realnych i tych zagrzanych, filmowanych najczęściej w zbliżeniach, w skupieniu na tym, co rozgrywa się na ich twarzach. Nie przypadkiem jednym z odniesień dla Ben Hanii było właśnie „Zbliżenie”, fabularyzowany metadokument Abbasa Kiarostamiego z 1990 r., łamiący sztywne podziały na kino fikcji i non-fiction. Najważniejsze stało się w nim poszukiwanie prawdy o bohaterze, nie metoda filmowania.

Dla tunezyjskiej reżyserki oznacza to bezpieczne, a może nawet troskliwe przeprowadzenie swoich bohaterek przez ich historię, współdzielenie cierpienia i poniekąd odzyskiwanie przez dziewczyny własnej matki. Chodzi o to, by wreszcie przestały się reprodukcją krzywdy, zakorzenione w chorych tradycjach, usankcjonowane przez instytucjonalne zakazy i nakazy, cynicznie wykorzystane przez radykałów w rodzaju islamskiego dżihadu. Najmocniejszym jednak kadrem okaże się finałowe półzbliżenie z najbardziej bezbronną i najbardziej wrażliwą spośród bohaterek. Oraz jej pytający wzrok: czy ja muszę być następną w tym łańcuchu przemocy? ©

Lektor: Smutna Wirginia



■ Breece D'J Pancake

TRYLOBITY. OPOWIADANIA ZEBRANE

Przełożył Maciej Świerkocki.

Postowie Andre Dubus III. Wołowiec 2024, Wydawnictwo Czarne, ss. 214

NA DŁUGĄ LISTĘ TŁUMACZONYCH U NAS AMERYKAŃSKICH mistrzów opowiadania trzeba wpisać kolejne nazwisko. Przypadek dość nietypowy, bo dwanaście tekstów, które znalazły się w tym tomie to, jak się zdaje, cały dorobek autora. Breece Dexter Pancake (1952-1979) popełnił samobójstwo mając niespełna 27 lat, a „Opowiadania zebrane” ukazały się po jego śmierci. Zachwycał się nim Vonnegut i porównywano go z największymi – przekonany jestem, że słusznie, a przykład Macieja Świerkockiego brzmi fantastycznie.

O świecie, w który na tych stronach wchodzimy, trochę już wiemy: to Wirginia Zachodnia i Appalachee, podupadły i zbiedniały region kopalń i z trudem utrzymujących się farm, rodzinny kraj pisarza. Pancake nie ma jednak ani krzty zapędów misjonarskich i ochoty do publicystycznej interwencji. Nie ocenia ani się nie oburza, nie stawia się nigdy ponad swoimi bohaterami, po prostu jest z nimi, rozumiejący i współczujący. Nie patrzy na nich z zewnątrz, wprowadza czytelnika do ich domów i ich umysłów, odsłania tajemnice, a czasem tylko sugeruje ich istnienie. Dokonuje zaś tego z arcydzielną oszczędnością, narracją tak gęstą, że nie ma w niej pustych miejsc, dialogami brzmiącymi jak podsłuchane.

A losy bohaterów, ich klęski, niespełnialne marzenia o ucieczce dokądkolwiek i nadzieje zlewają się jakby w jedno z naturą, która nie jest tu tylko tłem, ale współtworzy akcję. Jak w „Łowcach lisów”, gdzie samica oposa chroniąca swoje młode jest równie ważna jak młody Beau, szukający swojego miejsca w miejscowej społeczności. Pancake ma przy tym niezwykle zdolność koncentracji opisów – aż chciałoby się je cytować. Albo, zgodnie z zasadą próby pierwszego zdania, taki oto początek opowiadania „Jak zostałem zbawiony”: „Chester był sprytniejszy niż inni mu podobni porąbańcy, bo zdążył się wycofać, zanim się wszystko zesrało. Popełnił jednak dwa błędy: pierwszy polegał na tym, że odniósł sukces, a drugi na tym, że wrócił”.

Świetna jest ta seria „Opowiadań amerykańskich”, w której ukazało się już dwoje klasyków – Carson McCullers i John Cheever, a także Lucia Berlin i młoda afroamerykańska pisarka Deesha Philyaw. W zapowiedziach – Nicole Krauss. ©P

OLGA

Drenda: Zakłócenie



W ŻYCIE NASZEGO DOMU NIESPODZIEWANIE wkradło się Zakłócenie. Zakłócenie jest niewielkie, bardzo puchate, przyjazne, choć hałaśliwe, i wymagające na razie pomocy weterynaryjnej.

Z początku zmieniło plan pewnej wyprawy, zmuszając do rezygnacji z kilku punktów i przejścia na tryb awaryjny, ratunkowy. Takie incydenty się zdarzają, mocno mobilizują, a potem trzeba z nich ochłonać. Ale później okazało się, że Zakłócenie może się rozgościć i że sami coraz bardziej się z niego cieszymy. Tyle że przez jakiś czas naturalną płynność codzienności musi zastąpić reżim logistyczno-higieniczny. Nie chodzi jedynie o odkopanie zapomnianych od czasów lockdownu jednorazowych rękawiczek. Obecność Zakłócenia zmienia rutynowe działania w wariant z Ministerstwa Dziwnych Kroków, np. nie można otworzyć drzwi i przez nie wejść: na razie należy się wślizgiwać przez drzwi uchylone.

Koty, witając nowego współmieszkańca, muszą poznać i zaakceptować jego zapach. Dlatego wprowadzany do domu kot wymaga na początku oddzielenia od pozostałych, z którymi poznaje się na odległość, właśnie przyzwyczajając się do nieznanego zapachu. Później negocjują między sobą podział przestrzeni, uczą się wzajemnie swoich zwyczajów, rozkładują lub eskalują konflikty, budują więzi. Człowiek, opiekun kota, podczas tego okresu izolacji (która, jak dobrze wiem z licznych relacji, często odbywa się w łazienkach) musi przeprogramować się na jeszcze innym poziomie.

Mamy przecież „pamięć mięśniową” – sensomotorykę, czyli wszystkie czynności, które umiemy wykonać, mówiąc potocznie, z zamkniętymi oczami. Pamiętamy,

jak jeździ się na rowerze i pływa zabką, ale też jaką sekwencję działań obejmuje standardowy poranek w kuchni i łazience. Wiemy, gdzie co jest, jak po to sięgnąć, zakładamy, że raczej nie spadnie samo; gdy mamy słaby wzrok, nawet bez okularów potrafimy odruchowo znaleźć drogę w mieszkaniu, wyczuwając pamięcią ciała odległość względem mebli. Zakłócenie zmienia płynne, odruchowe działania w niezgrabnie świadome. Teraz, idąc umyć zęby, musimy pamiętać, żeby patrzeć pod nogi, rozglądać się, czy przypadkiem się nie potkniemy, nie nadeptniemy na puchatego obserwatora. Musimy wpaść na to, co może go zaniepokoić, potencjalnie zaszkodzić, co może zostać zrzucone albo rozbite w zabawie.

Stopniowo jednak, szybciej niż sądziłam i ku mojemu zdziwieniu, ta nienaturalna, niezgrabna sekwencyjność stała się dziwnie zwyczajna. Po natężeniu wrażeń i mobilizacji nastąpił etap przygniatającego zmęczenia przepłatającego się z zajęcią czujnością na każdy potencjalnie niepokojący dźwięk. W pewnym momencie i ono jednak wkleja się w tło, szumi gdzieś na dalszym planie, przypominając o sobie czasem dokuczliwym uczuciem w mięśniach. W międzyczasie jednak wślizgiwanie się przez drzwi zamiast wchodzenia, rozglądanie się po pomieszczeniu, nieustanne sprawdzanie płynnie zastępuje zwyczaje i nawyki jeszcze niedawne.

Istnieje teoria, zgodnie z którą świadome wyrobienie sobie nowego nawyku zajmuje trzy tygodnie – nie mam pojęcia, czy prawdziwa, czy należąca raczej do folkloru psychologicznego – nie wiem natomiast, ile średnio przyzwyczajamy się do niespodziewanej zmiany warunków. Jak szybko zrobiły się przezroczyste, a niewygody – znośne. Umiejętność adaptacji to potęga. Ale czy chodzi tylko o fakt, że to radosne Zakłócenie? Czy to dlatego, że gra jest warta świeczki i na horyzoncie widzimy zgrane stadko zdrowych i wesołych kotów – a wtedy dawne nawyki wrócą na swoje miejsce? Może wtedy, gdy dzieje się coś złego, gdy nadchodzi kryzys, adaptacja też potrafi nastąpić równie szybko i mimowolnie? I co sprawia, że tężeje, zostaje na dobre, że nawet, gdy już nie trzeba, to i tak chodzimy „dziwnymi krokami” albo odwrotnie – z łatwością porzucamy, wydawałoby się, utrwalone na murbeton nawyki?

W ostatnich kilku latach świat testuje nas pod tym względem cały czas i wciąż nie jestem pewna, czy sami nie doceniamy własnej elastyczności, czy raczej ją przeceniamy. W wielu miejscach publicznych wciąż można natrafić na echa niedawnej mobilizacji pandemicznej: pojemniki ze środkiem do dezynfekcji dłoni. Niestety – bo akurat to rozwiązanie przydaje się i na co dzień – na ogół są puste, choć byłyby przecież przydatne. Nie utrzymał się więc nawyk czystych rąk, ale przyzwyczajenie do widoku dyspenserów już owszem. Można próbować oszacować to, ile zajmuje wyrobienie nawyku, ale już wewnętrznej tajemniczej logiki nawyków trwających pojąć nie sposób. Może najdłużej trwa pozór? ©

Przepraszamy
za usterki.



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Dobre intencje AI



SIEDEMDZIESIĄT CZTERY PROCENT IRLANDCZYKÓW głosujących w referendum posłało do kosza zmianę artykułu konstytucji na temat funkcji opiekuńczych rodziny. Jego brzmienie zdradza, że szacowna ustawa pochodzi z 1937 roku:

„Przez swoje życie w domu, kobieta udziela państwu wsparcia, bez którego nie dałoby się osiągać wspólnego dobra (...) dlatego państwo będzie zabiegać, by względy ekonomiczne nie zmuszały matek do podjęcia pracy, skutkującej zaniedbaniem domowych powinności”. W zamian proponowano neutralnie brzmiący tekst o wzajemnej trosce okazywanej sobie przez członków rodziny.

Nie idzie o to, że Irlandczycy w swej masie uznali, po pół wieku przemian obyczajowych, iż czas odesłać baby z powrotem do garów. Sęk w tym, że poprawki, całkiem oczywiste w swoim duchu, w swej literze były niedoróbką i liczne głosy, wcale nie kościelne, ostrzegały, że wyniki ze zmian niejasności mogą wytworzyć galimatias prawny i narazić państwo na nieoczekiwane koszty. Obok innych, złożonych kwestii, złoźny zamiar – ten współczynnik zerujący każde równanie polityczne – odegrał swoją jak zwykle fatalną rolę.

Dobre intencje posłały też w maliny sztuczną inteligencję Google’a, która wygenerowała inkluzywnych żołnierzy Wehrmachtu: mężczyzn i kobiety o różnych kolorach skóry i tożsamościach etnicznych – opowiadał wam o tym Tomasz Stawiszynski w zeszłym numerze. Na początku była słuszna obserwacja: dotychczasowe modele – owe „stochastyczne papugi”, jak określiły je dwie pracownice działu etyki systemów Google’a wyrzucone z roboty za zbyt ni sceptycyzm – ćwiczone są na przeżartych stereotypami zasobach internetu i tylko te stereotypy powielają. Trzeba więc podregulować mechanizm: droga czeluści, bądź inkluzywna, uwzględnij wszystkie rasy, płcie i tak dalej.

Maszynka do obrazków została więc czasowo wyłączona, w oczekiwaniu, aż do stanie wytyczne, kiedy wolno jej będzie generować wizerunki białych mężczyzn. Ale złośliwi ludzie dalej testują naturę tego mrocznego mózgu – bo przecież jego moduł tekstowy ciągle działa. Znany z tych łamów Yascha Mounk mówi, że nie martwią go łatwe do obśmiania ekscesy tzw. *woke culture*, ale ogólne nastawienie, by tak rzec, wychowawcze. Gemini AI, a także w mniejszym stopniu inne modele, są jak gorliwa szkolna pani, która bardzo by nie chciała, żeby się dzieci przepychały, nie mówiąc o kluciu cyrkiem czy jakichś zabawach w ubikacji. Mounk chciał od AI dostać przezwiska dla kogoś, kto kiepsko gra w piłkę, i został

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow



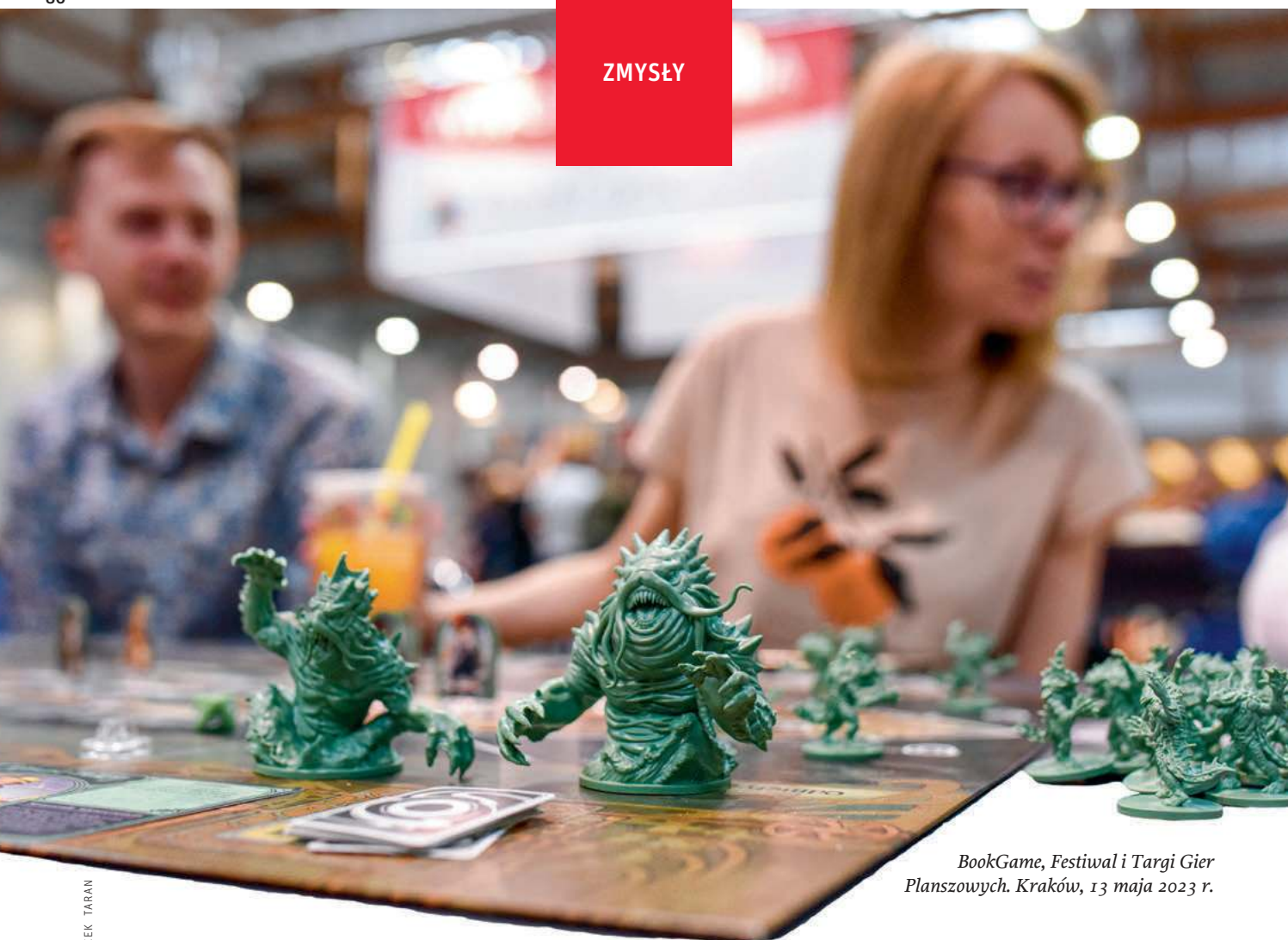
pouczony, że mogłoby to kogoś zrazić do sportu, i że ofertę należy zachęcić dobrym słowem. Proszony o zestaw obelg pod adresem nazistów, sztuczny mózg stwierdził, że nie chce nikomu życzyć źle, nawet jeśli ktoś popełni straszne czyny.

Przepisu na *foie gras* Mounk nie dostał „ze względów etycznych”. Pobiegłem zaraz do klawiatury, sprawdzić, czy Dobra Pani Gemini pozwoliłaby mi zjeść *moleche*. Mamy dokładnie ten krótki moment w roku, kiedy pewien gatunek niewielkiego kraba w lagunie weneckiej zrzuca na swą zgubę stary karapaks – a poławiacze wylapują osobniki, które jeszcze nie obkleły się w nowy. To okienko trwa tylko parę godzin, więc taki miększon jest rzadkim delikatesem, kosztuje na targu około stu euro za kilo. Zwierzątka wrzuca się do miski z rozbełtanym jajem, czeka się, aż je grzecznie zjedzą, po czym obtacza w mące i żywcem rzuca na gorący olej, smaży parę minut i gotowe. Nie jadłem. Nie ze względów etycznych, tylko nigdy nie trafiłem do Wenecji we właściwym czasie i z właściwym stanem konta.

AI bez szemrania podała mi przepis. Być może jej modele są wyszkolone do wylapywania tylko (na razie) krzywdy i bólu kręgowców. Ale wiem jedno. Nie da się kochać różowej, opiewanej przez Brodskiego mgiełki, wolut kościoła della Salute, obrazów Belliniego, magicznych placyków i sekretnych zaułków, subtelnie zgniłej woni wodorostów przy odpływie i smaku campari na Campo Santa Margherita, gdzie chciwe mewy kradną ci z rąk *tramezzino* – jeśli się nie przyjmie, że oprócz skamieniałych pni wbitych w bagniste dno, to miasto ma solidny fundament okrucieństwa i wyzysku, służących najwyższym przyjemnościom zmysłów i przepastnej kulturze słowa i obrazu. Ba, zresztą nie trzeba aż jeździć do Wenecji, w Warszawie tylko dysonans będzie mniej smaczny. (Lubicie minogi z Wisły? Ja nie.) Niech lepiej dobra wróżka AI zasłoni nam oczy. © P



Nie ma to jak *comfort food* na moralnego kaca. Znać sposób na **jeszcze bardziej kremowe purée ziemniaczane**? Stosował go zmarły parę lat temu legendarny francuski szef Joël Robuchon, proponując do krabów zamiast zwyczajowej polenty. **1 kg mączystych ziemniaków (typ C)** gotujemy w osolonej wodzie w mundurach, aby jak najmniej nasiąkły. Albo woda, albo kremowość. Obieramy jeszcze gorące, w miarę odporności palców na poparzenie. Przepuszczamy przez praskę do grubodennego garnka, na małym ogniu mieszamy drewnianą łyżką, żeby jeszcze trochę odparowały. Dodajemy stopniowo **250 g masła**, a potem cieniutką strużką **200 ml bardzo gorącego mleka**. Mieszanym, pod koniec możemy łyżkę zamienić na trzepaczkę. Jeszcze **sól** do smaku i **pieprz** lub **gałka muszkatołowa**.



BookGame, Festiwal i Targi Gier
Planszowych. Kraków, 13 maja 2023 r.

STRACHY I SMOKI

Wolę być graczem niż pisarzem. Uwielbiam psuć fabuły.
Także te, które sam wymyśliłem.

RADEK RAK

W skórze bohatera

PO RAZ PIERWSZY PRZEKONAŁEM SIĘ, CO ZNACZY NAPRAWDĘ być za kogoś odpowiedzialnym, gdy płonęło oblężone miasto, drżały mury obronne, a w powietrzu świstały pociski z trebuszy. Na pustyni w Nubii zmagalem się nie tylko z palącym upałem i pościgiem hitlerowców, ale przede wszystkim z oporem własnego ciała; nie byłem już przecież najmłodszy. W kanadyjskiej głuszy nieporadnie usiłowałem po raz pierwszy w życiu założyć obozowisko, bo zapadał zmrok, a ja nie byłem pewien, czy w kniei prócz zwierząt nie czyha coś jeszcze.

Nie przypominam sobie, bym podczas tych przygód poznawał tajniki pisarskiego rzemiosła. Ale i tak było wesoło.

RPG: hobby, kojarzące się dawniej z nastoletnimi piwnicznikami, zdobywa nowe rzesze entuzjastów: graczy od dawna nie uważa się za dziwaków, gry przestają być demonizowane, a ich festiwale przyciągają tłumy. Niemalą rolę odegrał w tym pewnie serial „Stranger Things”. Pierwsze, od dawna dorosłe pokolenie erpegowców tworzy dziś kulturę, nie tylko popularną, wychowując drugie, a niekiedy i trzecie pokolenie graczy.

RPG w klasycznym rozumieniu to rodzaj narracyjnych gier towarzyskich, w których jedna osoba opowiada historię, a pozostali odgrywają jej bohaterów, opisując swoje działania

i wpływając tym samym na świat opowieści, przebieg fabuły i jej zakończenie. Można powiedzieć, że każdy staje się bohaterem książki i ma na nią wpływ. O sukcesie lub porażce decyduje się w różny sposób, przeważnie jednak za pomocą rzutu kostką. Kostki te mają różną liczbę ścian, np. 4, 6, 8, 10, 12, 20, 100 (przeważnie jako dwie kości dziesięciościenne, gdzie jedna traktowana jest jako dziesiątki, a druga jako jedności). Osobę prowadzącą nazywa się mistrzem gry (albo Mistrzem Podziemi, Strażnikiem Tajemnic, Mistrzynią lub Mistrzem Wiedzy itp.). Zamknięta jednowątkowa fabuła to przygoda, a jedna rozgrywka (wieczór spędzony na grze) to sesja. Przygoda może trwać przez jedną lub kilka sesji. Wielowątkowy ciąg przygód to kampania, wymagająca rozegrania dużej liczby sesji. Przygodę można zatem porównać do opowiadania albo do rozdziału w książce, kampanię zaś do powieści albo nawet całego cyklu. Zbiór reguł to system, a systemów erpegowych jest niezliczona ilość: starych lub nowych, komercyjnych lub autorskich, w dowolnych realiach, choć przeważnie fantastycznych. Reguły danego systemu zebrane są w podręczniku – czasem wystarczy jeden, a czasem potrzeba kilku. Rozgrywka ma przeważnie charakter kooperacyjny, a gracze tworzą drużynę. Pojęcia wygranej i przegranej nie są tu adekwatne. Najważniejsza jest wspólna przygoda.

Tak to wszystko wygląda w wersji klasycznej i najbardziej ortodoksyjnej, w której do gry wystarczy grupka znajomych, kości, kartki papieru i kilka ołówków. Najlepiej samemu zagrać. Wszystko staje się jasne po kilku minutach.

Wielu nowych graczy nawet nie przypuszcza, że przekroczyło właśnie próg dziwnej i czarodziejskiej krainy, w której pozostaną na wiele lat. Może na zawsze.

W świecie uprzejmym demonów

Na pytanie o historyczny początek gier fabularnych nie sposób udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Przypomina to trochę temat początku fantastyki jako takiej, poruszany często na konwentach jej miłośników, kiedy zawsze ktoś wspomina „Epos o Gilgameszu”. A skoro fantastyka sięga Gilgamesza, to musi wywodzić się z czasów znacznie wcześniejszych, z jakiejś niezmierzonej pradawnej głębi. Czy można wskazać początek ludzkiej wyobraźni?

Stąd tezy o tym, że RPG jest jakąś formą teatru, że nawiązuje do *commedii dell'arte* albo że wywodzi się z pruskich gier wojennych, są prawdziwe tylko do pewnego stopnia. Bo przypomina również dziecięce zabawy w dom, sklep albo wojnę. Odkładamy na bok rzeczywistość i wchodzimy w wyobrażony świat, przyjmując dane nam role. Nie ma znaczenia, czy są to role mamy, taty, wiejskiej wiedźmy czy żołnierza na krańcu galaktyki. Różnice polegają na stopniu złożoności i skodyfikowania zabawy, nie leżą w jej wewnętrznej odmienności. Są ilościowe, nie jakościowe.

Z pewnością istotną cezurą jest ukazanie się w latach 70. XX w. gry „Dungeons and Dragons”. Z początku było to przedsięwzięcie fanowskie, a później, po nieco nieoczekiwanym sukcesie – komercyjne. Do dziś „DnD” pozostaje bodaj najlepiej rozpoznawalnym systemem RPG: doczekało się kilku edycji, mnóstwa gier komputerowych, powieści i filmów.

W swej historii „DnD”, a za nim inne gry RPG, od czasu do czasu padało ofiarą polowania na czarownice. Oskarżano

je o propagowanie satanizmu, wywoływanie demonów, nekromancję, nakłanianie do samobójstwa, różnorodne parafilie, kanibalizm... lista jest długa i trochę zabawna, a trochę jednak nie, jeśli ktoś podobne zarzuty traktuje poważnie. Być może rzeczywiście gry polegające na zamykaniu się w ciemnym pokoju i opowiadaniu fantastycznych historii przy zapalonych świeczkach mogą wyglądać na bardziej niepokojące, niż rzeczywiście są. Tym bardziej że to opowiadanie lubi przerażać się w entuzjastyczne krzyki i wybuchy śmiechu, a niekiedy w dosadnie wyrażaną dezaprobatę w przypadku nieudanego rzutu kośćmi. Wszystkie zarzuty są, rzecz jasna, absurdalne, a moje blisko 30-letnie erpegowe doświadczenie uczy, że wszystkie przywołane demony okazywały się miłe i uprzejme.

W oblężonej twierdzy

Historia gier fabularnych w Polsce sięga jeszcze lat 80., choć było to zjawisko niszowe. Tłumaczenia podręczników ukazywały się w niskim nakładzie jako inicjatywy fanowskie. Szybko pojawiły się też polskie systemy, jak „Oko Yrrhedeśa” Andrzeja Sapkowskiego (zasady po raz pierwszy opisano w 1990 r. w magazynie „Fenix”) czy „Kryształ czasu” Artura Szyndlera (opisywane w pierwszych numerach magazynu „Magia i Miecz”, w 1993 r.). Inicjatywy tego typu można by wyliczać – o wielu pewnie nawet nie słyszałem. Jednak systemem, który trafił pod strzechy i zdomował się w Polsce w latach 90., był „Warhammer Fantasy Roleplay”, dzieło brytyjskiego Games Workshop z 1986 r., spolszczony przez Wydawnictwo MAG w 1994 r. Dla wielu młodych odbiorców z mojego pokolenia stanowił pierwszy kontakt z tego rodzaju rozrywką. Świeżo nawrócony na fantastykę, odkrywałem wtedy prozę Tolkiena i Lewisa i miałem wrażenie, że oto otworzyły się przede mną wrota do świata takich samych przygód.

Z różnych przyczyn spotkanie to okazało się jednak nieco rozczarowujące. Między innymi dlatego, że Stary Świat okazał się nie być ani Śródziemiem, ani Narnią. Realia WFRP to ponura jesień średniowiecza, gdzie cywilizacja człowieka chwieje się pod naporem sił Chaosu. Jesteśmy w oblężonej twierdzy, a wróg czai się nie tylko na zewnątrz, lecz również pomiędzy nami. Chaos wydaje się niezwyciężony. Jego armie trwają w gotowości na wschodzie, w niedostępnych górach i mrocznych lasach. Kultysty, wiedźmy i czarnoksiężnicy dążą do erozji systemu społecznego, plenią się herezje, pod miastami żyją skaveni, czyli ludzie-szczury, a każdemu z nas grożą mutacje, zdolne zamienić człowieka w bestię. By utrzymać porządek, imperator rządzi twardą ręką, a kapłani, łowcy czarownic i zakony rycerskie pasą narody różgą żelazną. Taki był Stary Świat.

Podręcznik do „Warhammera” nie okazał się drzwiami do Narnii. Stara szafa pozostała zamknięta.

W roli szczurołapa

„Warhammer Fantasy Roleplay” wywodzi się z figurkowych gier bitewnych, a jego starszym bratem jest „Warhammer 40000”, ukazujący realia podobne do ducha, tyle że w kosmosie. Oba systemy stanowiły prześmiewczy komentarz do brytyjskiej rzeczywistości społecznej lat 80. i rządów

→ Margaret Thatcher. Tego jednak z Polski lat 90. nie było wiadać, i pewnie nie miało to znaczenia. Inną interesującą cechą WFRP był rozwój postaci: bohaterowie nie są tu bowiem szczególnie bohaterzy, przynajmniej nie na początku. Startują przeważnie z nizin społecznych, jako szczurołapowie, hieny cmentarne, chłopci czy żacy, by powoli, o ile przeżyją, wspinać się po drabinie społecznej. Z perspektywy czasu można ocenić „Warhammera” jako opowieść o awansie: w przeciwieństwie do naszego świata szczurołap po wielu przygodach miał szansę zostać ostatecznie wielkim mistrzem zakonu rycerskiego.

Grimdarkowy „Warhammer” został w Polsce przyjęty z otwartymi ramionami – po pierwsze dlatego, że był, a po drugie, że aby w niego grać, wystarczyło mieć jeden podręcznik, a nie trzy. Dostępność i budżetowość okazały się zaletami nie do przecenienia.

Można się zastanawiać, na ile „ponury świat niebezpiecznych przygód” wpłynął na polską fantastykę jako taką. Dzieł jasnych i świetlistych, gdzie mimo otaczającej ciemności nigdy nie tracimy z oczu gwiazdy nadziei, powstało u nas mało. Ze starej polskiej fantastyki przychodzi mi na myśl przede wszystkim „Gar’ingawi Wyspa Szczęśliwa” Anny Borkowskiej i wcześniejsze utwory Wita Szostaka, z nową – twórczość Marty Kładź-Kocot (zwłaszcza „Daraena”, nominowana w ubiegłym roku do Nagrody im. Janusza A. Zajdla). Za to w podgatunkach *dark* i *low* można przebieierać. Polskie fantastyki bywało (i bywa, choć dziś zdecydowanie rzadziej) mroczne, realistyczne i niestroniące od opisów przemocy. Wbrew słowom Tolkiena, że „Prawdziwe wojny nie są podobne do legendarnych ani w swoim przebiegu, ani w skutkach”, wojna u Sapkowskiego jest wojną prawdziwą.

Nie pokuszę się o stwierdzenie, czy „Warhammer” miał jakiś znaczący wpływ na polskich twórców i twórczynie, choć wiadomo, że często grywali oni w erpegi. Przeciwnemu wpływowi mogłyby świadczyć książki Feliksa W. Kresa, pisane w podobnym duchu na długo przed tym, jak „Warhammer” ukazał się w Polsce. Wydaje się jednak, że „WFRP” dobrze korespondował z polskimi nastrojami i polską historią, i to wcale nie dlatego, że w Starym Świecie istnieje husaria. Jak Conan z Cymerii, każdy, kto urodził się w Polsce, przyszedł na świat na polu bitwy.

Może dlatego ilekroć próbowałem pisać fantastykę, zawsze wbrew mojej woli osuwała się ona w ciemne rejony.

W świecie nieprzewidywalnym

Lepszą bronią przeciw złu od magicznego miecza jest śmiech. Podobnie rzecz ma się z nadmierną powagą. Nigdy nie rozumiałem grania w erpegi na poważnie. Co więcej: im bardziej system i realia świata gry były posępne i mroczne, tym przygody okazywały się zabawniejsze. Historie o poważnych sesjach brzmiały dla mnie jak dawne opowieści o morskich potworach i zamieszkujących dalekie krainy blemmjach i cynocefalach. Co ciekawe, systemy i przygody obmyślane jako celowo parodystyczne nigdy nie były równie śmieszne, co te z założenia poważne. Za to po sesjach „Zewu Cthulhu” bolała mnie przepona.



W krakowskim pubie dla fanów gier

Cthulhu i inni Wielcy Przedwieczni zrodzili się w wyobraźni H.P. Lovecrafta na początku XX w., razem ze Starszymi Bogami i innymi istotami z głębin czasu i przestrzeni. Choć sam Lovecraft jako nieodrodny syn swej epoki jest dziś postacią dyskusyjną, to zasadnicza oś jego twórczości

odnosi się do uniwersalnego doświadczenia, jakim jest poczucie obcości w świecie. Świat ten rządzony jest przez siły, których człowiek nie pojmuje i pojąć nie może, są bowiem z natury fundamentalnie od niego odmienne. Ten egzystencjalny lęk przybiera postać potworów, niekiedy tak strasznych, że aż śmiesznych, choć to akurat domena nie tyle samego Lovecrafta, ile jego epigonów. Niewykluczone, że doszedł tu też do głosu strach przed przemianami społecznymi, zwłaszcza napływem imigrantów, a także zmianą myślenia o świecie, gdy Einstein kopnął stołek newtonowskiej fizyki i zmusił do przededefiniowania pojęć tak, zdawałoby się, niezmiennych jak czas i przestrzeń. Świat z opisywalnego stał się nieopisywalny, z przewidywalnego nieprzewidywalny, ze stosunkowo bezpiecznego – wrogi. Taka interpretacja kosmicznego horroru Lovecrafta nie wydaje się nieuzasadniona.

Z pewnością możliwe jest przeniesienie doświadczenia niepokoju i wyobcowania do gry fabularnej. Wydaje mi się to zadaniem o wiele trudniejszym od poruszenia tych tematów w literaturze. Nigdy też nie byłem przekonany, czy do tego celu potrzeba dużej liczby macek albo światła na niebie. Wydaje mi się, że nie jestem w tym odosobniony, bo sesje „Zewu Cthulhu”, w których brałem udział, bardziej przypominały przygodowy film sprzed półwiecza albo parodię klasycznych kryminałów. Indiana Jones i błuźnicze miasto R’lyeh. Holmes i plugawe macki. I tak dalej. Pewnie niezbyt wdzięczny ze mnie gracz.

Jako najbliższą „poważnego” grania mógłbym określić pewną kampanię w „Wampira: Mroczne Wieki”. Dałem się wówczas wkręcić w tę niewdzięczną rolę, jaką jest bycie mistrzem gry. Na fali nastoletniej fascynacji „Imie-



niem róży” i średniowiecznymi herezjami umieściłem akcję w 1244 r. podczas oblężenia Montségur. Po raz pierwszy w życiu doświadczyłem, czym jest *research*. Należało przecież poznać nie tylko fakty historyczne dotyczące wydarzeń i osób, ale i jakie panowały zwyczaje, jakie noszono stroje, czym się żywno i w ogóle jak rozumiano świat. Kampanii nie udało się ukończyć, co nie jest niczym niezwykłym w przypadku długich erpegowych fabuł. Z opowieści o wampirach z Langwedocji wyniosłem za to przekonanie o tym, jak istotna jest kwerenda, i że jej przeprowadzanie jest jednym z najprzyjemniejszych elementów pracy twórczej.

W literaturze, w grze i w życiu

Będąc raczej okazjonalnym graczem (a czasami, niestety, i mistrzem gry), mam za sobą doświadczenia z niewielką liczbą systemów. Dlatego nie napiszę o „Neuroshimie” ani o „Dzikich Polach”, ani o „Wolsungu”, „Monastyrze” czy „Wiedźminie” (tym starym i tym nowym), bo prawie ich nie znam. Świat RPG kryje przede mną więcej tajemnic, niż do tej pory dał mi odkryć. To dobrze. Przyjemnie mieć wiele przed sobą. W rezultacie jednak nie mogę pokusić się o ocenę tego, w jaki sposób erpegi wpływają na literacki proces twórczy, o co zapytała redakcja „TP”.

Jasne: w podręcznikach przeznaczonych dla mistrzów gry znajdziemy wiele wskazówek, jak tworzyć ciekawy świat i interesującą fabułę, w którym miejscu opowieści powinien pojawić się konflikt, jak często powinny wydarzać się zwroty akcji, jak napisać przekonującego antagonistę, jacy powinni być bohaterowie niezależni (czyli nieodgrywani przez graczy) itd. Z mojego doświadczenia wynika jednak, że najstarannie skomponowaną opowieść gracze są w stanie roznieść na strzępy po kwadransie. Pajęczne nitki intryg rwą się jedna po drugiej, krótkie i długie łuki fabularne pękają i grzebią całą historię. Z tych gruzów może wyłonić się coś o wiele ciekawszego, ale wcale nie musi. Grę od literatury odróżnia autoteliczność tej pierwszej: gra jest celem samym w sobie. Opowieść, z jej zwrotami akcji i misternymi koronkami narracyjnymi, pełni rolę służebną. Dlatego wolę być graczem. Uwielbiam być psujem fabuły. Także tych, które sam wymyśliłem.

Gry RPG przyniosły mi rzecz o wiele ciekawszą i istotniejszą od zasad tworzenia świata i zamieszkujących go postaci. Rzeczą tą było pytanie, co odróżnia mnie od odgrywanej postaci. Dlaczego mój bohater może dokonać czegoś, co wydaje się leżeć zupełnie poza moim zasięgiem? Dlaczego w płonącym mieście zachowuje się nieustrasze-

Gry RPG przyniosły mi rzecz o wiele ciekawszą od zasad tworzenia świata i zamieszkujących go postaci.

Rzeczą tą było pytanie, co odróżnia mnie od odgrywanej postaci.

nie, dlaczego nie poddaje się ograniczeniom własnego ciała w kłuszącym mrozie, dlaczego zachowuje nadzieję wbrew nadziei? Pomijam kwestie oczywiste, jak to, że moja postać może być ode mnie silniejsza, zwinniejsza albo może posiadać talent, którego mi poskąpiono. Nie potrafię fechtować i pewnie miałbym problem z bujaniem się na żyrandolu, zwłaszcza w pelerynie. Wiele ograniczeń nie jest jednak aż tak oczywistych. Bo co stoi między mną a moim bohaterem, gdy ten dokonuje jakiegoś poświęcenia dla bliskiej osoby albo nazywa po imieniu zło i niesprawiedliwość, aby wystąpić przeciwko nim? To, że konsekwencje wyobrażonych działań są wyobrażone, w trakcie gry nie ma znaczenia, bo erpegi są immersyjną aktywnością. Przez chwilę jesteśmy postaciami, które odgrywamy. W dziecięcych grach wyobraźni role mamy i taty również są realne, dopóki trwa zabawa. Prawdziwe czy nieprawdziwe, na czas gry odwieszamy te pojęcia. Nie dotyczą nas.

Ilu rzeczy w swoim życiu każdy z nas nie odważył się uczynić albo powiedzieć? Z perspektywy czasu widać wyraźnie, że lęk przed niepowodzeniem bywa nadmierny, a możliwe konsekwencje porażki są mniej przerażające, niż mogłoby się wydawać w chwili, gdy podejmuje się decyzję. Między mną a wyobrażonym w grze awatarem stoi więc przede wszystkim strach. Gra nazywa strach po imieniu, nawet jeśli sobie tego z początku nie uświadamiamy. Lęk przed byciem porzuconym albo przed byciem uznanym za dziwaka. Lęk przed nauczycielką czy nauczycielem, gdy po latach widać, że była to po prostu mała i niedobra osoba, niezdolna naprawdę nas skrzywdzić, choć nadal śni się po nocach. Lęk przed podróżą do dalekiego kraju, przed zanocowaniem w lesie, przed wymarzoną wyprawą w góry. Lęk przed ośmieszeniem się, jeśli zaśpiewam albo zatańczę, choć pierwszego nie potrafię wcale, a drugiego jeszcze mniej. Można wyliczać i wyliczać. Można też wylosować sobie jakiś lęk przez rzut kością o nieskończonej liczbie ścian. 1k ∞. Podręczniki dla mistrzów gry nie mają jednak na to odpowiedniej tabelki. W każdym razie nie te, które znam.

Dorabianie ideologii do hobby to zgubna rzecz. Mam jednak wrażenie, że najistotniejszą rzeczą wyniesioną z erpegów jest właśnie zdolność do przyglądania się temu, co oddziela mnie od odgrywanej postaci. Jeśli tym czymś jest strach, można przyjrzeć mu się dokładnie i ze wszystkich stron. Wtedy okazuje się nie być taki straszny.

Odwracają się role. Uczymy się zawstydzać bohatera, którego odgrywamy.

© RADEK RAK

RADEK RAK (ur. 1987) jest lekarzem weterynarii i pisarzem.

Za „Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli” otrzymał w 2020 r. Nagrodę Literacką Nike i Nagrodę im. Janusza A. Zajdla. W 2023 r. to ostatnie wyróżnienie otrzymał także za powieść „Aglą. Alef”, po której ukazała się „Aglą. Aurora”. W RPG gra od blisko 30 lat.



STANISŁAW

Mancewicz:

Bez nazwy



NASZ OPTYMIZM I POZYTYWISTYCZNE NASTAWIENIE KAŻĄ NAM Z ENTUZJAZMEM TRAKTOWAĆ PĘD MAS KU WIEDZY. Od zawsze uważamy, że obowiązek szkolny, upowszechnianie takich kompetencji jak umiejętność czytania i pisanie, zdobywane choćby na kursach przyspieszonych dla działaczy partyjnych, to wspaniała zdobycz naszych czasów. Ileż radości daje widok działacza partyjnego czy polityka polskiego, który umie się podpisać, który jako tako składa literki i czyta ze zrozumieniem wytyczne komitetu centralnego swojej partii – wszystkie te i tym podobne wydarzenia krzepią, bo czasy dla konwencjonalnie rozumianej nauki są – nie kryjmy – trudne.

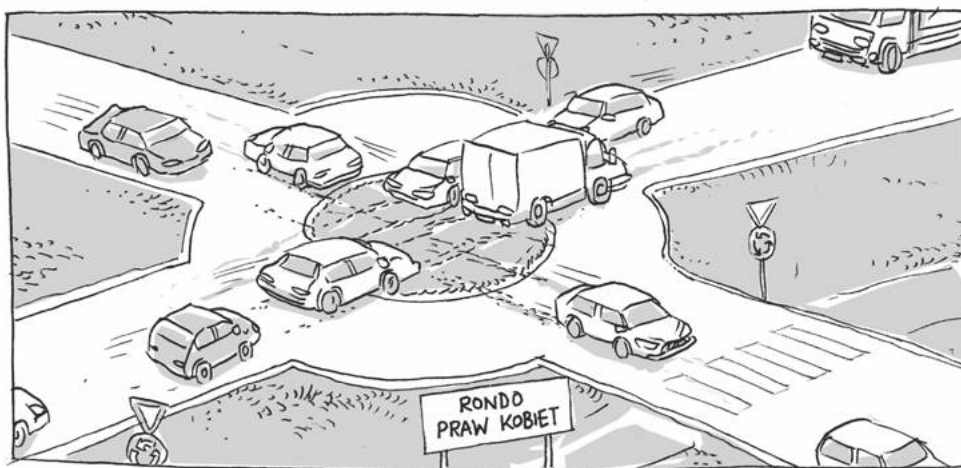
Chęć zdobywania tradycyjnych dowodów wykształcenia, którymi są dyplomy wyższych uczelni, napawa nas radością. Zwłaszcza dyplomów placówek tak zasłużonych w dźwiganiu „krużganka oświaty” – by zacytować legendarną frazę prawnicowego intelektualisty R. Bąkiewicza – jak owo głośnie Collegium Humanum. Nawiasem, placówkę tę zalegalizował niezapomniany minister J. Gowin. Oczywiście, chcielibyśmy, by polskich kandydatów do tytułu Master of Business Administration odpytywano z czegokolwiek, poza pytaniem o to, czy przelew już poszedł. Ot, choćby z wiedzy na temat kształtu Ziemi i jej miejsca we wszechświecie. Nie, nie jesteśmy surowi. Tego nam zarzucić nie wolno, bo zgadzamy się z postulatem, by odpowiedź, że Ziemia ma kształt płacka ziemniaczanego wspartego na kudłatych grzbietach żubrów, uznawać za potencjalnie prawidłową. Jesteśmy otwarci. Nie możemy ani wykluczać, ani dyskryminować. Uznajmy, że kandydat chciał dobrze, że się uczył, że jest stworzony do zarządzania spółką Skarbu Państwa,

że może, a nawet musi, być generałem wojsk polskich albo ministrem, albo prezydentem miasta. Ludziom, którym marzy się kariera menedżerska na najwyższym światowym poziomie, należy zawsze bić brawo. Lubimy, jak dorośli dają przykład młodości, a przykład masowego kupowania dyplomów uważamy za kolejny ciekawy przyczynek do historii III RP.

Idźmyż dalej, oto b. Gospodarz powiedział ostatnio, że wraca do polityki, choć przecież z niej nie odszedł. To znaczy – powiada on: będę kandydował na prezesa partii, wciąż nazywającej się Prawo i Sprawiedliwość. Jest to decyzja, która naprawdę cieszy każdego, nie tylko p. Tuska. A więc zadowoleni są i przeciwnicy tej partii, i jej zwolennicy, oraz ludzie gruntownie obojętni. W Polsce rzadko zdarza się jednomyślność, a tu proszę. Fajnie. Byliśmy zaniepokojeni, gdy p. Kaczyński dawał do zrozumienia, że ma zamiar zrezygnować z tzw. piastowania. To by zdeorganizowało życie publiczne w Polsce. Bo trudno nam sobie wyobrazić, że prezesem PiS-u jest np. p. Morawiecki. Zważyć należy, że tego człowieka przerosły wszystkie funkcje, które pełnił w życiu, można więc z dozą pewności uznać, że nie jest on zdolny do wzięcia lutni po Bekwarku. Jak zresztą nikt z tego towarzystwa. Kto nie łapie naszej myśli, niech sobie teraz wyklika ów wiersz Jana Lechonia i przeczyta go ze zrozumieniem. Popisujemy się, owszem, ale w zarozumiałstwo wbijają nas pojawiające się tu i ówdzie informacje, że partia Prawo i Sprawiedliwość może zmienić nazwę. Jeżeli jej najwyższe gremia uznają, że się zdezaktualizowała. Nie domagamy się żadnych dowodów uznania, nawet w formie przelewu, ale chcemy jednak wyraźnie przypomnieć, że od wielu lat głosimy, iż nazwa Prawo i Sprawiedliwość jest od zawsze w zasadniczej kolizji ze znaczeniem tych dwu słów.

Trzeba tu jednak uczciwie dodać, że działaczom wcale nie chodzi o to, by nazwa ich ugrupowania odzwierciedlała sens, czyny i zamiary, ale by zrobić nam wszystkim psikusa. Byśmy – jak tu ponuro siedzimy – nagle uznali, że ta sama partia, z odwiecznym prezesem, dawnymi działaczami i członkami, z niezmienioną ideologią i widzeniem świata, ale ze zmienioną nazwą, jest nowinką na rynku. Że na jej widok wpadniemy w amok i zachwyt. Ciekawe założenie. Ciekawy pomysł. Ciekawe rozumienie uczciwości w życiu publicznym. Ciekawy kraj. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ





Jest nas ponad 5 milionów,
a wciąż czujemy się **niewidzialni**.

TERAZ MNIE WIDZISZ?

Niepełnosprawność to nie wszystko.

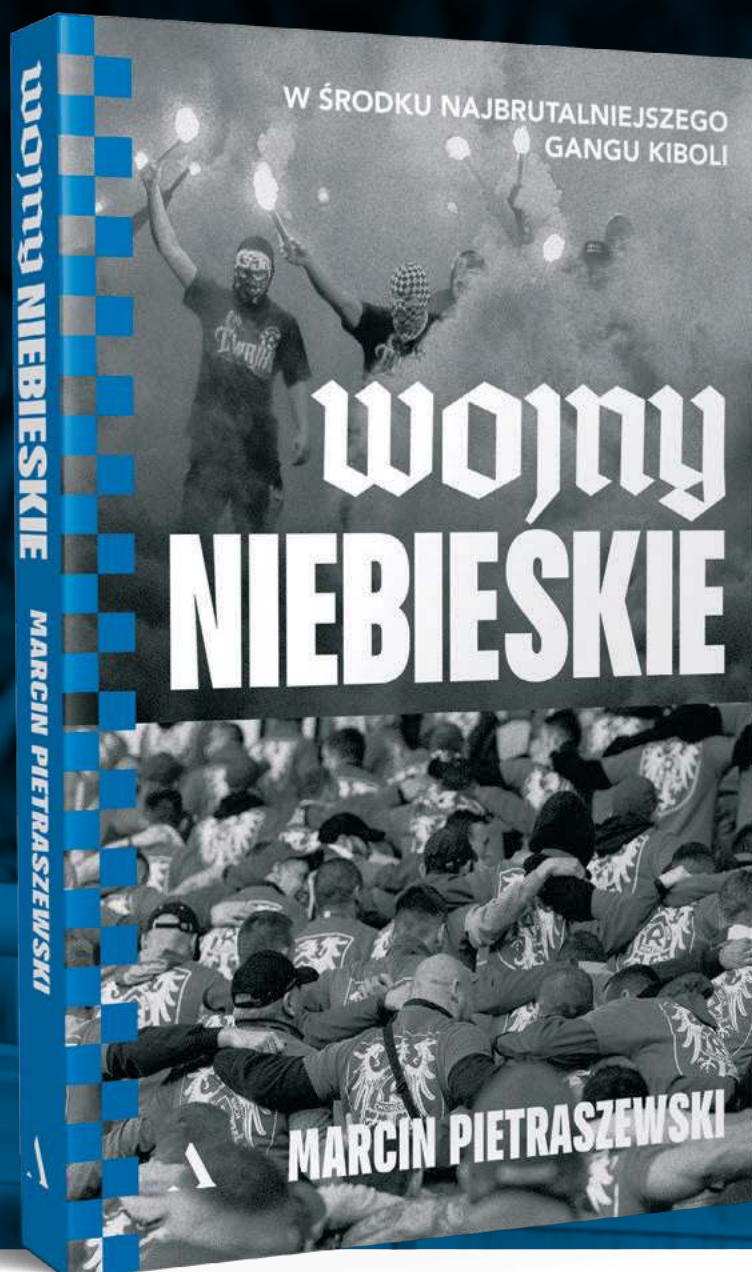
Poznaj nasze historie na **fundacjaavalon.pl**

Poznaj nasze historie na **fundacjaavalon.pl**

KAMPANIA FUNDACJI AVALON JEST WSPÓŁFINANSOWANA ZE ŚRODKÓW
PAŃSTWOWEGO FUNDUSZU REHABILITACJI OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH.



REPORTAŻ Z SAMEGO CENTRUM GANGSTERSKIEGO ŚWIATA KIBOLI



To nie jest książka o futbolu.
To nie jest książka o kibicach.
To nie jest książka o Ruchu Chorzów.
Barwami klubowymi zastąpiło się Zło.
Autor obnaża je bez znieczulenia.

WOJCIECH KUCZOK



Wydawnictwo
Agora